H. MALOT

ROMAN KALBRIS

HEKTOR MALOT.

ROMAN KALBRIS.

PRZYGODY CHŁOPCA.

WARSZAWA 1910.
KSIĘGARNIA L. BIERNACKIEGO
Nowy-Świat 57.

T 1.465.343

1985 W 403

Druk L. Bogusławskiego Sto-Krzyska 11.

I.

Z położenia, w jakiem się obecnie znajduję, nie należy wnosić, że szczęście zawsze mi sprzyjało. Pochodzę z rodu rybaków: ojciec mój był najmłodszym z jedenaściorga dzieci, a dziadek niemało użył kłopotów z wychowaniem dzieci, gdyż w rybackiem rzemiośle zyski nie są odpowiednie do pracy; liczyć na pewno trzeba na trudy i niebezpieczeństwa, korzyści,—uważać za rzecz wyjątkową.

W ośmnastym roku życia ojciec mój został wzięty do marynarki; gdy szedł do służby, nie umiał czytać ani pisać. Powrócił podoficerem, co jest najwyższym stopniem, do jakiego mogą dojść ci, którzy nie ukończyli żadnych szkół.

Port—Dieu, moje miejsce rodzinne, sąsiaduje z angielskiemi wyspami; rząd utrzymuje tam stale wojenny statek, ażeby rybacy z wyspy Jersey nie wyławiali nam ryb, i dlatego, ażeby naszych ludzi trzymać w należnem poszanowaniu praw rybołówstwa; na tym statku ojciec mój miał odsługiwać dalszą swoją służbę. Była to łaska — bo chociaż marynarz statek

swój uważa za ojczyznę, miło jednak każdemu powrócić w swoje rodzinne strony.

W piętnaście miesięcy po powrocie ojca zjawiłem się na tym świecie, a ponieważ zdarzyło się to w marcu, w piątek, na nowiu, wszyscy zgodnie przepowiadali mi, że miałbym dużo przygód w życiu, że podróżowałbym po morzu i byłbym bardzo nieszczęśliwy, gdyby wpływ księżyca nie równoważył wpływu dnia piątkowego. Przygód—miałem bez liku i o nich właśnie zamierzam wam mówić, czytelnicy; podróży na morzu — odbyłem niemało, a co do walki wpływów księżyca z wpływami dnia piątkowego, wy sami osądzicie, który z tych dwóch wpływów przeważył w mojem życiu.

W naszej rodzinie wszyscy, z ojca na syna, byli marynarzami — nawet, jak głosiło podanie, już za czasów wojny Trojańskiej. To nie my sami przypisujemy sobie tak starożytne pochodzenie, lecz uczeni, którzy utrzymują, że w Port-Dieu jest kilkadziesiąt rodzin rybackich, pozostałych z dawnych kolonii Fenicyan. To pewna, że nasze oczy czarne, śniada cera, delikatne rysy różnią się najzupełniej od typu normandzkiego i bretońskiego, a nasze łodzie rybackie są wierną kopią statku Ulissesa, tak jak go nam Homer opisał: jeden tylko maszt i żagiel kwadratowy, — rzecz zwykła na wyspach Archipelagu, lecz na całym kanale La Manche w jednem tylko Port-Dieu używana.

Nasze rodzinne wspomnienia były bardzo mało urozmaicone. Każdy z członków rodziny dzieckiem szedł na morze i na morzu utonął wśród burzy, lub za morzami wśród ludów, których nazwy trudno spamiętać, zginął w bitwie, albo skończył życie na angielskich pontonach. Krzyżów z imionami kobiet należących do naszej rodziny dużo jest na cmentarzu, ale krzyże z imionami mężczyzn są nieliczne; mężczyzni z naszego rodu prawie nigdy nie umierali w kraju. Jak zwykle każda rodzina, i nasza miała bohatera: był nim mój wuj, który służył w wojsku jakiegoś indyjskiego królika, posiadającego mnóstwo słoni, dowodził w wojnie przeciwko Anglikom, i miał sztuczną rękę ze srebra. Król indyjski, słonie i srebrna ręka, to nie fraszki!

Pociąg do awantur, wrodzony rodzinie Kalbrisów, skłonił mojego ojca do wyruszenia w podróż w parę lat po ślubie. Mógł był zostać porucznikiem na jednym ze statków rybackich, które co roku wypływają na wody Islandyi, ale przyzwyczaił się był do służby wojskowej i polubił ją.

Nie pamiętam jego wyjazdu; jedyne moje wspomnienia z owej epoki odnoszą się do dni nawałnic, do nocy wstrząsanych rykiem uraganu i do chwil, które przepędzałem przed biurem pocztowem.

Ileż to razy, wśród nocy, matka kazała mi

się modlić przy zapalonej gromnicy! Dla nas w Port-Dieu, burza wydawała się burzą na całej kuli ziemskiej — a wiatr wstrząsający domem, uraganem zatapiającym statek, na którego pokładzie ojciec mój przebywał. Czasami wiatr bywał tak silny, że trzeba było wstawać i umocowywać okna, bo dom nasz, jak zwykle domy ubogich ludzi, był licho zbudowany. Pomimo, że z jednej strony osłaniał go odłam skały, a z drugiej szczątek amerykańskiego trzymasztowca, który się rozbił niegdyś na naszych wodach — nie był on zabezpieczony dostatecznie od szalonych szturmów wichury. Pewnej nocy, w październiku, matka obudziła mnie: nawałnica szalała, wicher wył, dom jęczał, a przez zamknięte okna i okiennice wciskały się podmuchy wiatru, od których kołysał się płomień gromnicy. Gdy wiatr ustawał, słychać było bicie fal o nadbrzeżne skały, a czasami huk jakby wystrzałów, spowodowany uderzeniem morza w jamy powybijane w skałach. Pomimo tego straszliwego hałasu, zasnąłem na klęczkach, gdy nagle wiatr wyrwał okno z zawias, rzucił je na środek izby, tłukąc na drobne kawałki; wydało mi się, że mnie porwał uragan.

— O! mój Boże! — zawołała matka. — Twój ojciec pewnie utonął!

Wierzyła w przeczucia i w nadprzyrodzone przestrogi. List, otrzymany od ojca w parę

miesięcy potem, utwierdził ją wtedy w przesądach, gdyż okazało się, że istotnie owej nocy był w wielkiem niebezpieczeństwie. Sen rybackich żon jest smutnym snem: w nocy śnią one o nawałnicach i rozbiciach okrętów, a dnie przepędzają na wyglądaniu listów, które nie nadchodzą; na tych dwóch rodzajach udręczenia upływa im życie.

W onych czasach, o których mówię, poczty nie były tak urządzone jak dzisiaj; listy oddawano tym, którzy się po nie zgłaszali do biura, a kto długo nie przychodził, temu odsyłano je przez którego z chłopców, chodzących do szkółki. Gdy nadchodziła poczta z Nowej Ziemi, biuro pocztowe bywało oblężone, gdyż od wiosny do jesieni wszyscy miejscowi rybacy bawili na tamecznych wodach dla połowu dorszów. Obcy człowiek przybywszy do Port-Dieu mógłby sądzić, że znajduje się w krainie, z której mężczyźni są wygnani; — wszystkie bez wyjątku kobiety oczekiwały nowin od swoich. Stały trzymając dzieci na rękach i czekały, dopóki kolej nie przyszła na ich nazwisko. Jedne śmiały się, czytając listy, drugie płakały; te, które nie otrzymały listów, pytały o nowiny tych, które miały wiadomości, bo do marynarzy bawiących na morzu nie daje się zastosować przysłowie: „kiedy nie ma wiadomości, to dobry znak".

Była tam między innemi stara jedna ko-

bieta, która od sześciu lat przychodziła codziennie, i od sześciu lat nie otrzymała ani jednego listu. Nazywano ją „matką Janową" i opowiadano, że łódź, na której popłynął jej mąż z czterema synami, zginęła bez śladu wśród nawałnicy — tak, że nie odnaleziono ani łodzi, ani załogi. Od czasu, gdy się ta wieść rozeszła, stara kobieta przychodziła codzień na pocztę.

— Dziś nie ma dla was nic — mówił urzędnik — pewnie list nadejdzie jutro.

Ona zaś odpowiadała smutno:

— Tak — zapewne będzie jutro...

Odchodziła i zjawiała się nazajutrz. Mówili o niej ludzie, że jest obłąkana...

Za każdym razem, przychodząc na pocztę, już ją zastawałem. Ponieważ urzędnik pocztowy miał sklep kolonialny, zaczynał naturalnie od tych, którzy przyszli po sól, lub po kawę, a nam zostawiał czas do rozmowy; że zaś był niezmiernie systematyczny, przedłużał ten czas oczekiwania rozmaitemi ceremoniami. Jako kupiec, ubrany był w niebieski fartuch i w czapkę; jako urzędnik pocztowy, przywdziewał czarny surdut i aksamitny beret. Za nic w świecie nie sprzedałby musztardy w aksamitnem okryciu głowy, a wiedząc nawet, że trzyma w ręku list, od którego zależy życie dziesięciu ludzi, nie byłby go doręczył, nie zdjąwszy fartucha.

Każdego rana matka Janowa rozpoczynała to samo opowiadanie.

— Wybrali się na połów, nadciągnęła taka nawałnica, że musieli uciekać, mając wiatr z tyłu; zamiast powrócić do *„Ukochanego”*: przepłynęli obok *„Przezorności”*, lecz nie mogli do niej się zbliżyć. Ale to rozumiesz, że z takim marynarzem jak Jan nie mogło być niebezpieczeństwa? Zapewne na pełnem morzu spotkali jakiś statek, który ich zabrał; nieraz zdarzają się takie rzeczy: tak samo powrócił chłopiec Melanii. Może okręt zawiózł ich do Ameryki. Dopieroż to Hieronim musiał urosnąć! miał wtedy czternaście lat. Czternaście lat a sześć, ileż to będzie? Dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat! to już mężczyzna...

Nie przypuszczała nawet, że mogli zginąć. Umarła, nie wierząc w ich śmierć, i oddała proboszczowi trzy sztuki złota, ażeby je doręczył Hieronimowi, gdy powróci; pomimo, że żyła w biedzie i brakach, chowała je zawsze dla swojego najmłodszego syna...

II.

Podróż ojca miała trwać trzy lata, a trwała sześć. Oficerowie zmieniali się, lecz załoga pozostała ta sama na Oceanie Spokojnym póty, aż statkowi zagroziło pójście na dno.

Miałem dziesięć lat, gdy ojciec powrócił.

Było to w niedzielę po sumie: stałem na tamie, przyglądając się powrotowi statku, należącego do urzędu celnego. Obok sternika stał marynarz z rządowej służby: wyróżniał się tem, że był w pełnym mundurze a celnicy w służbowych kurtkach. Codzień, w chwilach przypływu morza, na tamie gromadzili się starzy marynarze, którzy bez względu na stan pogody, i w upał i podczas burzy, przychodzili tu na dwie godziny przed przypływem, i odchodzili dopiero we dwie godziny po nim.

— Romanie — odezwał się kapitan Honel, spuszczając lunetę — twój ojciec powrócił. Biegnij na wybrzeże, jeżeli chcesz być tam przed nim!

Biedz miałem szczerą chęć, ale nogi moje były jakby bezwładne. Kiedy przybyłem nad brzeg, statek już przybił i ojciec stał na lądzie; otaczali go ludzie, ściskając za ręce. Chcieli go zaprowadzić do kawiarni, na szklankę cydru.

— Dziś wieczorem — odparł. — Pilno mi teraz uścisnąć moją żonę i chłopca.

— Chłopca? otóż i on!

Wieczorem zachmurzyło się, ale nikt u nas w domu nie wstał w nocy i nie zapalał gromnicy.

Podczas sześcioletniej podróży ojciec dużo widział, a ja byłem słuchaczem zawsze go-

towym do słuchania. Szorstki i niecierpliwy na pozór, ojciec był najłagodniejszym z ludzi i opowiadał mi z niewyczerpaną cierpliwością nie to, co go zajmowało, ale to, co się podobało mojej dziecięcej wyobraźni.

Z pomiędzy jego opowiadań jednego nigdy nie mogłem się dość nasłuchać: o moim wuju Janie. Podczas pobytu w Kalkucie ojciec słyszał mówiących o jenerale Flohy, który przybył w poselstwie do angielskiego gubernatora. Opowiadano o nim cudowne rzeczy. Był to Francuz, który jako ochotnik wstąpił do służby w wojsku króla Beraru; w bitwie z Anglikami, przytomnością umysłu ocalił całą armię, za co został mianowany jenerałem; w innej bitwie kula armatnia urwała mu rękę, kazał sobie przyprawić nową ze srebra, a gdy wjechał do stolicy, z cuglami założonemi na srebrną rękę, kapłani oddawali mu pokłony i cześć boską, oznajmiając, że w księgach świętych powiedziano jest, iż królestwo Berara dosięgnie szczytu potęgi wówczas, gdy wojskami jego dowodzić będzie przybysz z Zachodu o srebrnej ręce. Ojciec mój przedstawił mu się i został przyjęty bardzo serdecznie. Przez cały tydzień wuj ugaszczał go po książęcemu i chciał zabrać z sobą do Beraru, lecz prawa wojskowej służby są nieubłagane — ojciec musiał pozostać w Kalkucie.

Opowiadanie to wywarło wielkie wrażenie na moją wyobraźnię. Śniłem wciąż o słoniach i palankinach; widziałem żołnierzy stanowiących straż wuja, czułem przedtem pewne poszanowanie dla szwajcara w kościele — ale żołnierze, będący niewolnikami mojego wuja, natchnęli mnie wzgardą dla żelaznej halabardy i kapelusza z galonem naszego szwajcara.

Ojciec radował się moim zapałem, matka smuciła — gdyż zdawała sobie dobrze sprawę z wrażenia, jakie na mnie robiły te opowieści.

— To wszystko—mówiła—wzbudzi w nim chęć do morza i do podróży.

— No, więc cóż? Pokieruje się tak, jak ja, a czemużby nie tak jak wuj?

Jak wuj! biedny ojciec nie wiedział, jaki płomień rozżarzał w mojej duszy.

Musiała się w końcu zgodzić matka na to, że zostanę marynarzem; lecz chcąc mi osłodzić o ile możności początki tego trudnego rzemiosła, namawiała ojca do porzucenia służby rządowej; gdy wyruszy potem na wyprawę do Islandyi, ja przy nim będę odbywał naukę.

Miała nadzieję w ten sposób zatrzymać nas na lądzie na całą zimę, bo statki powracające z połowu zatrzymują się w porcie i rozpuszczają załogę.

III.

Ojciec powrócił w sierpniu; we wrześniu, pogoda, trwająca od trzech miesięcy przeszło, zaczęła się zachmurzać, i nastąpiła pora huraganów po spokoju. Na naszych wybrzeżach mówiono wciąż o rozbitych okrętach: parowiec przepadł bez śladu między rafami w Blanchard, mnóstwo łodzi w Granville zginęło, a morze koło Jersey było — jak opowiadano — pokryte szczątkami rozbitych statków; na lądzie pełno było połamanych gałęzi, jabłka zielone jeszcze pokrywały ziemię tak gęsto, jak gdyby je kto poobijał; mnóstwo jabłoni leżało wyrwanych z korzeniami, lub skręconych w połowie przez wicher, a liście poczerwieniały, jakby od ognia.

Wszyscy żyli w nieustannej obawie, bo nadchodziła pora powrotu rybaków z Niufundlandu.

Trwało to blisko od trzech tygodni, gdy pewnego wieczoru nastała zupełna cisza na ziemi i na morzu; sądziłem, że burze skończyły się, lecz ojciec zaczął się śmiać ze mnie, gdy go zapytałem, czy nie pójdziemy jutro pościągać sieci rozpiętych od początku niepogody.

— Jutro — powiedział — wichura zerwie się całą siłą na Zachodzie; słońce zaszło za mgłę rudawą, gwiazdy zanadto błyszczą, morze

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

jęczy a ziemia jest rozpalona; zobaczysz taką burzę, jakiej jeszcze nie widziałeś!

Nazajutrz, zamiast popłynąć na morze, zaczęliśmy zwozić kamienie na dach kajuty rozbitego okrętu, która stanowiła cząstkę naszego domostwa. Zachodni wiatr zerwał się od rana; dzień bez słońca, niebo brudno szare, gdzieniegdzie przecięte zielonawemi smugami, a morze, choć spokojne, wydawało głuchy odgłos, podobny do wycia.

Nagle ojciec stojący na dachu przerwał pracę; wszedłem na dach i stanąłem obok niego. Na morzu, na samym krańcu widnokręgu, widać było biały punkcik — statek.

— Jeżeli statek nie jest uszkodzony, to płynie tu chyba zginąć — odezwał się ojciec.

Istotnie, podczas wichrów zachodnich w Porcie Dieu jest niemożliwe wylądować.

Statek ukazał się w chwili rozjaśnienia się nieba, i prawie natychmiast znikł nam z oczu. Czarne chmury zaczęły się kłębić nanowo, podnosiły się szybko, splątane i rozkołysane, jak kłęby dymu w czasie pożaru.

Zeszliśmy do wsi, wszyscy biegli na tamę bo już rozeszła się wieść, że widać nadpływający statek, to znaczy — statek w niebezpieczeństwie.

W dali u naszych stóp, na prawo, na lewo, naokoło morze całe pokryte było pianą, jakby śniegiem wirującym, przybierało ze straszy-

nym łoskotem, który w połączeniu z wyciem wichru, ogłuszał; chmury pomimo, że gnane wściekłym wichrem, sunęły nisko, ciężkie, jak gdyby wspierały się na zapienionem morzu. Statek widać było coraz wyraźniej; był to bryg; żagle miał pozwijane.

— Wywiesza teraz chorągiew — powiedział kapitan Honel; patrząc przez lunetę; to flaga braci Lehen.

Bracia Lehen byli to najbogatsi właściciele okrętów w okolicy.

— Żądają pilota, ażeby ich wprowadził do portu.

— A! tak! pilota... Na to potrzebaby najpierw módz wypłynąć z portu!...

Ojciec Housard, pilot, odpowiedział w ten sposób; a ponieważ wszyscy tam znali się na rzeczy, nikt mu nie zaprzeczył; wiedzieli, że ma słuszność i że niepodobieństwem jest wypłynąć z portu.

W tej samej chwili pojawił się od strony wsi starszy z braci Lehen. Nie wiedział widocznie, do jakiego stopnia wicher jest gwałtowny, gdyż zaledwie wyszedł za róg ostatniego domu, zakręcił się i padł na ziemię. Z wielką trudnością, potykając się, chwiejąc, wywijając rękoma, jak pływak w wodzie, doszedł tam, gdzie staliśmy; w drodze zgubił kapelusz i nie próbował nawet gonić za nim, z czego wszyscy

mogli osądzić, do jakiego stopnia jest wzburzony, gdyż nie miał zwyczaju nigdy nic gubić.

W jednej chwili dowiedzieli się wszyscy, że bryg jest jego własnością, że został zbudowany w Bajonnie, że załoga na nim składa się z samych Baskijczyków, że to jego pierwsza podróż i że nie jest ubezpieczony.

— Dwa su od każdej beczki, jeżeli go wprowadzisz do portu — wołał pan Lehen, pociągając ojca Housarda za ubranie.

— Chcąc go sprowadzić, potrzebaby najpierw módz wyjść z portu!

Bałwany przelewały się górą przez tamę; wiatr rozmiatał przed sobą pianę z fal, piasek z tamy, dachówki z budynku celnego; poszarpane chmury osuwały się prawie w morze, przy którego zapienionych, białych falach wydawały się jeszcze czarniejsze.

Bryg, zobaczywszy, że pilot nie wypływa na jego spotkanie, zrobił pół obrotu w bok, usiłując płynąć tymczasem w skośnym kierunku.

Czekać, znaczyło to samo, co narazić się na zgubę, a wejść do portu bez pilota — groziło nieuchronnem rozbiciem.

Cała ludność wsi biegła w tę stronę; w innych okolicznościach widok tego, co wiatr wyrabiał z nadbiegającymi, pobudziłby wszystkich do śmiechu; ludzie padali, potrącali się, wiatr podnosił ich w górę; niektóre z kobiet kładły się na ziemi i czołgały na kolanach.

Pan Lehen wołał:

— Dwadzieścia su od każdej beczki! — Czterdzieści su!

Biegł, zawracał i znowu biegł; błagał i złorzeczył...

— Wszyscy jesteście jednakowi!—wołał.— Na morzu—kiedy was nie potrzeba, w łóżku kiedy grozi niebezpieczeństwo!

Nikt nie odpowiadał; wszyscy potrząsali głowami lub odwracali się.

Zaczął rozpaczać.

— Jesteście do niczego! trzykroć sto tysięcy franków przepadnie! Jesteście nikczemnicy!

Mój ojciec wystąpił naprzód. —

— Dajcie mi łódź — popłynę...

— Ty — Kalbrisie? jesteś odważny człowiek!

— Jeżeli Kalbris popłynie, ja z nim — odezwał się ojciec Housard.

— Dwadzieścia su od każdej beczki! nie cofam słowa! — wołał pan Lehen.

— Nie! — odparł ojciec Housard — nie dla pana to robię. Ale jeżeli nie wrócę, a moja stara zażąda od pana kilku su w niedzielę, nie odmawiajcie jej!

— Kalbrisie! —wołał pan Lehen — przyjmę twojego chłopca za syna!

— To jeszcze nie wszystko — potrzeba nam łodzi Gousseaume'a.

Ta łódź, nosząca imię *Swiętego-Jana*, sławną była na całem wybrzeżu; żagle jej trzymały się dobrze bez względu na wicher.

— Zgoda!—powiedział Gousseaume, czując oczy wszystkich zwrócone na siebie; pożyczam ją dla Kalbrisa i on obowiązany jest mi ją zwrócić.

Ojciec wziął mnie za rękę i zaczęliśmy biedz ku pochyłości, gdzie na nadbrzeżnym piasku *Swięty-Jan* stał wydobyty z wody; w mgieniu oka żagle i rudel zostały założone.

Oprócz ojca i pilota, potrzeba było jeszcze trzeciego marynarza; jeden z naszych krewnych wystąpił; napróżno usiłowano go zatrzymać.

— Kalbris przecie płynie—odpowiedział.

Ojciec wziął mnie w objęcia i głosem, którego dźwięk dotąd słyszę, rzekł, całując mnie:

— Niewiadomo co nastąpi; powiedz matce, że kazałem ją uściskać...

Wypłynąć z portu przy takim wietrze było bardzo trudno; holownicy, ciągnący za liny statku, nie posuwali się wcale; uderzenia większe rozpraszały ich i rzucały o ziemię. Sam koniec tamy spłukiwały bałwany, należało jednak koniecznie wyciągnąć *Świętego Jana* poza tamę, ażeby mógł zawrócić się z wiatrem. Dozorca morskiej latarni obwiązał się wpół liną i podczas gdy holownicy utrzymywali, o ile

można było, statek na wodzie zatoki szedł pochylony, trzymając się obiema rękami za żelazną poręcz na brzegu tamy. Usiłował założyć linę na bronzowy blok, umieszczony na końcu tamy, ażeby łódź, mając tam punkt oparcia, mogła posunąć się w kierunku odwrotnym. Po trzykroć zalały go bałwany, lecz on, przyzwyczajony do takich uderzeń, oparł się im, i założył wreszcie linę. *Swięty Jan* posuwał się zwolna, zanurzając się tak ciężko w wodę, że można było przypuszczać, iż fale go napełnią. Nagle lina zwolniała — *Swięty Jan* zaczął płynąć wzdłuż tamy.

Wdrapałem się na szaniec bateryi, i uczepiłem się z całej siły rękami i nogami masztu sygnałowego, który kołysał się i trzeszczał, jak gdyby żyjący jeszcze, uginał się pod wichrem wśród rodzinnego lasu.

Ujrzałem ojca przy sterze; obok niego dwaj towarzysze oparci o pomost stali plecami odwróceni do wiatru. *Swięty Jan* posuwał się gwałtownymi rzutami; chwilami zatrzymywał się, to znowu sunął jak kula działowa odbijająca się wśród fal piany; czasami znikał zupełnie wśród mgły, w którą rozbryzgiwały się bałwany.

Bryg, ujrzawszy go, zmienił kierunek i zwrócił się prosto w stronę latarni. *Swięty Jan*, wypłynąwszy dalej, zakręcił i dążył przeciąć mu drogę; w kilka minut później połączyły się oba statki; łódź przepłynęła pod przednim masz-

tem statku i zawirowała w tejże chwili, łódź i statek zostały związane...

— Lina nie wytrzyma—odezwał się ktoś— a choćby nawet i wytrzymała, nie będą nigdy w stanie przysunąć się do boku brygu.

Istotnie, zdawało się niepodobieństwem, ażeby *Święty Jan* mógł się podsunąć tak blisko, iżby dać ojcu Housard możność wdrapania się na pokład brygu; albo łódź roztrzaska się, albo ojciec Housard wpadnie w morze.

Łódź i statek, popychane wiatrem, miotane temi samemi bałwanami, zbliżały się. Gdy przód statku zanurzał się, tylny pomost podnosił się, a załoga, niezdolna utrzymać się na nogach, czepiała się gdzie było można.

— Wdrapuj się! wdrapuj!—wołał pan Lehen.

Trzy, lub cztery razy ojciec Housard próbował skoczyć, ale statki odsunęły się od siebie; łódź, odepchnięta na całą długość liny, to płynęła naprzód, to cofała w tył, miotana falą; nakoniec bryg zakręcił w stronę łodzi, a gdy fala, która go podniosła, opadła, pilot wskoczył na pokład, uczepiwszy się lin u masztu.

Wiatr wiał bez chwili przerwy, któraby dała możność odetchnienia; czuć było gwałtowny napór huraganu, wciąż w jednym kierunku; wycie bezustanne ogłuszało. Fale podnosiły się, lecz nie miały czasu rozwinąć się, padały jedne na drugie, wirując.

Bryg zbliżał się z szybkością burzy. Pomimo, że powierzchnia morza wydawała się płaska, wiry wstrząsały statkiem na wszystkie strony, kołysały, kładły go bokiem, spychały w dół, dźwigały do góry; w jednem z takich wstrząśnień postradał żagle i maszt z bocianiem gniazdem; nie mając punktu oparcia dla steru, zaczął płynąć w poprzek, był już zaledwie o dwieście lub trzysta metrów od wejścia do portu...

Krzyk wydarł się ze wszystkich piersi.

Święty Jan, na którego pokładzie pozostał mój ojciec i nasz krewny, płynął w niewielkiej odległości za brygiem, a lękając się uderzyć o niego, skierował się na pełne morze; lecz w tejże chwili podniesiono maszt na brygu, który zawrócił ku wejściu do portu, przecinając drogę łodzi, i zasłonił ją zupełnie swoim ogromem. W parę sekund potem bryg wpłynął do kanału.

Ścigałem oczyma łódź więcej, niż bryg; po wpłynięciu brygu do portu, nie mogłem jej dojrzeć. Po chwili dopiero ujrzałem ją poza tamą; skutkiem przecięcia drogi przez statek minęła wąski kanał i zdążała do przystani położonej na prawo od tamy, gdzie zwykle podczas burzy morze bywało mniej niespokojne.

Ale owego dnia tam, tak samo jak wszędzie, morze było strasznie wzburzone, i tylko zupełna niemożność schronienia się do portu tłuma-

czyła cofnięcie się do przystani. Żagle zostały zwinięte, kotwica zarzucona i łódź obrócona przodem do fal nadpływających z pełnego morza; pomiędzy morzem a wybrzeżem, sterczał szereg skał, których woda nie zaleje przed upływem półgodziny. — Czy kotwica wytrzyma tak długo? Czy lina się nie zerwie?

Byłem jeszcze dzieckiem, lecz dobrze obeznany z miejscowością, mogłem obliczyć całe niebezpieczeństwo tak długiego oczekiwania.

Wszyscy naokoło mnie zadawali sobie to samo pytanie.

— Jeżeli przetrzymają ten czas, będą mogli wydobyć się na mieliznę; jeżeli *Swięty Jan* wypłynie na pełne morze, rozbije się na drzazgi!

— Kalbris dobrze pływa...

— Ba! co tu gadać o pływaniu...

Deska nawet zostałaby pochłonięta w tym wirze wody, traw, kamyków, piany, spadających na wybrzeże i drążących w niem dziury. Fale odbijały się od skał, cofając się, spotykały z bałwanami nadpływającymi z pełnego morza, które tłocząc się i piętrząc, rozbijały się nakształt wodospadów.

Stojąc bez tchu, z oczyma utkwionemi w *Świętego Jana* poczułem nagle, że mnie obejmują czyjeś ręce; odwróciwszy się, ujrzałem

matkę, która nadbiegła przerażona; ze szczytu skał ujrzała, co się dzieje.

Otoczyli nas ludzie; kapitan Honel i inni mówili do nas, usiłowali uspokoić; matka nie odpowiadając nikomu wpatrywała się wciąż w morze...

Nagle rozległ się straszliwy krzyk, górujący nad rykiem burzy.

— Kotwica puściła!

Matka upadła na kolana i pociągnęła mnie za sobą.

Ujrzałem łódź płynącą wpoprzek, na grzbiecie olbrzymiego bałwana. *Swięty Jan*, uniesiony, porwany przez fale, przepłynął granicę nadbrzeżnych skał; ale bałwan zaczął spadać w dół; łódź pogrążyła się, wirując gwałtownie, i znikła bez śladu; na jej miejscu pozostał tylko pokład piany...

Po dwóch dniach dopiero znaleziono ciało mojego ojca straszliwie poranione; ciała naszego krewnego nie znaleziono nigdy...

IV.

Przez sześć lat poprzednich miejsce ojca przy stole było puste, lecz nie była to ta pustka przerażająca i martwa, jaka nastąpiła po katastrofie.

Śmierć jego nie pogrążyła nas w nędzy; gdyż mieliśmy własny dom i kawałek ziemi, jednakowoż matka musiała pracować, by zaspokoić nasze potrzeby.

Dawniej była ona jedną z najlepszych prasowaczek w Port-Dieu, a że czepce tam noszone są ubraniem, wymagającem wykwintnego prasowania, zdobyła niezadługo obszerną praktykę

Bracia Lehen uważali też, że należy przyjść nam z pomocą.

— Mój brat będzie brał was do prania raz na dwa tygodnie — powiedział starszy pan Lehen do matki — ja również. Jeden dzień w tygodniu mieć zapewniony, zawsze to coś znaczy!

Tylko tyle. Nie była to hojna zapłata za życie ludzkie...

Dzień pracy w onych czasach mierzył się według słońca; więc rankami i wieczorami, przed i po szkole, miałem parę godzin, w których, podczas nieobecności matki, mogłem robić co mi się podobało.

A podobała mi się nadewszystko włóczęga po tamie, lub po wybrzeżu, stosownie do stanu morza. Wszystkie usiłowania biednej mojej matki, chcącej zatrzymać mnie w domu, były bezskuteczne; dobrze jeszcze, jeżeli nie wymykałem się na wędrówkę, zamiast iść do szkoły, kiedy nie było statków powracających

z Nowej Ziemi, ani wielkiego przypływu morza, ani burzy.

W taki właśnie dzień wielkiego przypływu i włóczęgi, spotkałem kogoś, kto wywarł wielki wpływ na mój charakter i zdecydował o całem mojem życiu.

Był to koniec września: W piątek rano, zamiast do szkoły, poszedłem pomiędzy nadbrzeżne skały i zacząłem jeść śniadanie; miałem dwie godziny czasu przed sobą.

Morze podnosiło się z szybkością wzbierającej rzeki, i skały prędko zanurzały się jedna za drugą w wodzie. Nie było wcale bałwanów, tylko wąski pas piany oddzielał błękitne morze od żółtego piasku. W dali — tam gdzie wody zlewają się z niebem — wzrok tonął w szarawych przestrzeniach; widać było wszystko dalej niż zwykle—przylądek Vauchel i szczyt Aval, widzialne tylko podczas gwałtownych zmian pogody.

Morze zaczęło opadać z równą szybkością . Szedłem za cofającą się falą; ukryłem w załamku skały koszyczek z jedzeniem i saboty; brnąłem boso po wilgotnym piasku wybrzeża, na którym każde moje stąpnięcie wyciskało dołek, napełniający się natychmiast wodą.

Na naszych piaszczystych wybrzeżach sterczą porozsiewane w pewnej odległości jedne od drugich grupy skał, które przy odpływie mo-

rza tworzą coś nakształt czarniawych wysp. Siedząc na jednej z tych wysp, zajęty łowieniem krabów pod morskiemi porostami, usłyszałem wołanie.

Kto się poczuwa do winy, zwykle nie odznacza się wielką odwagą, więc i ja przestraszyłem się w pierwszej chwili, lecz spojrzawszy przekonałem się, że nie mam czego się obawiać, bo ten, kto mnie wołał, nie miał zamiaru odesłać mnie do szkoły. Był to stary człowiek z białą brodą, którego cała okolica nazywała panem *Niedzielą*, dlatego, że miał służącego *Sobotę*. W rzeczywistości zaś nazywał się on pan de Bihorel i mieszkał na małej wysepce, o kwadrans drogi od Port-Dieu. Dawniej wysepka ta była połączona z ziemią, lecz pan de Bihorel kazał przerwać granitową szosę, tworzącą przylądek i zrobił z niej w ten sposób prawdziwą wyspę, którą morze podczas przypływu oblewało ze wszystkich stron. Miał on sławę największego dziwaka na dwadzieścia mil w około, a tę sławę zawdzięczał olbrzymiemu parasolowi, który nosił zawsze rozpostarty nad głową, życiu samotnemu, jakie prowadził i mieszaninie surowości i dobroci, cechującej go w stosunkach z tutejszymi mieszkańcami.

— Hej, mały! — wołał. — Co ty tam robisz?

— Jak pan widzi—szukam krabów...

— Zostaw kraby, a chodź ze mną: będziesz mi niósł siatkę i nie pożałujesz trudu...

— Nie odpowiedziałem nic, ale milczenie moje było wymowne.

— Ach! ach! nie chcesz?

— Ale... bo...

— Cicho bądź, ja sam ci powiem, dlaczego nie chcesz: powiedz mi tylko, jak się nazywasz!

— Roman Kalbris.

— Syn tego Kalbrisa, który zginął przeszłego roku, ratując bryg? Twój ojciec to był człowiek.

— Chlubiłem się moim ojcem; po ostatnich słowach pana de Bihorela, zacząłem nań patrzeć z mniejszą nieufnością.

— Masz dziewięć lat — mówił dalej, kładąc rękę na mojej głowie i patrząc mi w oczy. Dziś jest piątek, samo południe, i włóczysz się po wybrzeżu, zamiast siedzieć w szkole...

Spuściłem oczy, zarumieniłem się.

— Nie trudno to zgadnąć; a teraz powiem ci, dlaczego to robisz. Nie obawiaj się, mały próżniaku, nie jestem czarodziejem. Spojrzyj mi w oczy! Chcesz skorzystać z odpływu morza i iść na połów?

— Tak, proszę pana... chcę zobaczyć *Psią Głowę*.

Psią Głową nazywają skałę która rzadko kiedy odsłania się.

— Dobrze! i ja także idę obejrzeć *Psią Głowę*... Weź sieć i chódź ze mną.

Poszedłem za nim, nic nie mówiąc; byłem zdumiony, że tak dokładnie odgadł moje zamiary. Pomimo, że dobrze go znałem, poraz pierwszy dopiero tak długo z nim mówiłem i nie wiedziałem, że miał szczególniejsze upodobanie w odgadywaniu powodów, jakie kierowały postępkami ludzi. Wielka bystrość i długie doświadczenie ułatwiały mu zgadywanie, a że nie obawiał się nikogo, mówił zawsze co myślał, nie zważając, czy wrażenie jakiego doznał było dodatnie, czy ujemne.

Chociaż niechętnie, zmuszony byłem rozmawiać z nim, a przynajmniej odpowiadać na pytania, jakie mi zadawał bezustannie. W kwadrans wiedział już wszystko o mnie, o moim ojcu i matce, i o całej mojej rodzinie. Opowiadanie o stryju w Indjach zajęło go mocno.

— Ciekawe! — powtarzał.—Usposobienie awanturnicze, krew normandzka, połączona z krwią fenicką... stąd i nazwisko Kalbrisów...

Rozmowa ze mną nie przeszkadzała mu wiele do rozglądania się po wybrzeżu, i do zbierania różnych muszelek i roślin, które wkładałem do sieci.

— Jak się to nazywa? — zapytywał za każdym razem.

Prawie zawsze odpowiadałem mu milczeniem, gdyż pomimo, że znałem z widzenia te rośliny i muszle, nazwisk ich nie wiedziałem.

— Jesteś prawdziwie dzieckiem swojego kraju! — zawołał zniecierpliwiony. — Dla was wszystkich morze jest na to, by je rabować i obdzierać, a jest wiekuistym wrogiem, przeciwko któremu należy się bronić. Czy nigdy nie przekonacie się, że jest ono takim samym żywicielem, jak ziemia, i że te lasy rosnące w jego głębi, na równinach i górach dna morskiego, zamieszkałe są przez większą liczbę istot, niżeli nasze lasy na ziemi? Czyliż ten widnokrąg bez granic, te chmury, te fale, nic innego wam nie przywodzą na myśl, oprócz burz i rozbicia?

Mówił to wszystko z uniesieniem, które mnie zdumiewało; podaję tu raczej ogólny sens jego mowy, niżeli same słowa, których nie mogłem dokładnie zapamiętać; lecz wrażenie jakie na mnie wywarł, było tak silne, że dziś jeszcze widzę go stojącego pod parasolem, wskazującego ręką na morze i kierującego moje oczy w tym samym kierunku.

— Chodź!—mówił dalej, pokazując mi zagłębienie skały, z którego woda nie opadła. Chcę cię trochę poznajomić z morzem. Powiedz mi, co to jest?

Wskazał łodygę płowego koloru, uczepioną do kamienia, a na drugim końcu zakończo-

ną żółtawego koloru koroną, której postrzępione brzegi były śnieżno białe.

— Czy to roślina, czy zwierzę? Nie wiesz, wszak prawda? Otóż wiedz, że to zwierzę. Gdybyśmy mieli czas dłużej tu posiedzieć, zobaczyłbyś, jak się oderwie dziś od kamienia, a wiesz, że rośliny nie ruszają się... Przyjrzyj się z bliska, patrz jak to, co jest podobne do kwiatu, wydłuża się, skraca, kołysze. Uczeni nazywają to „morskim zawilcem, czyli anemoną". Ale żebyś dokładnie przekonał się, że to żyjątko, złap mi krewetkę *). Wiesz, że kwiaty nie jedzą, prawda?

Mówiąc to wziął krewetkę i wrzucił ją w koronę anemony; korona zamknęła się i krewetka znikła pochłonięta w jej głębi.

W zagłębieniu pełnem wody schwytałem małą raję; zakopała ona swoje skrzele w piasku, chcąc się ukryć, ale centki brunatne i białe na ciele zdradziły ją; poniosłem ją panu de Bihorel.

— Dostrzegłeś tę raję dzięki tym centkom, które zdradzają ją w obec żarłocznych ryb; a że w głębiach morza wre nieustanna walka, w której jedni drugich zabijają, te biedne raje, słabo pływające, niezadługo wyginęłyby do szczętu, gdyby mądrość natury nie za-

*) Gatunek drobnego raczka morskiego (przyp. tł.).

pobiegła temu. Przypatrz się ogonowi rai; jest on cały najeżony kolcami, tak, że gdy raja ucieka, nieprzyjaciel zwabiony jej centkami nie może jej ująć z tamtej strony. Jest i tu pewne prawo ogólnej równowagi, które możesz zauważyć już dziś, a później zrozumiesz lepiej.

Byłem oczarowany. Łatwo pojąć, jakie wrażenie robił ten wykład na dziecku z natury ciekawem i lubiącem pytać, któremu nikt dotąd nie odpowiadał nigdy na pytania. Obawa, która z początku zamykała mi usta, ustąpiła wkrótce.

Idąc za odpływem morza, doszliśmy do *Psiej Głowy*. Jak długo tam byliśmy nie wiem. Nie zdawałem sobie sprawy z upływającego czasu. Biegałem od skały do skały i znosiłem panu de Bihorel muszle i rośliny, które poraz pierwszy widziałem. Napełniałem kieszenie mnóstwem rzeczy, które wydawały mi się niezmiernie ciekawe, gdy je zbierałem, lecz po chwili wyrzucałem je, znalazłszy inne, jeszcze ciekawsze.

Nagle spostrzegłem, że brzegu nie widać; znikł on wśród gęstej mgły. Całe niebo było jednostajnie szarego koloru, a morze tak spokojne, że prawie nie było słychać jego szumu.

Gdybym był sam, byłbym zaraz poszedł ku wybrzeżu, wiedząc jak trudno znaleźć drogę

podczas mgły; ale że pan de Bihorel nie mówił nic, nie śmiałem do niego przemawiać.

Tymczasem mgła rozciągająca się na całym brzegu zaczęła się posuwać ku nam, podobna do chmury dymu, unoszącego się z ziemi ku niebu.

— Ach! ach! otóż i mgła — zawołał pan de Bihorel. — Jeżeli nie mamy ochoty grać w ślepą babkę trochę niebezpieczną, trzeba wracać zabierz siatkę.

Ale w tejże chwili chmura dopędziła nas, prześcignęła i zasłoniła nam wszystko; straciliśmy z oczu i brzeg, i morze leżące zaledwie o pięćdziesiąt kroków za nami i pogrążyliśmy się w szarawym mroku.

— Morze jest tam — odezwał się spokojnie pan de Bihorel. — Trzeba nam iść prosto przed siebie.

Iść prosto po tym piasku bez żadnego śladu, któryby stanowił wskazówkę, było prawdziwie grą w ślepą babkę, tem bardziej, że od nadbrzeżnych skał dzieliła nas półmilowa przestrzeń.

Po dziesięciu minutach dostaliśmy się pomiędzy skały.

— To są *Zielone Kamienie!*—zawołałem.

— Nie, to *Pouldu* — odrzekł pan de Bihorel.

— To *Zielone Kamienie* z pewnością, proszę pana.

Poklepał mnie po twarzy.

— Ach! ach! zdaje się, że mamy główkę nie dla kształtu — powiedział.

Jeżeli to były *Zielone kamienie* należało iść wzdłuż, zawróciwszy na prawo, i dojść tamtędy do Port-Dieu, jeżeli zaś przeciwnie były to skały *Pouldu,* trzeba było zwrócić się na lewo, ażeby nie oddalić się od wsi.

W jasny dzień nic łatwiejszego nad rozpoznanie tych skał, nawet w nocy przy świetle księżyca poznałbym je z łatwością, lecz w pośród mgły można było tyle tylko widzieć, że to są kamienie mchem porosłe—nic więcej.

— Posłuchajmy — odezwał się pan de Bihorel — szum morza wskaże nam kierunek.

Nic nie było słychać, ani odgłosów z wybrzeża, ani szumu morza. Wiatru nie było wcale. Byliśmy zanurzeni wśród białawego tumanu nakształt waty, który zatykał nam uszy i zasłaniał oczy.

— To *Pouldu* — utrzymywał pan de Bihorel.

Nie śmiałem mu przeczyć i zawróciłem za nim na lewo.

— Chodź do mnie, moje dziecię — odezwał się łagodnie — daj mi rękę ażebyśmy się nie zgubili. Raz! dwa! dalej w drogę!

Szliśmy przez jakieś dziesięć minut i uczułem, że jego ręka coraz silniej ściska moją.

Słychać było słaby plusk wody. Pomyliliśmy się. Były to istotnie *Zielone kamienie,* zawróciliśmy w stronę morza które było o parę kroków zaledwie przed nami.

— Miałeś słuszność — przemówił pan de Bihorel — należało zwrócić się na prawo. Wracajmy!

Wracać — ale dokąd? Jak się kierować? Wiedzieliśmy w której stronie jest morze, gdyż słychać było szum wody uderzający z lekka o brzegi, ale oddaliwszy się trochę nie słyszeliśmy już nic i nie wiedzieliśmy nawet czy idziemy w stronę wybrzeża, czy oddalamy się od niego?

Ciemności stawały się coraz gęstsze, ponieważ do mgły przyłączył się zapadający mrok. Od kilku chwil nie widzieliśmy już nawet własnych nóg, a pan de Bihorel z trudnością zaledwie mógł dojrzeć godzinę na zegarku. Była szósta. Przypływ morza miał się rozpocząć za chwilę.

— Trzeba się spieszyć — powiedział pan de Bihorel. — Jeżeli fale nas dopędzą, będą szły prędzej od nas, morze ma buty siedmiomilowe.

Poznał po drżeniu mojej ręki, że się boję.

— Nie lękaj się, moje dziecko, wiatr się zerwie od lądu i odepchnie mgłę w pełne morze, zresztą, za chwilę zobaczymy latarnię morską gdy zapalą światło.

Niebardzo mnie to mogło uspokoić, co do latarni, wiedziałem, że jej światła nie zobaczymy. Od kilku chwil myślałem o trzech kobietach, które przeszłego roku na tem samem wybrzeżu zaskoczyła mgła i które tam utonęły. Ciała ich znaleziono dopiero po upływie tygodnia, widziałem je po przyniesieniu do Port-Dieu i stały mi teraz przed oczyma, straszne, w nędznych łachmanach, pokrytych zielonkawą pleśnią...

Pomimo żem usiłował się powstrzymać, zacząłem płakać. Pan de Bihorel starał się uspokoić mnie łagodnemi słowy.

— Wołajmy — mówił — jeżeli który ze strażników celnych jest nad brzegiem usłyszy nas i odpowie; niechże na to przynajmniej zdadzą się raz te brytany...

Zaczęliśmy wołać, on silnym głosem, ja głosikiem stłumionym od łkania. Nikt nam nie odpowiedział, ani nawet echo, a to głuche milczenie przejęło mnie jeszcze większą trwogą, zdawało mi się, że leżę już martwy w głębi wody, na dnie morza.

— Chodźmy! — powtarzał pan de Bihorel — czy możesz iść?

Ciągnął mnie za rękę i szliśmy na chybił trafił. Z tego co mi mówił dla uspokojenia, widziałem dobrze, że jest niespokojny i że sam nie wierzy w to co mówi.

Po półgodzinnej wędrówce rozpacz mnie ogarnęła, i puszczając jego rękę rzuciłem się na piasek.

— Niech mnie pan tu zostawi, ja już tu umrę! — zawołałem z płaczem.

— Masz tobie! — odrzekł. — Nowy przypływ morza jak widzę; staraj się powstrzymać łzy, czy może umierać ten kto ma matkę? No! podnieś się i chodźmy!

Ale wszystko było daremne, siedziałem niezdolny do ruchu.

Nagle krzyknąłem:

— Panie!

— Co takiego, moje dziecko?

— Tu! tu! niech się pan schyli!

— Czy chcesz ażebym cię wziął na ręce, biedaku?

— Nie! nie! niech pan zobaczy!

I biorąc go za rękę przytknąłem jego dłoń do ziemi.

— Co takiego?

— Czy pan czuje, że tu jest woda?

Wybrzeża koło Port-Dieu pokryte są grubą warstwą piasku bardzo delikatnego i przepuszczalnego, po odpływie morza, piasek ten napojony jak gąbka ocieka z wody, która łączy się w małe strumyczki prawie niedostrzegalne, spływające po pochyłości gruntu ku morzu. Właśnie na jeden z takich strumyczków trafiła moja ręka.

— Brzeg jest tam! — zawołałem i wyciągnąłem rękę w stronę z której płynęła woda.

Podniosłem się, nadzieja dodała mi siły. Pan de Bihorel nie potrzebował mnie już ciągnąć.

Szedłem naprzód, schylając się od czasu do czasu, dotykałem ręką ziemi i kierowałem się według biegu spływającej wody.

— Jesteś dzielny chłopiec — odezwał się pan de Bihorel. — Gdyby nie ty, zdaje mi się, że zginęlibyśmy...

Szliśmy jakie pięć minut może, gdy nagle woda znikła. Postąpiliśmy jeszcze kilka kroków, ręka moja poczuła suchy piasek.

— Niema wody!

Schylił się i zaczął macać obiema rękami, czuliśmy tylko wilgotny piasek czepiający się naszych palców.

Jednocześnie usłyszeliśmy przed sobą lekki plusk. Pan Bihorel rzekł:

— Pomyliłeś się. Idziemy w stronę morza.

— Nie! zaręczam panu, że nie! Gdybyśmy zbliżali się w stronę morza, piasek byłby więcej zmoczony.

Nie odpowiedział nic i wyprostował się. Staliśmy tak przez chwilę znowu niepewni, zbłąkani. Pan Bihorel wyjął zegarek; za ciemno było, żeby dojrzeć wskazówki, ale za naciśnię-

ciem zegarek wybił godzinę: trzy kwadranse na siódmą.

— Przypływ morza trwa już przeszło godzinę...

— Więc pan widzi, że zbliżyliśmy się do brzegu!

Jakgdyby dla potwierdzenia moich słów, rozległ się za nami głuchy huk: nie było już wątpliwości: to przypływ morza!

— Więc przed nami są piaszczyste pagórki—powiedział pan Bihorel.

— I mnie się tak zdaje.

Ruchome piaski na wybrzeżu nie tworzą zupełnej płaszczyzny; powstają na niej pagórki, porozdzielane małemi zagłębieniami. Na pozór wygląda to jak równina, tak niewielkie są te wzniesienia powierzchni, ale różnica poziomu, choć mała, sprawia, że zagłębienia te najczęściej zapełnia woda podczas przypływu morza i tylko szczyty pagórków sterczą, tworząc rodzaj wysepek, o które z jednej strony bije fala przypływu, a z drugiej płynie woda na dnie dolinki, jak w łożysku rzeki. Staliśmy właśnie nad jedną z takich rzeczek. Czy głęboka? To było najważniejsze w tej chwili.

— Trzeba się przez nią przeprawić—postanowił pan Bihorel.—Trzymaj się mnie mocno.

A widząc, że się waham, dodał:

— Czy wolisz zamoczyć nogi czy głowę? Zdecyduj się. Ja wolę zamoczyć nogi.

— Proszę pana, możemy utonąć w tej wodzie!

— Więc wolisz tu czekać, aż nas dogoni morze?

— Nie! ale niech pan idzie naprzód; ja będę wołał, a pan pójdzie w kierunku przeciwnym. Doszedłszy do drugiego brzegu, niech pan zacznie krzyczeć, a ja skieruję się w stronę pańskiego głosu.

— Więc idź ty pierwszy.

— Nie! bo ja pływam lepiej od pana.

— Dzielny malec z ciebie. Muszę cię za to uściskać.

Uściskał mnie tak serdecznie, jakgdybym był jego synem, a to mnie wzruszyło do głębi.

Nie było chwili do stracenia; morze nadpływało prędko; coraz bliżej odzywał się jego szum. Pan Bihorel wszedł do wody, a ja zacząłem krzyczeć.

— Nie krzycz!—odezwał się pan Bihorel, którego już nie widziałem.—Lepiej śpiewaj.

Zacząłem śpiewać miejscową piosneczkę; po chwili przerwałem śpiew i zawołałem:

— Czy pan ma jeszcze grunt pod nogami?

— Dotąd mam, i zdaje się, że zaczynam iść pod górę!—odkrzyknął.

Prześpiewałem całe trzy zwrotki piosneczki, kiedy dosięgło mnie wołanie pana Bihorela:

— Chódź za mną! Mam wody tylko po kolana!...

Zaczął śpiewać jakąś bardzo smutną melodyę, a ja wszedłem w wodę. Ale, że byłem mniejszy od pana Bihorela, wnet straciłem grunt pod nogami, lecz była to dla mnie fraszka, bom pływał jak ryba. Tylko, że prąd mnie unosił, i trudno mi było utrzymać się w prostej linii, zeszło przeszło kwadrans, zanim dopłynąłem do pana Bihorela.

Kiedym go dogonił, wyszliśmy obaj z wody na piasek.

Odetchnął z głębi piersi, co było dowodem, jak mocno się niepokoił...

— Zażyjmy tabaki—odezwał się.—Zarobiliśmy na nią.

Ale otworzywszy tabakierkę, krzyknął, otrząsając palce.

— Z tabaki zrobiły się fusy, a kółka zegarka obracają się w wodzie, jak młyńskie kamienie!... Ach! co na to powie *Sobota?*

Nie rozumiałem, co to znaczy, ale już się nie bałem. Sądziłem, że niebezpieczeństwo minęło.

Nie minęło jednak wcale; i mieliśmy przed sobą jeszcze większą połowę drogi, to samo niebezpieczeństwo i te same trudności.

Mgła robiła się coraz gęstsza, noc zapadła, i mimo zbliżania się do wybrzeża, nie dochodziły nas stamtąd żadne odgłosy; ani ryk

krowy, ani nawoływania lub turkot wozów: nic, tylko głęboka cisza przed nami, a za nami głuchy pomruk przybierającego morza.

Była to dla nas jedyna wskazówka, ale niepewna i zdradliwa. Idąc zbyt prędko, mogliśmy zabłądzić, idąc zawolno, narażaliśmy się na to, że nas dopędzi morze i pochłonie, zanim dobijemy się do wybrzeża, gdzie stroma pochyłość zatrzymywała fale.

Zaczęliśmy znowu iść, trzymając się za ręce; schylałem się często i dotykałem piasku, ale nie czułem już spływającej wody. Szliśmy przez ławice porżnięte drobnemi zmarszczkami, w których woda zatrzymywała się nieruchomo, lub drobnymi strumykami sączyła się równolegle do ręki.

Nadzieja jaką cieszyliśmy się, przeszedłszy przez strumień zgasła i nagle zatrzymaliśmy się obaj jednocześnie. Odgłos dzwonu rozległ się w powietrzu.

Po paru sekundach usłyszeliśmy po raz drugi dźwięk dzwonu, potem poraz trzeci.

W Port-Dieu dzwoniono na Anioł Pański. Zawróciliśmy w stronę, z której dochodziły dzwony.

Zaczęliśmy biedz, a pan Bihorel wołał:

— Spieszmy się! Anioł Pański trwa krótko, a nam potrzebaby całej litanii, żeby zdążyć!

Biegliśmy z całej siły, licząc uderzenia dzwonu. Wiedzieliśmy dobrze, że jeżeli dzwo-

nienie umilknie, zanim dobiegniemy do stromego wybrzeża, możemy zabłądzić na nowo.

Dzwonienie ucichło, a my byliśmy ciągle jeszcze na piasku. Może strome wybrzeże znajdowało się o kilka kroków zaledwie, może tuż—ale w której stronie? Każdy krok mógłby nas zbliżyć do ocalenia, lub do zguby, od której uratowaliśmy się przed chwilą.

— Stój!—zawołał pan Bihorel.—Ani kroku dalej naoślep... Dotknij piasek, moje dziecko.

Przyłożyłem obie ręce do piasku: zaczekałem chwilę i odjąłem: były suche.

— Czy rachowałeś ile strumieni przeszliśmy dotąd?

— Nie, nie rachowałem.

— Więc niewiadomo, czy trzeba będzie je jeszcze przebywać, zanim dojdziemy do wybrzeża. Jeżeli przeszliśmy wszystkie, można zaczekać. Gdy morze nadpłynie, będziemy szli przed falą.

— Tak, ale jeżeli nie przeszliśmy wszystkich?

Nie odpowiedział mi nic na to, bo wiedział to samo, co i ja; że jeżeli został choćby jeden strumień przed nami, morze go napełni i trzeba nam będzie przebywać go wpław, narażając się na to, że prąd może nas unieść lub rozbić o skały.

Przebyliśmy chwile strasznej trwogi, nie wiedząc, czy iść dalej, czy się cofać, czy za-

wrócić na prawo lub na lewo. Stojąc na miejscu, mieliśmy przynajmniej tę pewność, że wybrzeże jest przed nami, a jeden fałszywy krok, mógł nas pogrążyć na nowo.

Jedyną naszą nadzieję pokładaliśmy w tem, że może zerwie się wiatr, rozpędzi mgłę i odsłoni latarnię morską. Na odgłosy wsi nie mogliśmy liczyć, byliśmy prawdopodobnie od strony południowej, gdzie o tej godzinie panowała pustka. Ale powietrze było tak ciężkie, taka cisza wśród gęstej mgły, że cudem chyba mógł się wiatr zerwać.

Ten cud się spełnił; dzwony odezwały się znowu.

W kościele odbywał się chrzest i teraz mogliśmy zdążyć, bo przy takich uroczystościach, dzwonienie trwa pół godziny, a nawet dłużej, jeżeli chrzestny ojciec dobrze pokrzepi siły dzwonnika.

W dziesięć minut doszliśmy do wyniosłego brzegu, stamtąd do szosy, łączącej wysepkę pana Bihorela z lądem. Niebezpieczeństwo już nam nie groziło...

Pan Bihorel chciał mnie zabrać do siebie lecz mimo jego nalegań, odmówiłem. Pilno mi było wrócić do domu, bo matka może już także wróciła.

— Powiedz twojej matce, że jutro przyjdę rozmówić się z nią — powiedział pan Bihorel przy rozstaniu.

— Byłbym wolał, żeby obeszło się bez tych odwiedzin, bo matka dowie się gdzie spędziłem cały dzień; ale czy mogłem temu przeszkodzić?

W domu, nie zastałem jeszcze matki. Gdy przyszła, byłem już przebrany w suchą odzież i stałem przed kominem, na którym rozpaliłem ogień.

Powiedziałem jej o zapowiedzianych odwiedzinach pana Bihorela.

Nazajutrz wieczorem, o oznaczonej godzinie przyszedł. Nadsłuchiwałem czy idzie, usłyszawszy odgłos jego kroków, miałem ochotę uciec.

— Czy chłopiec opowiedział pani, co robił wczoraj przez cały dzień?—zapytał pan Bihorel po powitaniu.

— Nie, panie, nic nie mówił.

— No! więc niech pani wie, że włóczył się cały dzień.

Biedna matka spojrzała na mnie ze smutkiem i niepokojem, spodziewajac się skargi na mnie.

— Ach! Romanie!—westchnęła żałośnie.

— Niech go pani nie łaje — przerwał pan Bihorel — bo ten chłopiec podczas włóczęgi, ocalił mi życie. Nie bój się, mój mały, i chódź do mnie. Dzielnego macie syna, pani Kalbris; możecie się nim chlubić.

Opowiedział matce nasze wczorajsze spotkanie, i jak nas mgła zaskoczyła.

— Gdyby nie on, byłbym zginął, rozumie to pani dobrze. Rano gniewałem się na jego nieuctwo, bo nie umiał nazwać tego, co dla mnie zbierał. Ale w chwili niebezpieczeństwa, moja nauka nie na wiele mi się zdała, i gdyby nie doświadczenie praktyczne tego dziecka, kraby, raki morskie i inne stworzenia miałyby teraz ucztę z mojego ciała. Zaciągnąłem dług wdzięczności, względem pani syna, i radbym się z niego wypłacić.

Matka poruszyła się żywo.

— Niech się pani nie obawia!—mówił, nie dając jej przyjść do słowa.—Nie będę robił propozycyi, któreby nie odpowiadały pani godności i wielkości przysługi, jaką mi chłopiec oddał. Rozmawiałem z nim, widzę, że jest ciekawy i żądny wiadomości. Niech go pani mnie powierzy, a zajmę się jego wychowaniem i nauką. Nie mam dzieci, lubię je i nie będzie mu źle u mnie.

Matka wysłuchała z wdzięcznością propozycyi, lecz odmówiła.

— Przepraszam panią—odrzekł pan Bihorel, usłyszawszy odmowę.—Rozumiem, dlaczego pani nie chce mi oddać syna. Kochasz go nad życie: kochasz go dla niego samego i przez pamięć męża, którego straciłaś; jest on dla ciebie wszystkiem na świecie i pragniesz go za-

trzymać przy sobie. Nieprawdaż?! A teraz powiem pani, dlaczego powinnaś mnie go powierzyć. Jego umysł żywy, potrzebuje nauki. W Port-Dieu niema sposobności do tego, a nie wchodząc w szczegóły waszego położenia przypuszczam, że nie mogłabyś wyprawić go na naukę. Przytem, chłopiec ma charakter niepodległy i żyłkę awanturniczą, nad czem trzeba czuwać. Niech się pani nad tem zastanowi spokojnie, z zimną krwia, gdy minie pierwsze wzruszenie macierzyńskiego serca. Jutro wieczorem przyjdę tu znowu.

Po odejściu pana Bihorela, zasiedliśmy do wieczerzy, lecz matka wcale nie jadła. Wpatrywała się we mnie długo, a gdym spojrzał, odwracała oczy i spoglądała w ogień.

Kiedym jej mówił dobranoc, twarz miała mokrą od łez. Co było tych łez przyczyną? Czy czuła się dumną ze mnie po tem, co jej pan Bihorel opowiedział? Czy płakała na mysl o rozłączeniu?

Ja w tej chwili, myślałem tylko o rozstaniu i to niepokoiło mnie także.

— Nie płacz, mateczko!—prosiłem, całując ją.—Nie rozłączę się z tobą nigdy.

— Nie mów tego, moje dziecko, bo to dla twego dobra. Pan Bihorel ma słuszność: trzeba się zgodzić na jego propozycyę...

V.

Mój wstęp do domu pana Bihorela usprawiedliwił zupełnie opinię dziwaka, jaką miał u wszystkich.

Dochodząc do domu, zastałem go przed drzwiami, bo zobaczywszy, że idę, wyszedł na moje spotkanie.

— Wchodź tędy!—powiedział, nie dając mi czasu na rozejrzenie się.—Czy pisałeś kiedy w życiu list? Pewnie nie. Więc napiszesz zaraz list do matki, zawiadamiając ją, że przybyłeś już do mnie, i że *Sobota* przyjdzie do niej jutro, po twoją bieliznę. Z tego listu, osądzę co umiesz. Wejdź tu i siadaj.

Wprowadził mnie do dużej sali, pełnej książek, wskazał miejsce przy stole, na którym leżał papier, pióro i atrament, i odszedł.

Miałem większą chęć do płaczu, niż do pisania, bo ta szorstkość przyjęcia, po bolesnych wzruszeniach pożegnania z matką, przygniotła mi serce jak kamieniem: mimo to, usiłowałem spełnić rozkaz. Lecz na papierze więcej było śladów łez, niż atramentu, bo to był mój pierwszy list i wiedziałem tylko, że „przybyłem szczęśliwie, i że *Sobota* przyjdzie jutro, po moją bieliznę".

Było to bardzo krótko, ale nie mogłem wymyślić nic innego.

Siedziałem już przeszło kwadrans, upadając pod ciężarem tego nieszczęśliwego listu, którego nie umiałem przedłużyć, kiedy moją uwagę zwróciła rozmowa w sąsiednim pokoju, prowadzona przez pana Bihorela z *Sobotą*.

— No i tak!—mówił *Sobota*.—Dziecko już jest.

— A ty myślałeś, że nie przyjdzie?

— Myślałem, że po jego przybyciu wszystko tu się zmieni.

— Co się zmieni?

— Pan je śniadanie koło południa; ja piję rano moją miarkę. Czy dziecko będzie czekało do południa na śniadanie, czy ma wypić miarkę ze mną rankiem?

— Głupi jesteś, ze swoją „miarką".

— Mój Boże! Nie wychowywałem przecie nigdy dzieci!

— Ale sam byłeś kiedyś dzieckiem, prawda? Więc przypomnij sobie, co ci wtedy dawano i tak samo z nim postępuj.

— Ale co znowu! To nie na pański dom. Ja się wychowywałem w twardej szkole; gdyby pan chciał go tak samo wychowywać, lepiej byłoby odesłać go zaraz do matki. A przecież trzeba pamiętać, że pan ma względem niego obowiązki wdzięczności.

— Ty także o tem pamiętaj i zachowaj się odpowiednio.

— Więc mu będę dawał „miarkę“ osłodzoną.

— Będziesz mu dawał to, co sam w jego wieku lubiłeś. A najlepiej zapytaj się jego samego, czego chce.

— No! jeżeli pan zacznie z nim w taki sposób, to będzie coś ciekawego!

— *Sobota!* Czy ty wiesz, do czego służą dzieci?

— Do tego, żeby wszystko psuć i niszczyć, a ludzi doprowadzać do wściekłości.

— Służą do czegoś więcej: do tego, żebyśmy mogli rozpocząć nowe życie, jeżeli się dawne wykoleiło. I do tego, żeby im udało się to, co nam się nie powiodło.

W tej samej prawie chwili pan Bihorel wszedł do pokoju, gdzie siedziałem nad listem.

— Nic nie umiesz—powiedział, przeczytawszy,—tem lepiej; nie będzie potrzeba nic wypleniać przed siewem. Teraz możesz się przejść trochę.

Osobliwe było to miejsce, ta wyspa, zwana *Pierre Gante* i nigdy w życiu nie zdarzyło mi się widzieć nic podobnego do niej.

Z wybrzeża wyspa przedstawiała się jak amfiteatr, w kształcie wydłużonego trójkąta, którego koniec dłuższy i niższy oddziela od stałego lądu pasmo wody, szerokie co najwyżej na czterysta metrów. Pochyłość od tej strony pokryta jest zielonością, trawą, krzakami, wśród

których sterczą gdzieniegdzie szare, granitowe głazy, druga strona od morza, jest pusta, łysa, spalona wiatrem, wyżarta solą.

Dom stał na najwyniośleiszem miejscu wysepki, tam gdzie schodzą się dwa zbocza, tworząc rodzaj tarasu, ale w zamian za piękny widok na wszystkie strony widnokręgu, na morze i ziemię, wystawiony był na całą gwałtowność wiatrów, wiejących w jakimkolwiek kierunku. Lecz wichry nic mu nie mogły zaszkodzić, bo zbudowano go jako strażnicę na morzu, kiedy groziły najazdy Anglików, mury granitowe miały kilka stóp grubości, a dach tak mocny, że ówczesne pociski działowe, nie mogły mu wyrządzić szkody. Pan Bihorel, kupiwszy tę starą budowlę, otoczył ją gankiem na zewnątrz, a wewnątrz zamienił na dom mieszkalny, poprzedzielawszy ścianami i porobiwszy drzwi. Nie uczynił go wygodnym ani wykwintnym, ale nie zniszczył najważniejszego jego przymiotu, to jest odporności względem wichrów równającej się odporności skały, na której go wzniesiono.

Te straszne wichry, przeciw którym trzeba się zabezpieczać bezustannie, są jednak dobrodziejstwem dla wyspy. W zimie łagodzą temperaturę, zawsze tam wyższą niż na lądzie, tak dalece, że w rozpadlinach skał, rosną krzewy i rośliny, które nawet w mniej ostrym kli-

macie, potrzebują cieplarni, jak oleandry, fuksye i figowe drzewa.

Pan Bihorel pracą własną i *Soboty*, przetworzył wysepkę na wielki park, tylko część jej zachodnia oparła się jego wysiłkom; targana bezustannie wichurą, zlewana pianą bałwanów, służyła jedynie za pastwisko dla krów, rasy bretońskiej i dla stada czarnych owiec.

Osobliwością wyspy było to, że wszystko na niej dokonała wyłącznie praca tych dwóch ludzi, bez pomocy obcych robotników.

Słyszałem nieraz, jak ludzie mówili, że pan Bihorel robi to przez skąpstwo, ale poznawszy go, zrozumiałem, że czynił tak z zasady.

— Człowiek powinien umieć sobie wystarczyć — powtarzał często — a ja jestem żyjącym przykładem, że jest to rzecz możliwa.

Tak dalece pilnował tej zasady, że nawet w rzeczach zwyczajnych, codziennych, nie używał niczyjej pomocy. Żywił się mlekiem od swych krów, warzywem i owocami z własnego ogrodu; rybami łowionemi przez *Sobotę*, chlebem pieczonym w domu z mąki, zmielonej na małym wiatraczku, który był prawdziwem arcydziełem.

Trzeba oddać sprawiedliwość *Sobocie*, że w tych pracach dużo dopomagał. W ciągu swego życia, był on chłopcem okrętowym, majtkiem, służącym, kucharzem na pokładzie wielorybni-

ka i w ten sposób, nauczył się różnych rzemiosł.

Stosunek tych dwóch ludzi, nie był taki jak pana do służącego, ale jak dwóch wspólników, jadali przy jednym stole, a jedyne wyróżnienie polegało na tem, że pan Bihorel, siedział na pierwszem miejscu. Życie w ten sposób ułożone, płynęło z prostotą i godnością, które nie dziwiły mnie wtedy, gdy brałem w niem udział, lecz rozrzewniają mnie teraz, gdy wspominam te dawno upłynione lata.

— Mój chłopcze! — powiedział mi pan Bihorel, pierwszego zaraz dnia — nie mam zamiaru, wychowywać cię na pana, to jest na lekarza lub notarjusza, ale chcę z ciebie zrobić marynarza, któryby był rzeczywiście „*człowiekiem*". Są rozmaite sposoby uczenia się; można się uczyć nawet podczas zabawy i przechadzek. Czy podobałby ci się taki rodzaj nauki.

Przemowa ta do dziecka takiego jak ja, była trochę dziwaczną. Ale z czasem, nauczyłem się rozumieć to wszystko, czego z początku nie mogłem zrozumieć.

Zadziwiło mnie to, że można uczyć się nawet wśród zabawy, bo przedtem nigdy mnie tak nie uczono. Ale zadziwiłem się jeszcze więcej, kiedy nauka rozpoczęła się tego samego popołudnia.

Poszedłem z panem Bihorelem na przechadzkę po wybrzeżu, a on idąc, rozmawiał ze mną.

Doszliśmy do dębowego lasku.

— Co to jest? — zapytał, wskazując mrówki, idące przez drogę.

— Mrówki.

— Wiem. Ale co one robią?

— Przenoszą inne mrówki.

— Pójdziesz za niemi do ich mrówiska; będziesz je śledził, i powiesz mi potem, coś widział. Jeżeli nie zauważysz nic ciekawego, pójdziesz tam znowu jutro, pojutrze, dopóki nie dojrzysz czegoś, co zwróci twoją uwagę.

Po dwóch dniach spędzonych nad mrowiskiem, zauważyłem, że niektóre mrówki nie robiły nic, a inne, pracowały bezustannie, a nawet karmiły tamte próżniaczki.

— To dobrze! — powiedział pan Bihorel wysłuchawszy mego sprawozdania. — Zauważyłeś to, co najgłówniejsze, a to wystarcza. Te mrówki które nic nie robią, nie są ani chore ani niedołężne; są one władczyniami tamtych robotnic-niewolnic. Bez ich pomocy, nie zdołałyby się wyżywić. Dziwi cię to? A jednak i na świecie w niektórych krajach, istnieją dotąd ludzie, na których pracują niewolnicy. Te mrówki zaś, co próżnują, są uzdolnione tylko do walki. Wrócimy jeszcze do nich, i bę-

dziemy dalej śledzili ich zwyczaje; zobaczymy przy sposobności bitwę jaką staczają między sobą mieszkanki różnych mrowisk, a tymczasem, dam ci do przeczytania w książce, napisanej przez uczonego, opis takiej bitwy w rodzie mrówczym.

Tego samego jeszcze wieczora dostałem książkę o mrówkach i pszczołach. Gdyby pan Bihorel nie był zaciekawił mnie mrówkami, i narzucił czytanie jako obowiązek, zamiast jako nagrodę dokonanych badań w mrowisku — jakże inne wrażenie byłaby zrobiła na takim jak ja nieuku? A w ten sposób dana książka pociągnęła mnie i zachwyciła; dziś jeszcze mógłbym przytoczyć całe jej ustępy, które przedstawiają mi się żywiej, niż to, co czytałem wczoraj.

Pan Bihorel wogóle, nie bardzo lubił książki. Ale jednę cenił nadewszystko, na niej wzorował swoje życie, stworzył Pierre - Gante i dokonał nadzwyczajnych robót. Swemu towarzyszowi dał miano *Soboty* przez naśladownictwo, i na cześć ulubionej swej książki—Robinsona Kruzoe.

— Dowiesz się z niej — powiedział dając mi ją — co znaczy dla człowieka siła moralna, dowiesz się, że jeżeli człowiek obdarzony silną wolą, może nanowo wynaleść rzeczy, przez innych przedtem wynalezione, nie powinien się tem pysznić— bo nad nim sprawuje

władzę Bóg. Dziś jeszcze tego nie rozumiesz, ale kiedyś przypomnisz sobie moje słowa.

Nie wiem czy jest na świecie dziecko, któreby mogło obojętnie przeczytać Robinsona. Ja byłem zachwycony. Naturalnie, najwięcej mnie zachwycały przygody na morzu, rozbicie statku, bezludna wyspa, dzicy, góra i tajemniczość położenia. Mój stryj z Indji, znalazł współzawodnika!

Sobota, choć umiał dużo, nie umiał jednak czytać. Widząc mój zachwyt, zaciekawił się i poprosił o przeczytanie mu tej książki.

— Opowie ci to co czytał — powiedział pan Bihorel — a to będzie daleko lepiej. Taki pierwotny człowiek jak ty, woli zawsze opowiadanie niż czytanie.

Doświadczenie, jakie *Sobota* wyniósł z dziesięcioletnich podróży, nie pozwalało mu przyjmować wszystkich przygód Robinsona bez zastrzeżeń. Ale ja miałem na jego zarzuty argument, na który nie było odpowiedzi:

— Tak stoi wydrukowane w książce.

Brałem książkę i odczytywałem dany ustęp.

Sobota słuchał, drapał się po nosie, a potem mówił:

— Jeżeli tak stoi w książce, musi to być prawda. Ale ja byłem na wybrzeżach Afryki,

i nie widziałem nigdy, żeby lwy pływały tam po morzu i rzucały się na statki...

Sobota, najwięcej pływał po morzach północnych i z tych podróży miał wspomnienia różnych przygód, któremi płacił mi za moje opowiadania o Robinsonie.

Opowiadał, jak on i jego towarzysze, zaskoczeni przez lody, musieli wśród nich zimować przez pół roku, załoga statku mieszkała pod śniegiem i prawie połowa ludzi wymarła. Nawet psy pozdychały — nie z zimna ani z braku żywności, lecz z braku światła. Gdyby nie zabrakło oleju do lamp, byliby żyli... Wszystko to było piękne i zajmujące niemniej od Robinsona, ale niekiedy wydawało się zbyt nadzwyczajnem, ażeby można było w to wierzyć. Wtedy pytałem:

— Czy to także stoi w książce?

A Sobota, musiał przyznać, że wprawdzie tego nie czytał, ale widział na własne oczy.

Tego rodzaju rozmowy, nie zachęcały mnie do spokojnego życia na lądzie, co niepokoiło moją matkę. Lecz pan Bihorel przekładał jej, że natury ludzkiej zmienić doszczętnie nie można, i że pociąg do awanturniczego życia, rzadko kiedy prowadzi do szczęścia, ale bywa niekiedy pobudką, do dokonania wielkich czynów.

Nieszczęściem dla mnie, pan Bihorel w owym czasie rozpoczął nowe badania, nad... ptasim językiem. Zdawało mu się, że w świergotaniu i krzykach ptaków odszuka mowę, i zdoła ją ułożyć systematycznie. Próbował i mnie oswoić z tym językiem, ale ja nic nie mogłem zrozumieć. Stąd ciągłe powody do gniewu dla niego, a płaczu dla mnie.

W wolnych od tej nauki chwilach, pan Bihorel, tłomaczył mi, że widząc mój pociąg do podróży, chce mnie tak przysposobić, ażebym zwiedzając mało znane kraje, potrafił zawsze wyciągnąć korzyść dla mej ojczyzny, ażebym wzbogacił mój kraj nowemi roślinami, przyswojeniem nieznanych a pożytecznych zwierząt i ptaków; że pragnie ze mnie uczynić sługę i bojownika nauki, dla dobra i sławy Francyi, której kiedyś mogę oddać ważne usługi.

Piękne to były marzenia, i pociągające słowa, ale niespodziewany wypadek, zburzył wszystkie plany.

Zwykle towarzyszyłem panu Bihorelowi, w jego wycieczkach; zdarzało mu się jednak czasami, wypływać samemu łodzią, gdy chciał studyować bez przeszkody mowę ptaków, na wysepce Grunes, oddalonej o trzy mile morskie, od Port-Dieu.

Pewnego dnia odpłynął sam, wczesnym rankiem, kiedy jeszcze spałem, zadziwiliśmy się mocno, gdy nie powrócił na obiad.

— Ominął czas przypływu morza — powiedział Sobota. Powróci z przypływem wieczornym.

Czas był pogodny, morze spokojne; zdawało się, że niema żadnego niebezpieczeństwa. Pomimo to, Sobota niepokoił się.

Wieczór nadszedł, a pan Bihorel nie wrócił,—Sobota—zamiast iść spać, rozpalił wielkie ognisko, na najwynioślejszem miejscu wysepki. Chciałem z nim siedzieć przy ogniu, ale wyprosił mnie do łóżka, dość szorstko. Przed świtem wstałem i pobiegłem do niego. Chodził naokoło ognia, który palił się wielkim płomieniem; co chwila stawał i nadsłuchiwał. Słychać było tylko szum morza, a niekiedy łopotanie skrzydeł, i ptaki zbudzone ze snu blaskiem ogniska, spadały spłoszone na ziemię.

Bladawe światło rozjaśniło niebo na wschodzie.

— Coś mu się zdarzyć musiało—powiedział Sobota.—Trzeba pożyczyć łodzi od Gossoma i popłynąć na Grunes.

Wyspa Grunes, jest olbrzymiem zbiorowiskiem granitowych głazów, na których gnieżdżą się tylko morskie ptaki. Przeszukaliśmy wkrótce całą wysepkę, ale nie znaleźliśmy nigdzie śladu pana Bihorela ani łodzi.

W Port-Dieu wszyscy się zaniepokoili, bo pan Bihorel, mimo swych dziwactw, był bardzo

lubiony. Jego zniknięcie było zupełnie niezrozumiałe.

— Chyba łódź wywróciła się — mówili jedni.

— W takim razie znaleźlibyśmy łódź.

— A może ją prąd uniósł?

Sobota milczał, ale ani na chwilę nie opuszczał wybrzeża, kiedy morze ustępowało, szedł za odpływającemi falami, i przepatrywał wszystkie skały; zdarzało się niekiedy, że oddaliliśmy się od Port-Dieu, pięć lub sześć mil. Sobota nic nie mówił, nie wymawiał nigdy nazwiska pana Bihorela, tylko spotykając rybaków, pytał żałośnie:

— Nic nowego?

A rybak, rozumiejac o co idzie, odpowiadał krótko:

— Nic nowego.

Jeżeli Sobota dojrzał w moich oczach łzy, klepał mnie po głowie i mówił:

— Dobry z ciebie chłopak! tak! dobry chłopak!

We dwa tygodnie po tem niepojętem zniknieniu, do Pierre-Gante, przyjechał z Normandyi jakiś pan de la Berryais, siostrzeniec pana Bihorela.

Wypytywał nas długo, o wszystko co się stało, i umówił w Port-Dieu, dwunastu ludzi do poszukiwań na wybrzeżach. Poszukiwania trwały trzy dni; trzeciego dnia wieczorem, pan

de la Berryais kazał je przerwać, mówiąc, że już niepotrzeba dłużej szukać, gdyż pan Bihorel musiał utonąć i zapewne prąd wody, uniósł ciało i łódź.

— Skąd pan to wie? — zawołał Sobota. Dlaczego pan dowodzi, że pan Bihorel nie żyje? Prąd mógł unieść łódź, lecz jej nie wywrócił, i pan Bihorel mógł wylądować w Anglii. Może wrócić każdej chwili, choćby jutro...

Mówił to, w obecności ludzi, którzy robili poszukiwania. Nikt mu nie przeczył, przez wzgląd na jego zmartwienie; ale nikt nie podzielał jego zdania.

Nazajutrz pan de la Berryais zawołał nas obu, Sobotę i mnie, i oznajmił, że nie potrzebuje nikogo w Pierre-Gante. Dom każe zamknąć, a notaryusz weźmie pod swoją opiekę zwierzęta, dopóki ich nie sprzeda.

Sobota tak był wzruszony, że mu tchu zabrakło, i tylko bełkotał coś niewyraźnie. Dopiero po chwili, zwrócił się do mnie.

— Zapakuj swoje manatki i wychodźmy zaraz! Na szosie, spotkaliśmy pana de la Berryais, Sobota podszedł do niego.

— Może pan jesteś według prawa, siostrzeńcem naszego pana, ale według mnie, nie jesteś pan niczem, niczem! I mówię to panu jako szczery marynarz!

Ułożyliśmy, że Sobota zamieszka u mojej matki, dopóki nie znajdzie sobie pomieszczenia we wsi, ale nie długo u nas gościł.

Co rano wyruszał na wybrzeże i szukał wytrwale. Trwało to przez trzy tygodnie, a potem, pewnego wieczora, oznajmił nam, że nazajutrz wypływa na wyspy angielskie, a może popłynie do Anglii.

— Bo zrozumiecie to dobrze, że morze nic nie zatrzyma, więc może być że i nic nie wzięło.

Matka chciała się coś więcej od niego dowiedzieć, ale nie powiedział już ani słowa.

Odprowadziłem go na wybrzeże, gdy odpływał.

A gdym go ściskał na pożegnanie, powiedział:

— Dobry z ciebie chłopak! Idź czasem do Pierre-Gante, i zanieś garstkę soli czarnej krowie, ona ciebie także bardzo lubiła...

VI.

Miałem stryja, który odrodził się od rodu Kalbrisów i przekładał ląd stały, nad fale morskie. Był on komornikiem w Dol i uchodził za wielkiego bogacza.

Matka, zakłopotana moim powrotem do domu, napisała do niego, prosząc o radę. W mie-

siąc po wysłaniu listu, stryj przyjechał do Port-Dieu.

— Nie odpisałem na twój list — powiedział — ponieważ miałem zamiar przyjechać, a w takim razie, nie warto wydawać na markę, bo pieniądze trudno zarobić. Nie przyjechałem wcześniej, bo czekałem na jaką okazyę; znalazłem w końcu handlarza warzywa, który za dwanaście su przywiózł mnie te piętnaście mil. Czysty zysk na nieprzyjacielu zdobyty.

Z tych słów łatwo wywnioskować, że stryj Szymon był człowiekiem oszczędnym; dał nam też zaraz tego dowody. Dowiedziawszy się szczegółowo o naszem położeniu rzekł:

— Rozumiem teraz jak rzeczy stoją: nie chcesz, żeby chłopiec popłynął na morze, i masz stuszność, pani bratowa. Psie rzemiosło, i zarobki żadne. Wolisz więc, żeby chłopiec dokończył tego, co zaczął u starego *Niedzieli*. Ale na mnie nie możesz rachować, wszak prawda?

— Nie myślałam ani na chwilę, żądać od ciebie pieniędzy—odpowiedziała matka z dumą, lecz łagodnie.

— Pieniędzy nie mam. Ludzie mówią, że jestem bogaty, ale to nieprawda. Mam pełno długów. Musiałem kupić kawałek ziemi i to kupno mnie rujnuje.

— Ksiądz proboszcz mówił mi—przerwała

matka—że zasługi i śmierć ojca, mogą chłopcu ułatwić bezpłatne przyjęcie do szkół.

— A kto będzie się o to starał? Możesz być pewna, że nie ja. Nie mam czasu, nie lubię kołatać do ludzi wpływowych, których znam, bo mogę ich później kiedy potrzebować. Nie! Można obmyśleć coś lepszego. Bracia Lehen obiecali zaopiekować się chłopcem... Niech więc oni płacą za jego naukę.

— Ale oni o tem teraz nie wspominają...

— No! to ja się z nimi rozmówię.

— A widząc, że matka chce się opierać, dodał:

— Nie trzeba się unosić fałszywą delikatnością; domagać się tego, co się należy jest wstydem tylko dla tych, którzy są dłużni; chciejże zrozumieć...

Matka musiała się zgodzić na ten krok, przeciw któremu buntowała się jej duma; stryjowi niepodobna było opierać się.

— Powinnaś to zrozumieć—przekładał—że jeżeli poniosłem trudy podróży, to obowiązana jesteś za to przynajmniej zastosować się do mojej rady.

Stryj nie tracił nigdy czasu. Zwrócił się zaraz do mnie i powiedział:

— Idź do panów Lehen i zobacz, czy są w kantorze, a ja zaczekam na ulicy. Jeżeli są obaj, pójdziemy do nich razem. Znam ja ich, gdybyśmy rozmawiali z każdym osobno, każdy

obiecałby wszystko, pod warunkiem, że się naradzi z bratem, a brat odmówiłby tego, co tamten przyrzekł. Nie dam się wziąć na takie wybiegi.

Ponieważ panowie Lehen byli obaj w kantorze, weszliśmy, i byłem świadkiem dziwnej sceny, której najdrobniejsze szczegóły wyryły się w mojej pamięci. Przestępując próg, czułem na twarzy płomienne rumieńce. Czułem, że żądając od tych samolubów nagrody za poświęcenie ojca, przynoszę wstyd jego pamięci i nie śmiałem podnieść oczu.

— Usłyszawszy jasne i wyraźne żądanie stryja, bracia okazali wielkie zadziwienie, i zaczęli kręcić się na krzesłach, jakby siedzieli na szpilkach.

— Oddać go do szkół?—rzekł młodszy.

A starszy powtórzył:

— Do szkół!?

Poczem obaj zawołali zgodnie:

— I to my, bracia Lehen, mamy go oddać?!

— Przyjęliście na siebie obowiązek opieki—powiedział stryj.

— Opieki?!—powtórzył młodszy.

— Opieki?!—zawtórował starszy.

I krzyknęli chórem:

— My? obowiązek opieki?!

Potem rozpoczęła się sprzeczka, niezrozumiała i ogłuszająca. Każdą odpowiedź młodszego brata, powtarzał starszy temi samemi sło-

wy, lecz o ton wyżej. Jeden krzyczał, drugi wrzeszczał. Stryj nie dał się zagłuszyć, i kiedy bracia wykrzykiwali chórem:

— Robimy więcej, niż przyrzekaliśmy: dajemy pracę matce!

Stryj wtedy zaczynał się śmiać oschle, i bracia milkli na odgłos jego śmiechu.

Kiedy po raz piąty, czy szósty, powtórzyli ten argument, zniecierpliwił się.

— Myślałby kto, że was to zrujnuje! Daję słowo, że nigdy jeszcze nie widziałem takich ludzi? Dajecie, dajecie!... Ktoby to słyszał, mógłby pomyśleć, że dajecie pieniądze, a wy dajecie... pracę. A przecież za wasze dziewięć su i pożywienie otrzymujecie coś w zamian. Czy jego matce płacicie więcej, niż innym robotnikom?

— Płacimy jej zaraz, gotówką—odrzekł młodszy brat z głębokiem zadowoleniem.—I jesteśmy gotowi, tak, zupełnie zdecydowani, nie poprzestawać na tem. Jeżeli pan nam mówisz, że Kalbris zginął, ratując nasze mienie, to nieprawda. Zginął, bo chciał uratować ludzi, swoich kolegów-marynarzy, którzy byliby potonęli. A to, rozumiesz dobrze, nas nie dotyczy; to sprawa rządu. W budżecie są sumy, przeznaczone na wynagrodzenie tych, którzy chcą się bawić w bohaterstwo. Ale mniejsza o to! Kiedy chłopiec dorośnie i nauczy się pracować, niech

się do nas zgłosi, a damy mu zajęcie, nieprawdaż, Hieronimie?...

— Zajęcie — powtórzył starszy. — Jakie tylko zechce.

Stryj nie mógł nic więcej od nich uzyskać.

— Oto ludzie! — powiedział, gdyśmy już wyszli na ulicę.

Spodziewałem się wybuchu gniewu, długo hamowanego, a tymczasem stryj zadziwiony że spotkał twardszych od siebie, mówił dalej:

— Oto ludzie godni podziwu, bierz z nich przykład! Oni umieją powiedzieć: nie! Zapamiętaj to sobie. Z tem jednem słowem, tylko z niem można utrzymać w całości, to co się zarobiło.

Nie mogąc umieścić mnie w szkołach, na koszt braci Lehen, stryj zaproponował, że mnie weźmie do siebie. Potrzebował właśnie pisarza. Byłem bardzo młody na to stanowisko, ale choć przez pierwsze lata, nie zarobię na swoje utrzymanie, to jednak zobowiązawszy się pozostać u niego przez pięć lat bezpłatnie, wypłacę mu się w końcu, choć za część kosztów, jakie dla mnie poniesie. Zresztą, jestem jego bratankiem, a on pragnie uczynić też coś dla rodziny...

Nie była to niestety, szkoła, której tak gorąco pożądała dla mnie matka, ale był to

zawsze sposób zapobieżenia, bym nie został marynarzem. Pojechałem więc ze stryjem.

Smutny był to wyjazd. Płakałem, matka płakała jeszcze więcej, a stryj, łajał szorstko nas oboje.

Widok miasta Dol, malowniczy może dla podróżnych, na mnie zrobił wrażenie złowrogie. Przyjechaliśmy nocą, padał deszcz lodowaty. Wyjechawszy rankiem z Port-Dieu, na wozie handlarza warzyw, wysiedliśmy o pięć czy sześć milimetrów przed miastem i resztę drogi odbyliśmy piechotą, przez bagniste równiny, pełne kałuż wody. Stryj szedł pierwszy ja za nim wlokłem się z trudnością, wzruszony jeszcze pożegnaniem z matką. Oprócz zmartwienia, dręczył mnie głód, który mi podcinał nogi, ale że stryj przez cały dzień nie wspomniał o jedzeniu, nie śmiałem nic mówić. Ukazały się wreszcie światła w mieście i po przejściu dwóch, czy trzech pustych ulic, stryj stanął przed wysokim domem z przedsionkiem, wspartym na grubych filarach. Stryj wyjął klucz i przekręcił w zamku; zbliżyłem się, chcąc wejść, ale mnie zatrzymał, otwieranie drzwi, jeszcze nie było skończone. Wyjął z kieszeni drugi klucz, potem trzeci, bardzo duży; drzwi zaskrzypiały na zawiasach i otworzyły się. Ale te potrójne zamki przejęły mnie zdumieniem i obawą; u nas w domu, była tylko zasuwa na

sznurku, u pana Bihorela tak samo. Po co więc stryj, przedsiębrał takie ostrożności?

Zamknął drzwi na trzy klucze, wziął mnie za rękę i poprowadził w ciemnościach, przez dwa pokoje, które wydały mi się bardzo duże, a nasze kroki, rozlegały się tam na kamiennej posadzce, jak w kościele. Czuć było jakąś dziwną woń, nieznaną mi dotąd; woń starych pargaminów i zbutwiałego papieru, właściwą kancelarjom i gabinetom ludzi uczonych, kiedy zapalił świecę, zobaczyłem, że jesteśmy w kuchni, ale tak zastawionej szafami, skrzyniami i staremi krzesłami z czarnego dębu, że niepodobna było rozeznać jej kształtów ani rozmiarów.

Mimo niemiłego widoku, ucieszyłem się iż będziemy mogli nareszcie rozgrzać się i posilić.

— Czy stryj pozwoli rozpalić ogień?

— Ogień?!

Odpowiedział mi tak surowo, że nie śmiałem powiedzieć, iż przemokłem do nitki i dzwonię zębami z zimna.

— Zjemy wieczerzę i pójdziemy spać — powiedział.

Wyjął z szafy bochenek chleba, ukroił dwa kawałki, położył na każdym kawałeczek sera, dał mi jedną porcję, swoją położył na stole, schował chleb do szafy i zamknął ją na klucz.

Nie wiem, jakiego uczucia doznaje więzień, gdy zamykają się drzwi jego celi, ale chyba jest ono niewiele przykrzejsze od tego jakiego doznałem, usłyszawszy zgrzytanie zamykającej się szafy. Nie było co nawet myśleć o drugim kawałku chleba, a byłbym zjadł chętnie pięć albo sześć takich, jak ten, który mi stryj wydzielił.

Trzy chude koty wpadły do kuchni, i zaczęły ocierać się o nogi stryja. Natchnęło mnie to pewną nadzieją; koty żądały wieczerzy, a gdy stryj szafę otworzy, będę miał sposobność, ukroić sobie drugi kawałek chleba.

Ale stryj szafy nie otworzył.

— Koty chcą pić — powiedział. — Nie można ich narażać na wściekliznę.

I nalał im wody na miseczkę.

— Kiedy chcesz być u mnie w domu, nie zapomnij dawać im zawsze wody do picia. Wkładam na ciebie ten obowiązek.

— A jedzenie?

— Mają tu dosyć szczurów i myszy. Gdyby je paść jedzeniem, zleniwiałyby zupełnie.

Skończyliśmy wnet wieczerzę i stryj oznajmił, że zaprowadzi mnie do pokoju, który będę odtąd zajmował.

Schody, pomimo, że nadzwyczajnie szerokie, były tak jak kuchnia zastawione meblami i trudno było przecisnąć się przez nie. Na

stopniach stały zardzewiałe wilki z komina, zegary ścienne, posągi drewniane i kamienne, haki do rożnów, naczynia fajansowe, garncarskie wyroby o dziwacznych kształtach i różne sprzęty, których nazwy i użytku, wcale nie znałem. Na ścianach wisiały ramy, obrazy, szpady, hełmy, wszystko porozmieszczane bezładnie, a słabe światło świeczki którą świeciliśmy sobie, wzmagało jeszcze wrażenie tego chaosu. Na co to wszystko, mogło się przydać stryjowi?

Zadawałem sobie z niepokojem to pytanie, nie znajdując na nie odpowiedzi, bo dopiero później dowiedziałem się, że oprócz zawodu komornika uprawiał on jeszcze inny, korzystniejszy.

Opuściwszy Port-Dieu w dziecinnych latach, stryj był w Paryżu przez lat dwadzieścia u komornika taksatora, a stamtąd przesiedlił się do Dol, gdzie otrzymał posadę komornika. Ale ta posada była tylko dodatkiem, bo główne jego zajęcie, stanowił handel starymi meblami i starożytnościami różnego rodzaju. Skutkiem swych urzędowych czynności, miał on wstęp do wielu domów i sposobność do korzystnego kupna, a umiał z niej korzystać lepiej niż ktokolwiek. Podstawiając za siebie innych, kupował za ich pośrednictwem przedmioty mające wartość artystyczną, odprzedawał je z olbrzymim zyskiem handlarzom pa-

ryskim. I dlatego cały dom, od piwnic do strychu, był jednym składem starożytności.

Pokój do którego mnie stryj zaprowadził, był ogromny, jak wszystkie pokoje w tym domu, ale tak zapełniony, że stryj musiał mi pokazać gdzie stoi łóżko, bo sam nie byłbym go dojrzał. Na ścianach wisiały gobeliny, przedstawiające postacie naturalnej wielkości, u sufitu wypchane zwierzęta i ptaki, kormoran i krokodyl z otwartą, czerwoną paszczą, w rogu za szafą, stała całkowita zbroja, zakończona hełmem.

— Czy się boisz? — zapytał stryj, zauważywszy moje zalęknienie.

Nie śmiałem przyznać się do strachu i odrzekłem, że mi zimno.

— Więc spiesz się, bo muszę zabrać świecę. U mnie idzie się do łóżka bez światła.

Wsunąłem się pod kołdrę, ale zaledwie stryj zamknął drzwi, zawołałem na niego, bo zbroja zachrzęściała. Wrócił na moje wołanie,

— Stryju! w tej zbroi musi ktoś siedzieć!

Stryj przybliżył się do łóżka i popatrzył na mnie.

— Nie powtarzaj drugi raz takiego głupstwa, jeżeli nie chcesz, bym się z tobą rozprawił...

Przeszło półgodziny po jego wyjściu leżałem ukryty w wilgotnej pościeli, drżąc ze strachu, zimna i głodu. Ale w końcu pokonałem bojaźń, wysunąłem głowę, i otworzyłem oczy. Przez wielkie okno, wpadało światło księżyca, i oświetlało dwie trzecie części pokoju; jedna trzecia pogrążona była w cieniu. Na dworze szalał wicher, małe szybki drżały w ołowianej oprawie, a białe obłoczki, przemykały co chwila po tarczy księżyca. Wpatrywałem się w niego długo, bo księżyc był dla mnie tem, czem latarnia morska dla żeglarzy. Ale księżyc przesunął się dalej, i znikł z okna. Zamknąłem oczy, lecz w każdym ciemnym kącie pokoju, za każdym sprzętem było coś co ciągnęło mój wzrok i podnosiło mi powieki, pomimo woli musiałem je otwierać. W tejże chwili wiatr zatrząsł domem, zaskrzypiały posadzki... Z gobelinu wystąpił człowiek w czerwonej szacie, potrząsając szpadą, krokodyl zaczął bujać się na sznurze, rozdziawiając paszczę, a rycerz ubrany w zbroję, poruszał ją ze szczękiem. Chciałem krzyczeć, wyciągnąć ręce, błagać rycerza o obronę przed człowiekiem w czerwonej szacie, ale nie mogłem się ruszyć, nie mogłem przemówić, zdawało mi się, że umieram...

Kiedym odzyskał przytomność, wuj ciągnął mnie za rękę, i dzień już był jasny. Spojrzałem na człowieka w czerwonej szacie, powrócił na swoje miejsce, i stał na gobelinie nieruchomo.

— Staraj się budzić sam, i wcześniej niż dzisiaj — powiedział wuj, a teraz spiesz, bo muszę ci dać robotę przed wyjściem.

Wuj miał tę niezmordowaną ruchliwość, jaka trafia się często u ludzi małego wzrostu, a że odziedziczył energię Kalbrisów, więc nie usiedział spokojnie ani chwili. Wstawał codzień o czwartej, schodził do kancelaryi i pracował do przybycia interesantów, to jest do ósmej lub do dziewiątej. A to co on przez tę parę godzin napisał, ja musiałem przepisywać w ciągu dnia, bo akta komorników prowadzone są zawsze w dwóch egzemplarzach—w oryginale i w kopii.

Po wyjściu wuja, rzuciłem robotę i poszedłem na poszukiwanie gwoździ i młotka. Nie trudno o nie było w tym domu, ponieważ wuj sam naprawiał wszystkie uszkodzenia w nabywanych sprzętach. Poszedłem potem do mego pokoju, czułem, że jeżeli nie unieruchomię człowieka w czerwonej szacie, umrę ze strachu w nocy i na samą myśl o jego groźnej twarzy i potrząsaniu szpadą, zimny pot występował mi na czoło.

Ale zastałem go na gobelinie, stojącego

spokojnie, z niewinną miną. Ale nie dałem się zwieść temu spokojowi, i przybiłem mu gwoździami rękę do ściany, zbroja stała też nieruchomo, a że słońce świeciło, i minęła godzina duchów, bez obawy wbiłem gwóźdź w pancerz, krokodylowi pogroziłem, że jeżeli nie zachowa się spokojnie w nocy, spotka go to samo.

Zrobiwszy to, uspokojony i zadowolony, żem się oparł pokusie zemsty i nie wbił gwoździa w gardło człowieka z gobelinu, wróciłem do kancelaryi, i skończyłam robotę na czas, zanim wuj powrócił.

Chciał mi okazać zadowolenie i powiedział, że ilekroć odrobię zadaną robotę, wolno mi będzie w nagrodę, zabawić się okurzaniem sprzętów, i wycieraniem szczotką i ścierką dębowych mebli.

Co za różnica życia jakie wiodłem u wuja, ze szczęśliwemi chwilami, spędzonemi u pana Bihorela!

Nawykłem bez trudności do czternastogodzinnej pracy, jakiej wuj wymagał, ale nie mogłem przyzwyczaić się do sposobu w jaki mnie żywił. Kawałek chleba, ukrajany z bochenka, zamkniętego w szafie, stanowił cały posiłek.

Czwartego czy piątego dnia, zgłodniały, wyciągnąłem rękę, w chwili gdy szafa się zamykała, a ruch był tak wymowny, że wuj go zrozumiał.

— Jeżeli chcesz drugiego kawałka — po-

wiedział — to dam ci dziś wieczorem, cały bochenek na własność. Kiedy będziesz głodny, będziesz mógł najeść się do syta. Ale nazajutrz, zjesz mniej, bo bochenek ma wystarczyć na cały tydzień. W jedzeniu, jak we wszystkiem, trzeba rachunku. Apetyt bywa często zwodniczy, a w twoim wieku, oczy są chciwsze niż żołądek. Trzydzieści ośm dekagramów dziennie dają w przytułkach dobroczynnych. Jeżeli to wystarcza ludziom dorosłym, wystarczy i tobie, a na obżarstwo ci nie pozwolę.

Zajrzałem do słownika, chcąc się dowiedzieć, co to jest *dekagram*; dowiedziałem się, że to jest dziesięć gramów, ale żołądka nie przekonała ta wiadomość.

Postanowiłem zbadać rzecz gruntownie, matka dała mi na drogę sztukę czterdziesto susową. Poszedłem do piekarza i kazałem sobie odważyć trzydzieści ośm dekagramów chleba. Po długich tłomaczeniach zrozumiał i odważył trzy czwarte funta.

Więc taką ilość chleba, na cały dzień przeznaczył mi wuj wspaniałomyślnie! Pomimo, że od śniadania upłynęła zaledwie godzina, zjadłem kupiony kawałek odrazu. I dzięki temu, wieczorem, przy kolacyi byłem mniej zgłodniały.

— Wiedziałem dobrze, że tak będzie — powiedział wuj, nie domyślając się powodu mojej wstrzemięźliwości. Zawsze oszczędza się

więcej, gdy się ma coś na własność, a cudze marnuje się. Gdy zaczniesz zarabiać pieniądze, będziesz także chciał je zachować.

Miałem jeszcze trzydzieści pięć su, ale nie dochowałem ich długo; w ciągu dwóch tygodni wydałem wszystko na kupno chleba. Moje regularne wycieczki do piekarskiego sklepu, natychmiast po wyjściu stryja, zaznajomiły mnie z piekarką, która powiedziała właśnie gdy kończyły się moje pieniądze.

— Ani ja, ani mój nie umiemy pisać, a musiemy co sobota podawać rachunek na piśmie jednemu z kupujących. Jeżelibyś się podjął pisania tego rachunku, dałabym ci za to dwa czerstwe ciastka, które wybierzesz sobie sam w poniedziałek rano.

Łatwo zgadnąć, że przyjąłem chętnie tę propozycję, Ale zamiast ciastek, byłbym wolał dobry funt chleba, nie śmiałem jednak powiedzieć tego piekarce, bo choć nie kupowaliśmy chleba od niej, tylko stryj sprowadzał go ze wsi, dla oszczędności, piekarze znali go dobrze, a ja wstydziłem się przyznać do głodu, przed ludźmi, którzy aż nadto byli skłonni, do pogardzania moim stryjem.

Dlaczego jednak ta ilość chleba, dawana w przytułkach, gdzie wystarcza ludziom, nie wystarcza mnie? Oto dlatego, że w przytułkach dają prócz chleba zupę, mięso, jarzyny, a dla nas chleb stanowił główną podstawę po-

żywienia, bo dodatki do niego były nader skromne. Najposilniejszym z nich bywał śledź wędzony, którego jedliśmy codzień na śniadanie, dzieląc się nim po połowie. W te dni, gdy stryj bywał w podróży, musiałem połowę śledzia chować na dzień następny.

Następujące zdarzenie najlepiej wyjaśni, ile nacierpiałem się głodu w czasie pobytu u stryja.

Za naszym domem, było podwórko oddzielone parkanem od sąsiedniej posesji, której właściciel, nieżonaty i bezdzietny, lubił niezmiernie zwierzęta. Pierwsze wśród nich miejsce zajmował wspaniały pies owczarski o białej sierści i różowym nosku. Nazywał się on Pataud, a ponieważ pobyt w pokoju szkodził mu na zdrowiu, miał śliczną budę w kształcie krzaka, zbudowaną tuż przy naszym parkanie. Pies dostawał dwa razy dziennie, porcelanową, czystą miskę, pełną mleka. Jak wszystkie psy pieszczone i próżnujące, Pataud miał apetyt zmienny i najczęściej gdy jadł śniadanie, zostawiał obiad nietknięty. Nieraz przez parkan widziałem tę miskę pełną mleka, z pływającem w niej kawałkiem chleba, stojącą w psiej budzie. W parkanie była dziura, przez którą pies przechodził na nasze podwórko i pomimo że uchodził za złego, ze mną bardzo się zaprzyjaźnił. Gdy mnie ujrzał na podwórzu, przybiegał zaraz na zabawę. Pewnego razu po-

rwał mi czapkę i zaniósł do swej budy; musiałem iść po nią i przeprawiłem się przez otwór w parkanie. Miska stała w budzie, pełna po brzegi. Był to sobotni wieczór, mój bochenek chleba, niedostatecznie oszczędzany w ciągu tygodnia, już się skończył, i na obiad został mi kawałek, nie większy od jabłka. Głód skręcał mi kiszki, ukląkłem i zacząłem wypijać mleko z miski, a Pataud przypatrywał mi się, wywijając ogonem. Poczciwy pies! Jedyny mój przyjaciel, jedyny towarzysz w tych ciężkich czasach! Lizał mnie czule różowym językiem, kiedym się wsuwał wieczorem do jego budy na wieczerzę i co chwila podawał mi czule łapę, wpatrując się we mnie wilgotnemi, czarnemi oczyma. Widocznie czuł, że jest moim dobroczyńcą i radował się z tego.

Ale i to się skończyło, gdyż z nadejściem wiosny, pan jego wyjechał na wieś i zabrał z sobą ulubieńca. Nastały dla mnie smutne dni; spędzałem długie godziny bezczynnie i samotny w próżnej kancelarji, myśląc o domu rodzinnym. Chciałem pisać do matki, ale w owych czasach list z Dol do Port-Dieu, kosztował całe sześć su, a wiedząc, że matka zarabia dziennie tylko dziesięć su, nie śmiałem oddawać na pocztę wszystkich listów jakie pisałem. Musieliśmy się ograniczać do wiadomości, przesyłanych za pośrednictwem handlarza warzyw, który przyjeżdżał w dni targowe.

Dziś wspomnienie stryjowskiego skąpstwa, pobudza mnie do śmiechu, ale wówczas, zanadto cierpiałem z tego powodu, by dojrzeć w nim komiczną stronę, młodość łatwiej się oburza i żywiej odczuwa bolesne, niż śmieszne strony położenia.

Stryj, jak łatwo się domyślić, nie dbał zupełnie o ubranie; zadziwiłem się też bardzo, gdy pewnego rana zastałem go krygującego się przed wielekim zwierciadłem w sieni. Kładł na głowę wysoki kapelusz, przyglądał się, zdejmował go, szczotkował i znowu nakładał. Co zaś było niepojęte, że dolną połowę kapelusza, czesał pod włos, co mnie tem więcej dziwiło, że zwykle otaczał ten kapelusz najtroskliwszemi staraniami; w czasie upału, zanim go włożył, okrywał włosy paskiem papieru, dla zabezpieczenia go od potu. Zdawało się, że papier przemoczony potem, przylegał do głowy i gdy stryj zdjął kapelusz do ukłonu, ukazywał się w papierowej koronie, tak śmiesznej, że widok ten pobudzał do śmiechu, nawet najpoważniejszych.

— Przypatrz się dobrze — powiedział do mnie, widząc, że mu się przyglądam ze zdziwieniem. — Co myślisz o moim kapeluszu?

Myślałem o nim dużo, ale nie miałem zamiaru mówić. Odpowiedziałem tylko:

— Myślę, że jest starannie noszony.

— Nie o to się pytam. Ale czy wygląda na żałobny? Mój brat Hieronim z Cancale, umarł i muszę jechać na pogrzeb. Dziś już wykosztuję się na podróż, nie myślę wydawać na krepę, którą wziąłbym tylko raz, bo nie jestem taki głupi, żeby nosić żałobę po takim niedołędze, który tylko długi po sobie zostawił.

Nie znałem tamtego stryja, wiedziałem tylko, że mu się nie wiodło, i że był o rok starszy od stryja Szymona i że razem z nim się wychowywał.

Wróciłem do pracy oszołomiony; moje pojęcie o miłości rodzinnej zachwiały się; cóż to jest miłość braterska? Co poszanowanie dla umarłych?

I nietylko te pojęcia zachwiały się we mnie. W codziennem pożyciu ze stryjem, przykład jego i słowa, burzyły moje dotychczasowe zasady i przekonania.

Komornik bywa powiernikiem i świadkiem różnorakiej nędzy. Prócz swoich urzędowych czynności, stryj pożyczał pieniądze i prawdę mówiąc, był lichwiarzem; przez jego kancelarję, przesuwali się oszuści i nieszczęśliwi. Siadywaliśmy obaj przy jednym stole, bywałem więc świadkiem jego rozmów z interesantami i tylko w bardzo ważnych chwilach, wyprawiał mnie stryj z pokoju, pod jakimkolwiek pozorem. Ale nie widziałem nigdy by

ustąpił prośbom, by opóźnił lub zaniechał dochodzenia. Wobec łez, błagań, najbardziej wzruszających powodów pozostawał nieczuły, obojętny, jak głuchy.

Widywałem tam ludzi płaczących, proszących na klęczkach o zwłokę, która może ich ocalić... Widziałem jego nieubłaganą srogość i litowałem się nad losem jego ofiar. Jedyny raz chciałem im dopomódz i zapłaciłem za to drogo.

Stryj nabył jakąś dawną, pańską siedzibę i przerabiał z gruntu, chcąc ją doprowadzić do porządku. Z tego powodu co sobota schodzili się na wypłaty robotnicy i przedsiębiorcy.

Jednej soboty przybył majster mularski i zadziwił się, zastawszy mnie samego, ponieważ — jak mówił — stryj kazał mu przyjść dla załatwienia rachunku.

Usiadł i czekał.

Upłynęła godzina, dwie — cztery — stryj nie przychodził. A mularz siedział. Nakoniec o ósmej stryj przyszedł.

— Proszę! Pan majster! Bardzo mi przykro, ale nie mogłem wcześniej! Interesa. Pan to rozumie...

Zamiast rozmówić się z mularzem, stryj zaczął mnie wypytywać, co się działo przez cały dzień, przeczytał listy, papiery urzędowe,

przejrzał moją robotę, a gdy minęło już dobre półgodziny na tych zajęciach, zwrócił się do majstra, który wciąż czekał.

— A pan czego sobie życzy?

— Obiecał mi pan załatwić dziś nasze rachunki.

— Prawda; bardzo mi przykro, ale nie mam pieniędzy.

— Ale ja mam jutro wypłaty; prócz tego mam weksel na tysiąc franków do spłacenia u pańskiego kolegi, który mnie o to ściga. Od pół roku obiecujesz mi pan ciągle; dziś liczyłem już napewno na pańskie słowo...

— Słowo! Jakie słowo?—przerwał stryj. — Czy ja mówiłem: „daję słowo honoru, że zapłacę w sobotę?" Nie! Prawda, że nie mówiłem? Więc to słowo, na które się pan powołujesz, było tylko na wiatr rzucone; „przyjdź pan w sobotę, to zapłacę". Widzisz pan, panie majstrze Rafarin, są słowa i słowa; nie trzeba o tem zapominać.

— Nie wiedziałem o tem. Niech pan daruje; ja jestem biedny człowiek, ale kiedy powiem „zapłacę w sobotę", to płacę.

— A jak pan nie możesz?

— Jeżelim przyrzekł, to mogę i dlatego się panu naprzykrzam; pański kolega ma moje słowo, a jeżeli go nie dotrzymam, wytoczy mi proces.

Rafarin zaczął objaśniać szczegóły swego położenia; przyjął zobowiązania, licząc na pieniądze od stryja; jeżeli nie zapłaci nazajutrz, komornik zajmie mu rzeczy w poniedziałek; żonę ma umierającą, to ją dobije. A na to wszystko stryj odpowiadał mu tylko:

— Nie mam pieniędzy, mój drogi, nie mam pieniędzy... Nie żądasz chyba, żebym kradł dla ciebie? Jeżeli mnie zapozwiesz, będzie proces i nie odbierzesz pieniędzy aż za rok...

Przed kilku dniami byłem świadkiem rozmowy stryja z drugim komornikiem, któremu zalecał nadanie takiego obrotu tej sprawy. Nie rozumiałem jeszcze wówczas tego, o czem dowiedziałem się później, że właściwym wierzycielem był mój stryj, ale cała sprawa wydawała mi się dziwna. Pomyślałem, że choćbym miał narazić się stryjowi, powinienem dopomódz biednemu mularzowi i postanowiłem się wmieszać do rozmowy. I kiedy stryj, poraz dziesiąty, powtarzał:

— Gdybym miał pieniądze, zapłaciłbym ci zaraz.

Odezwałem się znienacka:

— Ja dziś dostałem pieniądze dla stryja...

Zaledwie wymówiłem te słowa, uczułem tak silne kopnięcie pod stołem, iż zachwiałem się na krześle i upadłem nosem na pulpit.

— Co ci się stało, Romanku? — zapytał stryj, podnosząc się z krzesła.

Zbliżył się do mnie i uszczypnął w ramię prawie do krwi:

— Jakiż to niezdara z tego malca! — zawołał, zwracając się do mularza.

Majster, który nie widział kopnięcia i nie odczuł uszczypania, patrzył na nas ze zdziwieniem i przypuszczając, że stryj zagaduje, żeby uniknąć rozmowy o interesie, zawrócił do tego, co go dręczyło.

— A więc jeżeli pan ma pieniądze — zaczął.

Byłem doprowadzony do ostateczności.

— Tu są pieniądze — powiedziałem, wyjmując je z szuflady.

Obaj jednocześnie sięgnęli po nie. Stryj, żwawszy, pochwycił paczkę.

— Posłuchajcie, panie Rafarin — przemówił po chwili milczenia. Zrobię dla was, co mogę na dowód, że nikt napróżno nie odwołuje się do mojej uczciwości i szlachetności. Tu jest trzy tysiące franków, które miałem odebrać jutro, dla spłacenia niemi honorowego długu, ale go nie spłacę, bo do jutra nie znajdę nigdzie takiej sumy. Pomimo to dam ci te pieniądze. Pokwituj mnie z opłaconego rachunku i bierz!

Myślałem, że Rafarin rzuci się na szyję stryjowi, który nie był taki zły, jak się wydawał... Ale się omyliłem.

— Mój rachunek wynosi cztery tysiące franków.

— Więc co?

— I to pan okroił go do tej sumy, urywając na wszystkiem. Ach, panie Kalbris!

— Więc pan nie chcesz tych trzech tysięcy franków? Dzięki ci za to, mój drogi, przydadzą mi się bardzo. Chciałem ci tylko dogodzić...

Rafarin zaczął przedstawiać, prosić, wreszcie widząc, że stryj jest nieubłagany, wziął rachunek, pokwitował i rzekł stłumionym głosem:

— Teraz pieniądze...

— Bierz je — odpowiedział stryj.

Majster wstał, włożył kapelusz i wyrzekł:

— Panie Kalbris! Wolę ubóstwo takie jak moje, niż takie bogactwo, jak pańskie!

Stryj zbladł i wargi mu zadrżały, ale opanował się i odparł niemal wesoło:

— Kwestya gustu, mój panie...

I wciąż uśmiechnięty, odprowadził majstra do drzwi, jak najlepszego przyjaciela.

Ale zaledwie zamknął za nim drzwi, zmienił mu się wyraz twarzy i zanim opamiętałem się,

otrzymałem potężny policzek, który mnie zrzucił z krzesła na ziemię.

— Teraz porachujemy się z sobą! — zawołał stryj. — Nie wątpię, że mówiłeś o pieniądzach umyślnie, ty niegodziwcze!

Policzek mnie zabolał i oburzył, ale nie ogłuszył. Gniew mnie ogarnął.

— Prawda! — odpowiedziałem.

Stryj chciał się na mnie rzucić, ale ja, przewidując napad, wsunąłem się pod stół i wyszedłem na drugą stronę. Pomiędzy sobą a stryjem miałem stół, jako szaniec.

Stryj widząc, że mu się wymknąłem, wpadł we wściekłość, i porwawszy wielki tom kodeksu, rzucił nim we mnie z taką siłą, że upadłem na ziemię.

Padając, uderzyłem głową o róg stołu, uczułem zamęt w głowie i nie mogłem się zaraz podnieść.

Musiałem oprzeć się o ścianę; krew zalewała mi oczy, a stryj patrzył na mnie i nie myślał mnie ratować.

— Idź się obmyć, ty zuchwalcze! — powiedział wreszcie. — A nie zapominaj o tem, coś zyskał, wtrącając się w moje sprawy. Jeżeli jeszcze raz zrobisz coś podobnego, zabiję cię!

— Odejdę stąd i zaraz!

— Dokąd?

— Do mamy!

— Doprawdy?! Otóż nie pójdziesz, bo jesteś moją własnością na całe pięć lat, a ja cię nie puszczę. Patrzcie go! Do mamy chce iść! Do mamy! Taki wielki drągal!

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

VII.

Oddawna już nie odstępowała mnie myśl o ucieczce, zwłaszcza gdy byłem bardzo głodny, albo gdy mi stryj nadokuczał. Postanowiłem uciec z Dol do Hawru i tam zaciągnąć się do załogi okrętu. Podczas nieobecności stryja, nieraz bawiłem się, znacząc sobie marszrutę na wielkiej mapie Normandji, rozmieszczonej w sieni, rozmierzałem na niej odległości korzystając z nauki pana Bihorela. Znaczyłem miejsca noclegów i obrachowałem, że podróż będzie trwała całe ośm dni. W owych czasach, funt chleba kosztował trzy su; gdybym mógł zebrać dwadzieścia cztery su, miałbym pewność, że nie umrę z głodu w podróży. Ale gdzie zdobyć taki kapitał? Ta przeszkoda powstrzymywała mnie dotąd.

Cios zadany kodeksem, przeważył szalę, bez względu na wszelkie trudności. W rowach przydrożnych morwy zaczynały dojrzewać, w gniazdach ptasich pełno jaj; niekiedy na gościńcu zdarza się znaleźć pieniądz, a liczyłem

też, że spotkam jakiego miłosiernego woźnicę, który mi pozwoli przysiąść się na wóz i da kawałek chleba za to, że będę go wyręczał w powożeniu kiedy on zechce się przespać. Przecież takie rzeczy zdarzają się. W Hawrze, nie wątpiłem o tem, każdy kapitan przyjmie mnie na pokład jako chłopca okrętowego. A gdy raz wypłynę na morze, rzecz skończona i zostanę marynarzem! Po powrocie, pojadę do Port-Dieu, matka mi przebaczy, a ja jej oddam moją pensję. Jeżeli statek się rozbije — tem lepiej! Bezludna wyspa — dzicy ludzie — papugi... O! Robinsonie!

Nie czułem już bólu w ranie, zapomniałem żem nie jadł obiadu.

Każdej niedzieli o świcie stryj wyruszał do swojej nowej posiadłości i powracał dopiero późno wieczorem. Więc od sobotniego wieczora, do poniedziałkowego ranka, miałem pewność, że go nie zobaczę i że jeżeli umknę natychmiast zyskam trzydzieści sześć godzin. Tylko, że musiałbym wydostać się z domu, pomimo pozamykanych drzwi, a to było zupełnem niepodobieństwem. Postanowiłem więc spuścić się oknem z pierwszego piętra na podwórze i przesunąć się przez dziurę w parkanie, do ogrodu sąsiada; dostawszy się tam, mogłem już łatwo wydobyć się na pole. Leżąc w łóżku, układałem sobie plan podróży, czekając aż stryj położy się i zaśnie.

Posłyszałem, że wszedł do swego pokoju, ale wszedł i wyszedł, i zaczął wstępować na schody, cicho i ostrożnie. Czyżby odgadł moje zamiary?

Otworzyły się cichutko drzwi, i stryj wszedł. Leżąc odwrócony twarzą do ściany, zobaczyłem cień jego ręki osłaniającej świecę. Szedł cicho do mego łóżka.

Udałem, że śpię, stryj pochylił się nademnąm, przysunął świecę do mojej głowy, i delikatnie podniósł włosy zasłaniające ranę.

— To nic! — szepnął do siebie. Nic mu nie będzie... I wyszedł tak samo cicho.

Ten objaw troskliwości, jeszcze wczoraj wpłynąłby na zmianę mego postanowienia. Ale dziś już było zapóźno; byłem oburzony rozgniewany; przede mną otwierały się szersze widnokręgi, poczułem już w wyobraźni woń morza i smoły na statku...

W godzinę po wyjściu stryja, przypuszczając że już zasnął, wstałem, i zacząłem przygotowywać się do wyprawy. Zawinąłem w chustkę moją bieliznę. Przez chwilę miałem zamiar włożyć najlepsze ubranie, ale na szczęście, zwyciężył dawny rozsądek, i postanowiłem zabrać kurtkę i spodnie z sukna takiego, jakie noszą marynarze: potem wziąwszy w rękę trzewiki wysunął się z pokoju.

Zaledwie przestąpiłem pokój, strzeliła mi do głowy dziwna myśl. Wróciłem. Postawiłem

krzesło na łóżku i wszedłem na nie, bo stamtąd mogłem dosięgnąć krokodyla, wiszącego u sufitu. Przeciąłem sznur na którym wisiał, wziąłem krokodyla w objęcia, ułożyłem w łóżku, i okryłem kołdrą na głowę.

Wyobrażając sobie minę stryja, gdy w poniedziałek rano zastanie na mojem miejscu krokodyla, zacząłem się śmiać jak szalony... I to była cała moja zemsta.

Dziwna rzecz, jak cztery ściany i dach nad głową dodają pewności: gdym stanął w ogrodzie sąsiada, opuściła mnie chęć do śmiechu. Obejrzałem się naokoło z niepokojem: krzaki w nocy, miały jakieś dziwne kształty: między klombami czerniały zagłębienia od których odwracałem oczy; lekki wietrzyk poruszył gałęziami, a liście zaczęły szeleścić i wzdychać... Bezwiednie, podskoczyłem do budy mojego przyjaciela owczarka... Gdyby on był, kto wie, czy odważyłbym się na tę podróż...

Myślałem zawsze, że jestem odważny, ale widząc że nogi uginają się pode mną, a zęby szczękają, zawstydziłem się. Postanowiłem zapanować nad strachem; gdybym się tak miał bać, to lepiej powrócić do stryja...

Wyszedłem z psiej budy, i poszedłem prosto do drzewa, które stało z rozkrzyżowanemi gałęziami, jak olbrzymie ręce. Drzewo nie poruszyło się, tylko ptaszki śpiące na gałęziach, zerwały się z krzykiem. Ich trwoga, dodała mi odwagi.

Przerzuciłem zawiniątko przez parkan, oddzielający ogród od pola; wspiąłem się na wierzch ogrodzenia. Jak daleko mogłem dojrzeć, pusto było i cicho: spuściłem się na drugą stronę...

Biegłem z godzinę, nie zatrzymując się, czułem, że jeżeli zacznę się rozglądać, umrę ze strachu. Ale wreszcie tchu mi zabrakło; dobiegłem już do łąk, przerżniętych tamą, przy kanale odprowadzającym wody z bagnisk ku morzu. Była to właśnie pora sianokosu, wśród białawej mgły, widziałem stogi siana, po obu stronach drogi, nie zwalniając kroku, zeszedłem z gościńca na łąkę, i usnąłem pod sianem. Przypuszczałem, że jestem o jakieś dwie mile od miasta, że to już krańce świata, odetchnąłem.

Zmęczony wzruszeniami, osłabły skutkiem rany i głodu, wyciągnąłem się na sianie wygrzanem przez słońce, i zasnąłem, przy chóralnem skrzeczeniu żab, w niedalekich rowach błotnistych.

Obudziło mnie wilgotne zimno świtu, którego nie znałem, a który na wskroś przejmuje ciało. Gwiazdy już bladły, wielkie białawe smugi przerzynały ciemne głębie nocy, a na łąkach podnosiła się mgła lekka, wirująca jak słupy dymu. Ubranie moje było tak mokre jak po ulewie, drżałem z zimna, bo pomimo ciepłego siana, rosa przemoczyła mnie doszczętnie

Ale gorszym od zimna, był głuchy niepokój który mną miotał, smutek i wyrzuty sumienia. Bezludna wyspa nie przedstawiała mi się tak pięknie jak przedtem... Więc nigdy już tu nie wrócę! Nigdy już nie zobaczę mamy! Łzy napełniły mi oczy i mimo zimna, siedziałem nieruchomo, trzymając głowę w rękach. —

Kiedym powstał, —zmieniłem zamiar, postanowiłem pójść prosto do Port — Dieu, i zobaczyć matkę, przed wyruszeniem do Hawru. Mogłem wieczorem zakraść się na strych i tam przenocować, a rankiem wyjść, nie pokazawszy się nikomu. Przynajmiej zobaczę matkę, a choć sumienie wyrzucało mi, że ją opuszczam, łudziłem się, że tem przynajmiej zagłuszę moją winę.

Wziąłem zawiniątko i ruszyłem bez zwłoki. Czekała mnie daleka droga; nie należało tracić czasu. Dzień się zbliżał, ptaki zaczynały świergotać. —

Idąc doznałem ulgi. Czułem się mniej smutny, mniej ociężały. Brzask różowy na wschodzie, rozweselił moje serce, a potworne cienie nocy rozwiewały się bez śladu.

Powiał lekki wietrzyk, otrząsając rosę z roślin; kwiaty i trawy prostowały się, lekka mgła wypływała, w powietrzu — drżało. Nieraz z panem Bihorelem widywałem wschód słońca, ale nigdy jeszcze nie odczułem tak, pięknego tego widoku, jak w tej chwili.

Ale piękno nie mogło przynieść ulgi zgłodniałemu żołądkowi. Wszędzie trawy i kwiaty, nigdzie owoców, na które liczyłem. Zaczął mnie ogarniać niepokój.

Po parogodzinnem marszu, niepokój wzrósł. Na polach nie widziałem nic czem mógłbym się pożywić, a we wsiach które mijałem, wszędzie przygotowania świąteczne. Na stołach zajazdów, poustawiane mięsiwa, w wystawach piekarzy ogromne chleby i złote placki, woniejące gorącem masłem. Ślina szła do ust, a żołądek ściskał się z głodu.

Gdybym mógł nie myśleć o głodzie, może umiałbym go odczuwać; zacząłem więc śpiewać — ludzie, którzy mnie mijali, patrzyli z zadziwieniem na malca, wędrującego z zawiniątkiem pod pachą, i wyśpiewującego na całe gardło.

Ale i śpiew nie pomógł; w gardle mi zaschło, do głodu przyłączyło się pragnienie, ale z tem łatwiej sobie było poradzić, bo mijałem często potoki i rzeczki, dążące do morza.

Przykląkłem i piłem chciwie, sądząc, że gdy zapełnię żołądek wodą, głód uspokoi się trochę. Ale po kwadransie spociłem się strasznie, ogarnęło mnie znużenie i z trudnością dowlokłem się do drzewa, pod którem usiadłem. W uszach mi dzwoniło, w oczach wszystko przedstawiło się zabarwione czerwono. W pobliskiej wsi dzwoniono na mszę, ale cóż mogła

pomódz bliskość ludzi: nie miałem ani szeląga na kupno chleba.

Trzeba było iść dalej. — Przechodzący ludzie spoglądali na mnie i robili uwagi, może spytają dokąd dążę, skąd idę? może zechcą odprowadzić mnie do stryja?... Ta myśl przejęła mnie grozą.

Odetchnąwszy trochę, dźwignąłem się i poszedłem. Kamienie mnie uwierały, nogi miałem sztywne, słońce piekło jak ogień.

Zauważyłem, że idąc tak jak szedłem od rana, nie zajdę daleko, i padnę wyczerpany zupełnie; postanowiłem więc odpoczywać co pół milimetra.

Idąc tak z przestankami, doszedłem do lasu. I tam, na polance, wśród trawy i paproci, ujrzałem drobne, czerwone jagody, poziomki! borówki! Zmęczenie ulciało: przeskoczyłem rów, którego brzegi usiane były poziomkowemi krzaczkami, jak grzęda ogrodowa.

Było ich tyle, że tworzyły istny kobierzec wonny. Nieraz później jadłem poziomki większe i piękniejsze, ale nigdy nie spotkałem lepszych.

Olśniły mnie, zaspokoiły głód, dodały otuchy.

Lecz zbieranie poziomek nie idzie prędko. Nasyciwszy się niemi, postanowiłem zebrać zapas na drogę. Przyszło mi na myśl, że może uda się je zamienić na kawałek chleba.

Chleba pragnąłem nadewszystko. Ale czas naglił, południe się zbliżało, a do Port-Dieu było jeszcze daleko. Czułem, że ta reszta drogi będzie najtrudniejsza do przebycia. Nazbierałem jednak sporo poziomek, wyłożywszy liśćmi czystą chusteczkę, i poszedłem dalej, pokrzepiony i pełen otuchy.

Ale odpoczywałem przy każdym słupie kilometrowym. Zmęczenie moje musiało być widoczne, bo przejeżdżający człowiek zatrzymał wóz i rzekł:

— Panicz jakoś zmęczony, prawda?

— Trochę, proszę pana.

— Widać to odrazu. I daleko tak panicz wędruje?

— Do Port-Dieu.

— I ja jadę w tamtą stronę; mógłbym podwieźć.

Zdobyłem się na odwagę i rzekłem.

— Nie mam pieniędzy... Ale jeżeli pan przyjmie poziomki za zapłatę...

Rozwiązałem chusteczkę.

— Ładnie pachną. Jeżeli nie masz ani grosza, mój mały — rzekł już innym tonem — siadaj na wóz i bez pieniędzy. Znać żeś zmęczony; a poziomki sprzedaj w oberży pod *Pięknym Młynem*, to mi za nie postawisz kieliszeczek, jako poczęstunek.

Moje biedne poziomki! Dali mi za nie tylko sześć su w oberży, i to jedynie dzięki temu, że mój opiekun zaczął krzyczeć, iż to czysty rozbój, gdyby mniej dali.

— A teraz — zwrócił się do mnie, po skończonym targu — dawajcie dwa kieliszki.

Ale ja odezwałem się.

— Wolałbym kawałek chleba, zamiast wódki, jeżeli pan nie ma nic przeciw temu.

— Nic nie szkodzi! wypij, a potem jak na mnie kolej przyjdzie, poczęstuję cię chlebem.

Chlebem mnie poczęstuje! nie myślałem drożyć się z nim.

Zamiast przybyć do Port-Dieu wieczorem, jak liczyłem, przyjechałem o czwartej, kiedy matka była na nieszporach, mogłem więc wejść niepostrzeżenie do domu, i ukryć się na strychu, gdzie nigdy prawie nie bywała.

Zastałem tam wszystko tak jak było — od śmierci ojca, pełno jego sieci i rybackich przyborów. Sieci pozsychały się jak stare pajęczyny, ale mimo to, zachowały jeszcze woń smoły i wody morskiej. Ucałowałem je jak przyjaciół, a potem usłałem z nich łoże i otworzyłem okienko, wychodzące na kuchnię, skąd mogłem wszystko widzieć, nie będąc widziany.

Ale przerachowałem się z siłami. Gdym usiadł, zasnąłem natychmiast, i zbudził mnie

dopiero odgłos rozmowy, i to nie prędko, bo ściemniło się już zupełnie. Zobaczyłem matkę stojącą przed kominem i rozdmuchującą głownie, ułożone na palenisku. Obok komina, oparta ramieniem o ścianę, stała jedna z ciotek.

— Więc pójdziesz do niego w niedzielę? — mówiła.

— Tak. Bardzo mi tęskno, i chcę na własne oczy zobaczyć, jak mu tam jest. Nie skarży się w listach, ale zdaje mi się, że jest smutny.

— Mów sobie co chcesz, a ja zawsze powiem, że na twojem miejscu nie oddałabym go bratu Szymonowi...

— Cóż miałam robić? Puścić go na morze?

— Czemużby nie?

— Czemu? A gdzie twój starszy syn? A gdzie nasi bracia Fortunat i Maksym? Gdzie mój mąż kochany? Gdzie mąż Franciszki? Obejrzyj się wokoło i policz ilu ich brakuje... Ach! to morze!...

— Mniej bałabym się morza, niż Szymona. To nie człowiek, to wór pieniędzy.

— I to mnie właśnie niepokoi; nie to, że mały może od niego ucierpieć, ale na co wyrośnie przy takim człowieku? Bracia Lehenowie mówili kiedyś o nim. Zdaje się, że ma prze-

szło trzykroć sto tysięcy franków majątku, a w uczciwy sposób niepodobna zebrać tyle na jego stanowisku. Ach! czemuż on zabrał Romana na całe pięć lat!

— Pomimo tego nie masz konieczności zostawiać mu chłopca na tak długo.

— Jeżeli go odbiorę, Szymon rozgniewa się i będzie żądał odszkodowania, a skąd ja wezmę pieniędzy? Ty jeszcze nie wiesz, co to za człowiek. Ale w każdym razie, zobaczę się z małym.

— W sobotę wieczorem przyniosę ci garnuszek masła. Zanieś mu to ode mnie. Pewnie go tam nie karmią zanadto obficie.

Po wyjściu ciotki, matka zabrała się do przyrządzenia wieczerzy. Zapach kartofli, smażących się w kominie, przypomniał mi te czasy, gdy głodny wracałem ze szkoły.

Matka usiadła przy stole, i mogłem się przyjrzeć jej twarzy, oświetlonej świecą. Niedługo trwała wieczerza, przerywana jeszcze chwilami zadumy, gdyż matka siedziała, wpatrując się w przestrzeń, jak gdyby czekała na czyjeś przybycie, albo wpatrywała się, wzdychając, w moje opustoszone miejsce. Biedna, kochana mama! Widzę jeszcze, jej twarz smutną i łagodną! O mnie myślała, za mną tęskniła — a ja byłem o parę kroków od niej zaledwie, przykuty na miejscu przeklętym moim uporem i zrobionem postanowieniem.

Matka, jak zwykle porządna i systematyczna, poustawiała wszystko na miejscu, pozmywała naczynia, wytarła stół, uklękła przed obrazem świętego Romana i zaczęła się modlić.

Ileż to razy na tem samem miejscu i o takiej porze modliliśmy się razem o szczęśliwy powrót ojca!

Słysząc gorące słowa jej modlitwy, tylekroć odmawianej, ukląkłem na sieciach, i powtarzałem ją za nią pocichu. Ale teraz nie ojca imię wymieniała matka w modlitwie, lecz moje.

VIII.

Zasnąłem płacząc, i pod dachem rodzicielskiego domu miałem noc mniej spokojną, niż tamtę, którą przepędziłem na wilgotnych łąkach.

Usłyszawszy przypływ morza, zwiastujący zbliżanie się świtu, wysunąłem się ostrożnie ze strychu w obawie, by mnie nie spostrzegli sąsiedzi.

Nie przewidywałem, układając plany ucieczki, jak trudno jest rozstać się z domem rodzinnym. Zrozumiałem to dopiero, gdym doszedł do żywopłotu kolczastych krzewów, odgradzającego nasze podwórze od wybrzeża. Serce

biło mi gwałtownie. Kogut piał w naszym kurniku, a psy w sąsiedztwie ujadały gwałtownie, szarpiąc się na łańcuchach. Jutrzenka pojawiła się na wschodzie, a na tle białawej jasności, nasz dom zarysował się czarno.

Przypomniało mi się całe moje dziecięctwo i te noce, gdy ojciec uspokajał mnie płaczącego, nosił po izbie i śpiewał: mewa ze złamanem skrzydłem, którą złowiłem i nauczyłem jeść z ręki. Niepokój matki w burzliwe noce, gdy ojciec był na morzu — i nasze modlitwy przed zapaloną gromnicą. A te trwogi i niepokoje, matka będzie teraz odczuwała na nowo po mojej ucieczce i czyż nie było zbrodnią, opuszczać ją w taki sposób?

Latarnia morska zagasła, i ukazało się morze *świetlane* pod pochmurnem niebem. Z kominów zaczęły się wzbijać słupy dymu, i klekotanie sabotów rozlegało się na ulicy.

A ja tymczasem przykucnąwszy w gęstwinie żywopłotu, siedziałem wahający, zniecierpliwiony, nieszczęśliwy, dręczony wyrzutami. Pociąg do awanturniczych przygód, pragnienie zdobycia majątku bez niczyjej pomocy, szeroki, nieznany świat, pociągały mnie z nieprzepartą siłą na morze. Przywyknienie, bojaźliwość dziecięca, wczorajsze przygody, a nadewszystko myśl o matce, zacieśniały więzy, łączące mnie z domem...

Zadzwoniono na Anioł Pański. Jeszcze nie ucichł odgłos dzwonów, kiedy matka ukazała się na progu domu, gotowa do wyjścia na całodzienną pracę, czy pójdzie do wsi, czy do miasteczka położonego na wzgórzu? W takim razie musiałaby iść mimo żywopłotu, w którym się ukryłem... Zawahałem się, ale los zrządził inaczej, bo zawróciła do wsi, i oszczędziła mi pokusy, jakiej doświadczałem, by rzucić się w jej objęcia.

Usłyszawszy zamykanie drzwi, wysunąłem głowę, chcąc ją zobaczyć choć z daleka, i śledziłem jej biały czepiec, migający wśród żywopłotów. Ale słońce już wytoczyło się na niebo, i przy jego świetle ukazał się wyraźnie dach naszego domku, porosły szmaragdowym mchem i żółtawym rozchodnikiem. Wiatr wiał od morza, orzeźwiający, słonawy; zdaje mi się, że jeszcze teraz odczuwam jego smak na ustach...

Wyszedłem z domu matki, tak samo jak z Dol — biegnąc kłusem. Zatrzymałem się, dopiero kiedy mi tchu zabrakło. Potrzebowałem się namyślić i wyruszyłem już w podróż, a teraz musiałem się zastanowić, jak dobić się celu.

Usiadłem pod płotem. Otaczała mnie zupełna pustka. Zdala tylko, na samym brzegu morza, stał na posterunku strażnik celny, oświetlony wschodzącem słońcem. Po namyśle, postanowiłem iść brzegiem morza. Przekonałem

się już, że gościniec nie jest gościnny dla tych, którzy nie mają pełnej sakiewki, a trzeba było starać się o pożywienie w drodze. Przypomniały mi się słowa pana Bihorela, że „morze jest lepszym niż ziemia, żywicielem ludzi". Liczyłem więc na nie, że mi dostarczy ostryg i ślimaków dla zaspokojenia głodu.

Podniosłem się. Ile będzie mil do Hawru, jeżeli pójdę wybrzeżem, nie wiedziałem, ale myśl o całomiesięcznej nawet wędrówce nad morzem, nie trwożyła mnie wcale.

Nie chcąc jednak spotkać ludzi z Port-Dieu, mogłem dopiero później spuścić się ze wzgórza na sam brzeg morski, gdzie miałem nadzieję zdobyć śniadanie.

Ale ostryg nie znalazłem i musiałem poprzestać na ślimakach, których pełno było na skałach. Zaspokoiwszy głód, powinienem był ruszyć dalej, ale tak mnie radował widok morza, że biegałem po piasku, śpiewając i skacząc. Co za różnica z więzieniem w domu stryja! Stanowczo, podróże są daleko przyjemniejsze...

Znalazłem deskę sosnową tkwiącą między skałami, i ucieszyłem się niezmiernie. Okroiłem ją nożem i nadałem formę statku; w środku wywierciłem otwór, osadziłem w nim gałązkę leszczyny, i przywiązałem łoziną. Drugą gałązkę umocowałem na krzyż, i rozpiąłem na

niej chustkę, a zbudowawszy tak wspaniały okręt, nazwałem go imieniem matki, i korzystając z odpływu, z zawiniętemi nad kolana spodniami, brodziłem w kałużach, prowadząc za sobą swój statek.

Wieczór nadszedł przy tej zabawie, musiałem szukać schronienia na noc, i znalazłem je łatwo w niewielkiej grocie, którą morze, w czasie największych przypływów na porównaniu dnia z nocą, wyżłobiło w skałach. Naniosłem tam sporo suchych morskich porostów i usłałem wygodne legowisko. Lepiej mi tam było — niż pierwszej nocy na bagnistych łąkach. Skała osłaniała mnie od zimna, świecące przede mną światło morskiej latarni dodawało mi otuchy w samotności. Zasnąłem spokojnie jak w domu, i dopiero głód obudził mnie rankiem.

Musiałem czekać, póki woda nie opadnie, i dopiero wtedy wyprawić się na połów ślimaków; ale im więcej ich jadłem, tem więcej jeść mi się chciało. Po dwóch godzinach, zmęczony już otwieraniem skorup, przestałem jeść, wcale nie nasycony. Kawałek chleba, jako dodatek do ślimaków, byłby pożądany — ale skąd wziąć chleba?

Głód znaglił mnie do wyruszenia w dalszą podróż. Odjąłem maszty od statku, żagiel schowałem do kieszeni, i odchodząc z gościn-

nej groty, nadałem jej przez wdzięczność szumną nazwę *„groty królewskiej"*.

Głód dokuczał coraz więcej; spotkałem na drodze rzeczkę, której woda sięgała mi do ramion i przebyłem ją, niosąc ubranie na głowie, ale zimna kąpiel zaostrzyła jeszcze apetyt. Nogi uginały się pode mną, i w oczach mi się ćmiło.

W takim stanie doszedłem do wioski, rozłożonej półkolem nad brzegiem morza. Na placu przed kościołem, przystanąłem mimowoli przed piekarnią, gdzie w oknie złociły się ponętnie bochenki chleba i bułki, a z wnętrza dochodził zapach świeżego pieczywa. Nie mogłem się oderwać od tego widoku, i stałem wpatrzony w wystawę piekarską, kiedy na placu zaklekotały saboty, rozległy się śmiechy i krzyki, rój dzieci wysypał się ze szkoły.

Musiałem wyglądać śmiesznie z „okrętem" na plecach, z zawiniątkiem w ręku, z zakurzonem obuwiem i najeżonemi pod czapką włosami, bo dzieci obstąpiły mnie naokoło, przypatrując się jak osobliwemu zwierzęciu.

Zwłaszcza mój „okręt" a raczej deska, którą uczciłem tem mianem, budziła ich zaciekawienie.

— Patrz-no! Józik! co on ma na plecach?

— Nie widzisz że to deska?

— Nie! to jakieś „granie".

— Głupiś! żadne granie, bo nie ma susła...

„Nie ma susła"! Więc oni wzięli mnie za wędrownego sabaudczyka, pokazującego uczone susły! Zraniło to moją próżność.

— To okręt — objaśniłem wyniośle, i postąpiłem krok naprzód, chcąc się wydostać z zacieśniającego się koła.

— *Okręt!* A to głupiec! Popatrzcie-no na tego żeglarza!

Ich krzyki ogłuszały mnie, a one skakały śmiejąc się, naokoło mnie.

Chciałem się wydostać, ale jakiś chłopiec, najśmielszy z gromady, szarpnął mój „okręt". W tej samej chwili, drugi zerwał mi czapkę i wyrzucił ją w powietrze.

Moja czapka! czapka odświętna! Wymierzyłem kułaka najbliższemu sąsiadowi, i rzuciłem się po czapkę, którą schwyciłem w powietrzu, a zacisnąwszy pięści, gotowałem się do zemsty za napaść.

Ale rozległo się dzwonienie, i dzieci puściły się z krzykiem ku kościołowi:

— Chrzciny! chrzciny!

Rodzice chrzestni wychodzili z kościoła, a ojciec chrzestny, przekroczywszy zaledwie próg, zanurzył rękę w sporym woreczku, który mu podawał służący, i wydobywszy garść karmelków, rozsypał ją przed nami. Wszystkie

dzieci rzuciły się zbierać, a zanim się podniosły, chrzestny ojciec posypał znowu na ziemię— nie cukierki tym razem; na bruku zadźwięczały miedziane pieniądze. Jeden potoczył się w moją stronę; rzuciłem się na niego, a gdym pochwycił, sypnęły się znowu pieniądze, i tym razem udało mi się pochwycić sztukę dziesięciosusową. Ale inni prócz mnie, widzieli ją także, i rzucili się na mnie, rozzłoszczeni, krzycząc:

— On nie tutejszy! nie ma prawa zbierać!

Deptali mi po rękach, ale ja zaciskałem jeszcze mocniej pieniądz w dłoni. Na szczęście, chrzestny ojciec nie wypróżnił jeszcze wszystkich woreczków, i dzieci pogoniły za nowymi darami.

Miałem całe dwanaście su. Wszedłem do piekarni, kazałem sobie odważyć funt chleba, i zapuściwszy w niego zęby, uciekłem ze wsi. Nie myślałem już o zemście, chciałem tylko zejść z oczu wrogom.

Po dwóch godzinach, doszedłem do opustoszonej strażnicy celnej, i postanowiłem tam zanocować. Ale pomimo wygodnego schronienia i świeżej koniczyny na posłanie, źle spałem, dręczony niepewnością, jak zużytkować moje pieniądze. Za funt chleba zapłaciłem trzy su: pozostało mi zatem jeszcze dziewięć.

Czy żywić się za nie przez trzy dni, czy też lepiej użyć je na coś, co dałoby mi możność zarobkowania w podróży? Gdybym wczoraj miał rondelek, nie cierpiałbym głodu, bo mógłbym gotować kraby i żółwiki; a gdybym miał siatkę, choćby nie większą od chustki, nałowiłbym w kałużach krewetek ilebym zechciał.

Gdy dzień się zrobił, powziąłem już postanowienie, że w pierwszej wiosce, spotkanej na drodze, kupię pudełko zapałek za jednego su, szpagatu za trzy su, a za resztę blaszany rondelek. Ze szpagatem i zapałkami poszło mi gładko, ale trudniej było z rondelkiem, bo najtańszy kosztował piętnaście su. Na moje szczęście, znalazł się w kącie jakiś rondelek pogięty, nie wart naprawy, i kupcowa przez grzeczność — jak mówiła — oddała mi go za pięć su.

Tego dnia zrobiłem jeszcze mniej drogi, niż w przeddzień, bo znalazłszy odpowiednie miejsce, zabrałem się do wystrugania wałeczka i iglicy drewnianej, a potem do roboty sieci, której mnie nauczono za najwcześniejszych lat dziecinnych, kiedy zaledwie umiałem poruszać palcami. Na obiad miałem już przyjemność jeść krewetki złowione tą siecią, i ugotowane w pogiętym rondelku, na ogniu z patyków pozbieranych pod przydrożnymi płotami.

Ale zwykle szczęście nie trwa długo. Ustawiłem kuchnię na wybrzeżu, a dym z niej

podnosił się wysoko. Zwróciło to uwagę strażnika celnego; wychylił się ze szczytu stromej ściany nadbrzeżnej, śledząc skąd wychodzi dym, a potem odszedł, nic nie mówiąc; ale wieczorem, gdym szukał miejsca na nocleg, zastałem go na posterunku, śledzącego mnie bacznie. Zapewne moja osoba nie budziła w nim zaufania, bo widziałem mijając wsie, że mieszkańcy także przyglądali mi się z nieufnością, a jeżeli nie zadawali pytań, to dzięki temu, że przyspieszałem kroku, i uchodziłem im z oczu. Przeląkłem się, że strażnik może zapytać co tu robię, i uwięzić; więc zamiast iść dalej wybrzeżem, skręciłem w głąb lądu pierwszą napotkaną drogą. Wiedziałem, że strażnikowi nie wolno zejść ze stanowiska, i że mnie nie może ścigać.

Ale jeżeli w głębi lądu nie grozili mi strażnicy, nie miałem za to ich budek na noclegi. Musiałem nocować w polu, a co gorzej, nie było nigdzie widać domu, nic — oprócz stogów siana, rysujących się na purpurowem niebie. Miałem przed sobą drugą taką noc, jak na mokradłach w Dol. Ale znalazłem porzucone widły, które zatknąłem w ziemię, przyrzuciłem wiązkami lucerny i znalazłem pod niemi schronienie od zimna i wilgoci nocnej.

Lecz obawiałem się, że mnie tam rankiem zastaną kosiarze, więc o brzasku, gdy ptaki zaczęły świergotać, ruszyłem dalej. Chciało mi

się okropnie spać; nogi miałem obolałe, ale szło mi nadewszystko o to, ażeby mnie nikt tam nie widział i postanowiłem odespać się w dzień.

Ponieważ moje śniadania i obiady nie stosowały się do stanu apetytu, lecz do stanu morza, a o ósmej morze stało wysoko, nie mogłem nic zjeść do samego południa, a i wtedy musiały mi wystarczyć kraby, które złowiłem, gdy woda opadła. Nie chcąc nadal narażać się na takie posty, postanowiłem zrobić zapas, i po spożyciu posiłku, wziąłem się do łowienia krewetek. Nałowiłem sporą ilość tego gatunku, który w Paryżu nazywają „bukietowym", a oprócz krewetek miałem jeszcze trzy sole.

W drodze na wybrzeże, gdzie chciałem wyszukać miejsce zaciszne do ugotowania mego połowu spotkałem jakąś panią, która dwie małe dziewczynki uczyła wydobywać łopatką muszelki z piasku.

— Dobry miałeś połów, mój chłopczyku? — zagadnęła mnie, przystając.

Pani ta miała piękne, białe włosy, i bardzo łagodne oczy, a głos słodki i miły. Pierwszy raz od czterech dni usłyszałem przyjazne słowo, więc nie przeląkłem się i nie uciekłem. Dziewczynki były jasnowłose i takie miłe.

— Dobry, proszę pani.

Otworzyłem siatkę, w której mój połów poruszał się z chrzęstem.

— Może mi zechcesz sprzedać to coś złowił? — zapytała siwowłosa pani.

Łatwo się domyślić, jakie wrażenie zrobiły na mnie jej słowa: przed oczyma zaczęły skakać bochenki chleba, i doleciał zapach przypieczonej skórki.

— Ile żądasz za wszystko? — pytała dalej.

— Dziesięć su — odrzekłem bez namysłu.

— Dziesięć su! Ależ same krewetkt warte są co najmniej czterdzieści su; nie znasz wartości swego towaru, moje dziecko. Nie jesteś rybakiem?

— Nie, pani.

— Jeżeli bawisz się tylko dla przyjemności łowieniem, przyjmij ode mnie czterdzieści su za krewetki, a za ryby drugie czterdzieści. Czy zgoda?

I podała mi dwie sztuki srebrne.

Byłem tak zdumiony jej chojnością, że nie mogłem zdobyć się na odpowiedź.

— Weź śmiało—powiedziała, widząc moje onieśmielenie. Kupisz sobie za to, co zechcesz.

Włożyła mi w rękę cztery franki, jedna dziewczynka wsypała krewetki do swego koszyczka, a druga wzięła moje ryby, nawleczone na sznurek.

Cztery franki! Zaledwie odeszły moje dobrodziejski, zacząłem skakać z radości. Cztery franki!

Niedaleko stały pierwsze domy wioski. Zawróciłem w tamtą stronę, postanawiając kupić dwa funty chleba. Nie bałem się już celnych strażników!

Nie spotkałem żadnego z nich we wsi, ale nie znalazłem i piekarza. Przebiegłem dwa razy główną ulicę wioski: była kawiarnia, oberża, sklep kolonialny, lecz ani jednej piekarni.

A chleba potrzebowałem koniecznie! Czując dzwoniące w kieszeni pieniądze, nie mogłem go sobie odmówić. Nie byłem już tak nieśmiały jak przedtem i zobaczywszy właścicielkę gospody, stojącą na progu, ośmieliłem się zapytać o piekarnię.

— Tu niema piekarni — odpowiedziała.

— To może pani zechciałaby mi sprzedać funt chleba?

— Nie sprzedajemy chleba, ale jeżeli jesteś głodny, możesz u nas dostać obiad.

Przez otwarte drzwi dochodził zapach kapusty. Mój pusty żołądek nie mógł się oprzeć pokusie.

— A ile kosztuje obiad?

— Zupa, kapusta ze słoniną i chleb, trzydzieści su, a do tego jeszcze i jabłecznik.

Było to strasznie drogo; ale gdyby była zażądała czterech franków, byłbym wszedł pomimo tego. Posadziła mnie w małej, nizkiej

salce, i przyniosła bochenek chleba trzyfuntowy.

Ten bochenek mnie zgubił. Słonina na kapuście była bardzo dobra; zamiast jeść na talerzu, kładłem ją na kawałek chleba i tak zjadałem. Zjadłem jeden kawałek chleba, potem drugi i trzeci. To było takie smaczne! Ale bochenek bardzo się zmniejszył. Ukroiłem czwarty kawał, ogromny, postanawiając, że to będzie już ostatni. Ale gdy zjadłem, pozostało mi jeszcze trochę słoniny: ukroiłem więc znowu chleba, i z bochenka została tylko kromka.

Myślałem, że jestem sam, ale usłyszawszy jakieś szepty i tłumione śmiechy, obejrzałem się. Za oszkloną ścianą, na której podniesiono firankę stała gospodyni, jej mąż i służąca; patrzyli na mnie i śmieli się.

Nigdy jeszcze w życiu nie czułem się tak zawstydzony.

Wszyscy troje weszli do sali.

— Czy pan już się posilił? — spytała gospodyni, i wszyscy zaczęli się znowu śmiać.

Pilno mi było uciec. Dałem czterdzieści su.

— Trzydzieści su płacą za obiad *ludzie*, a obżartuchy czterdzieści — powiedziała gospodyni, i nie oddała mi reszty.

Wyszedłem już za próg, kiedy mnie zawołała.

— A strzeż się, żebyś nie pękł z wielkiego najedzenia. Nie idź zanadto prędko, to będzie ostrożniej...

Pomimo przestrogi uciekałem jak złodziej, i dopiero w pewnej odległości zwolniłem kroku.

Wstydziłem się, że tak dużo wydałem na jeden raz, ale mimo wstydu, czułem że mi to dobrze zrobiło; nigdy jeszcze, od początku podróży nie czułem w sobie takiej odwagi. Najadłem się do syta, miałem jeszcze czterdzieści su w kieszeni; nie było powodu do rozpaczy.

Te czterdzieści su, przy oszczędności, mogły mi starczyć na chleb przez kilka dni. Postanowiłem nie iść już brzegiem morza, tylko wrócić do pierwotnego planu podróży przez Calvados.

Ale jedna trudność mnie krępowała: nie wiedziałem gdzie jestem. Minąłem dużo wsi i dwa miasta, a nie wiedziałem jak się nazywają. Przy gościńcu miałbym słupy przydrożne z ilością przebytych wiorst, ale nad brzegiem morskim nie było żadnej wskazówki, a nie śmiałem pytać o nazwy mijanych miejscowości. Wiedziałem to tylko, że trzeba kierować się ku wschodowi.

Opuściwszy raz wybrzeże, musiałem żywić się tylko za moje czterdzieści su: kwestja więc była ważna i trudna do rozstrzygnięcia.

Po długiem wahaniu postanowiłem jednak rozstać się z morzem i zawróciłem na pierwszą spotkaną drogę. Na słupie przydrożnym wyczytałem: „*Do Quetteville 3 kilometry*". Tam dopiero dowiem się co dalej. Jakoż przyszedłszy do Quetteville, zobaczyłem na murze wypisane białemi literami na tle niebieskiem: „*Droga z Quetteville do Galamierès 5 kilometrów*". Nie spotkałem tej nazwy na mapie, i nie miałem pojęcia, w której stronie jestem. Zbłądziłem!

Minąwszy wieś, usiadłem u stóp pięknego kamiennego krzyża, stojącego w miejscu, gdzie krzyżowały się cztery drogi, i zacząłem się rozglądać. Krzyż stał na szczycie pagórka i widok był stamtąd rozległy na wielkie przestrzenie pokryte lasami, wśród których gdzieniegdzie wystrzelała w górę kamienna wieża, a w dali biała wa linia morza, łącząca się z niebem. Szedłem od samego rana; słońce piekło i upał dokuczał. Oparłem się łokciem na schodach krzyża, zacząłem rozmyślać i zasnąłem.

Gdym się obudził, usłyszałem jakiś głos, który mówił:

— Nie ruszaj się!

Naturalnie podniosłem się zaraz, oglądając się w około, w którą stronę uciekać.

Głos, który przemawiał zrazu łagodnie, zawołał niecierpliwie:

— Nie ruszaj się, chłopcze! Wydajesz się ładnie na tle krajobrazu, i jeżeli zechcesz usiąść tak jak przedtem, i siedzieć spokojnie, dam ci dziesięć su.

Usiadłem; ten kto tak przemawiał nie mógł mieć zamiarów nieprzyjaznych. Był to człowiek młody, ubrany w garnitur z szarego welwetu i w miękki filcowy kapelusz; siedział na stosie kamieni i trzymał na kolanach rozłożone album. Domyśliłem się, że rysuje mój portret, a raczej widok wzgórza i krzyża.

— Nie potrzeba zamykać oczu ani ust — zrobił mi uwagę, gdy usiadłem. Jak się nazywa to miejsce?

— Nie wiem.

— Więc nie jesteś z tej okolicy? A jednak nie jesteś chyba pobielaczem rondli, nieprawdaż?

Nie mogłem wstrzymać się od śmiechu.

— Nie śmiej się, proszę. Jeżeli nie pobielasz rondli, cóż znaczy to, co dźwigasz na grzbiecie?

Zaczynały się pytania; ale ten pan wyglądał na najlepszego w świecie człowieka, czułem, że mnie do niego pociąga sympatja, i nie lękałem się odpowiadać na pytania. Powiedziałem mu prawdę: że idę do Havru, że w tym rondelku gotuję ryby i krewetki, że wędruję od tygodnia i że mam czterdzieści su całego majątku.

— I nie obawiasz się rabunku, mając taką wielką sumę? Dzielny z ciebie chłopiec! Nie wierzysz więc że są rabusie?

Zacząłem się znowu śmiać.

Młodzieniec, rysując, wypytywał mnie ciągle, i sam nie wiem, kiedy opowiedziałem mu jakie życie pędzę od czasu wyruszenia w podróż.

— No! mój chłopcze! możesz być dumny, bo jesteś osobliwością w swoim rodzaju. Zacząłeś od głupstwa, to prawda, ale daleś sobie radę. Lubię takich jak ty! Posłuchaj co ci powiem: ja także idę do Havru, ale się nie spiesze: a zajdę tam może dopiero za miesiąc. Zależeć to będzie od tego, co spotkam w drodze: jeżeli okolica spodoba mi się, zatrzymam się i będę rysował; jeżeli mi się nie spodoba, pójdę dalej. Czy chcesz iść ze mną? Będziesz niósł mój worek, a ja za to dam ci pożywienie i noclegi.

Następnego dnia opowiedziałem mu całe moje życie.

— Nieprzyjemny facet, ten twój stryj! — powiedział, wysłuchawszy do końca. Jeżeli chcesz, pójdziemy do Dol; tam na wszystkich ścianach będę rysował jego portret z podpisem: *„Szymon Kalbris, który morzył głodem swego synowca"*. Po dwóch tygodniach będzie musiał uciekać z miasta! Nie chcesz? Wolisz

wcale go nie widzieć? Jesteś bardzo wspaniałomyślny i masz słuszność! Ale w twojem opowiadaniu jest jedno, czego nie mogę pominąć milczeniem. Chcesz być marynarzem? Zgoda na to! Zdaje się, że to twoje powołanie, i nie mogę ci robić żadnych uwag, choć mojem zdaniem, marny to zawód: niebezpieczeństwa, trudy, a w zamian nic. Osiąga się wprawdzie bohaterstwo i awantury żeglarskiego żywota, i na to zgoda, jeśli to lubisz. Zrobisz jak zechcesz, bo choć jesteś jeszcze malec, po tem co doznałeś od stryja, miałeś prawo uciec. Ale nie masz prawa martwić matki. Od tygodnia — odkąd stryj zawiadomił ją o twojej ucieczce — pomyśl ile miała zmartwienia i niepokoju! Może myśli, że nie żyjesz. Wyjmij z mojej torby papier i pióro, i przez ten czas, kiedy ja będę rysował młyn, napisz do matki i powtórzysz jej wszystko, coś mnie opowiedział. Jak uciekłeś od stryja, i co teraz robisz. Powiesz, że szczęśliwym trafem zaznajomiłeś się z Lucjanem Hardelem, malarzem, który cię doprowadzi do Havru, i tam odda pod opiekę znajomemu swemu, właścicielowi statków, a ten wyprawi cię w podróż na statku dobrym i pewnym. Zobaczysz, jaką ulgę sprawi ci ten list...

Pan Lucjan Hardel miał słuszność. Napisałem do matki list, oblałem go łzami i uspokoiłem się, czując się w lepszej zgodzie z sumieniem.

Piękne to były chwile, ta podróż z Lucjanem Hardelem!

Szliśmy wprost przed siebie, bez określonego planu, zatrzymując się czasem na cały dzień przed jakiemś drzewem lub krajobrazem, który on rysował, a kiedyindziej wędrowaliśmy cały dzień bez przerwy. Niosłem jego worek, niezbyt ciężki, który przypinałem na plecach, jak żołnierze tornistry. Rano kupowałem zapasy żywności: chleb, jaja na twardo, szynkę, i nalewałem wódkę do flaszki podróżnej. Jedliśmy śniadanie na drodze, w cieniu drzewa, jeżeli się jakie znalazło w pobliżu; wieczorem jedliśmy w gospodach. Nie krewetki ani kraby, lecz dobrą, gorącą zupę i sypialiśmy nie na sianie na łąkach, lecz na czystych łóżkach, rozbierając się na noc.

Malarz dziwił się ile nauczyłem się od pana Bihorela; ile znałem drzew, owadów, roślin, cały ten drobny światek, mało znany ludziom. Rozmawialiśmy bezustannie, mój opiekun był wesoły i miły, a jego dobroć pociągała moje serce.

Wędrując tak razem, przybyliśmy do Mortain; nie było to na drodze do Havru, ale nic mnie to nie obchodziło. Wiedziałem, że ostatecznie dostanę się tam i odpłynę na parowcu, idącym do Brazylii, więc obojętne mi było, czy nastąpi to trochę później, czy prędzej.

Okolice Mortain są bardzo malownicze. Lasy jodłowe, skaliste zwały, wzgórza o stromych zboczach, posępne wąwozy, a wszędzie spienione potoki płyną w cieniu drzew lub spadają szumiącymi wodospadami. Zieloność cudownej świeżości nęci malarzy, którzy na każdym kroku znajdują przedmiot do studjów i motywy do obrazów.

Obracaliśmy się na niewielkiej przestrzeni, której Mortain było środkowym punktem, a gdy malarz pracował, ja łowiłem pstrągi lub łapałem raki na wieczerzę.

Byłem tak szczęśliwy, że nie mogło to trwać długo, bo nie należało mi się szczęście, lecz pokuta.

Pewnego rana, gdy obaj byliśmy zajęci, ukazał się żandarm. Zdaleka już jego postać wydała się nam zabawna, i Lucjan Hardel, wrażliwy na śmieszność, naszkicował kilku rysami jego karykaturę.

Dochodząc do nas i widząc, że mu się przyglądamy, żandarm poprawił czapkę na żółtych włosach, podciągnął pas i zwolnił kroku, kołysząc się wdzięcznie.

Ołówek biegał szybko po papierze i rosła na nim postać, która mnie pobudziła do serdecznego śmiechu.

Nie podobało się to żandarmowi; zbliżył się do nas i przemówił.

— Za pozwoleniem! Przyjrzeliście mi się panowie dowoli i teraz naturalnie, jabym chciał sprawdzić wasz rysopis.

— I owszem, panie żandarmie! — odrzekł malarz, kładąc rysunek do teki. Nie krępuj się bynajmniej, myśmy pana obejrzeli, kiedy pan nas obejrzysz skwitujemy się zupełnie.

— Tylko bez dowcipów, bardzo proszę. Pan wiesz dobrze, że pragnę zobaczyć pańskie papiery. To mój obowiązek, i mam prawo tego żądać od wędrowców na gościńcu.

Nie odpowiadając żandarmowi, Lucjan Hardel zwrócił się do mnie.

— Romanku! wyjmij moje papiery z worka; są w tej kieszeni gdzie tytuń i pokaż je grzecznie temu panu.

A potem do żandarma:

— Gdybym mógł, chciałbym przez szacunek, jaki się należy pańskiemu stanowisku, podać je panu na srebrnej tacy. Ale w podróży—jak wiadomo—nie zawsze ma się wszystko, czego potrzeba. Dlatego to i mój chłopiec nie ma rękawiczek, ale że i pan ich nie masz, nie będziemy sobie nic dłużni.

Żandarm spostrzegł, że grzeczna przemowa, której z początku przysłuchiwał się z namaszczeniem, jest poprostu drwinami. Zaczerwienił się, nasunął głębiej czapkę i zaczął czytać...

— „My i t. d. wzywamy władze cywilne i wojskowe, by dozwoliły jeździć i chodzić bez przeszkody panu... hm! hm! panu... Har... panu Hardelowi... Lu... Lu... Lucjanowi... z profesji... hm! hm!

Zaciął się tutaj i dopiero po długim namyśle bąkał dalej:

— Ar... artyście... pe... pej... *pejżyście...*

Wybąkał jeszcze coś przez zaciśnięte zęby i oddając pasport, wyrzekł majestatycznie:

— Wszystko w porządku.

Już odwrócił się do odejścia, bo mu pilno było zakończyć rozmowę, gdy Lucjan Hardel, pod wpływem nieszczęśliwego natchnienia zatrzymał go:

— Przepraszam pana, ale tam stoi, że jesteś pan z urzędu swego obowiązany udzielić mi pomocy i opieki.

— Więc co?

— Więc może mnie pan objaśni, w jakim charakterze wolno mi podróżować po kraju?

— W charakterze jaki wymienia pański pasport...

— Więc... w charakterze artysty *pejżysty?*

— Jeżeli takie jest pańskie rzemiosło...

— A czy może mi pan objaśnić, co jest dozwolone, a co zakazane w mojem „rzemiośle"?

— Cóż to? Ja pana mam uczyć pańskiego rzemiosła?

— Rzemiosła nie. Ale przypuśćmy, że o dwie mile stąd, spotka mnie pański kolega przy jakiej robocie, która nie wchodzi w zakres rzemiosła *artysty pejzysty*, co wtedy? Zaaresztuje mnie?

— Naturalnie.

— Więc powinienem wiedzieć, co mi wolno, a co nie!

Pot wystąpił na czoło biednego żandarma. Czuł, że z niego drwią i przypuszczał, że powiedział jakąś niedorzeczność. Ale w końcu rozgniewał się.

— Czy pan długo myślisz wykpiwać władze? Dość tych kpinek... Ponieważ pańskie rzemiosło jest niewyraźne, a ja mam prawo aresztować takich niewyraźnych, więc pana aresztuję... Pójdziemy do mera, i tam się pan wytłumaczysz wyraźniej. A ten niewymieniony na pasporcie — dodał, wskazując na mnie — przekonamy się także kto jest! Wzywam pana do posłuszeństwa władzom!

— Więc aresztujesz mnie pan w charakterze artysty *pejzysty*: czy tak?

— Aresztuję, bo aresztuję; czy mam z tego się tłumaczyć? Wzywam jeszcze raz do posłuszeństwa władzom. Chodźmy!

— Chodźmy! Jeżeli pan mer jest tego samego pokroju co pan, dzień będzie przyjem-

ny. Romanku! bierz torbę i chodź! Panie żandarmie!

— Co takiego?

— Może mi pan zwiążesz ręce i wydobędziesz pałasz z pochwy? Jak parada, to parada!

Nie podzielałem bynajmniej wesołości malarza.

„*A ten, niewymieniony na pasporcie, przekonamy się kto jest*" powiedział żandarm. Te wyrazy dzwoniły mi wciąż w uszach. Będą pytali, dowiedzą się i niezawodnie odeślą do stryja...

Lucjan Hardel szedł pierwszy, wyśpiewując na całe gardło, żandarm za nim o krok, a ja na końcu w cztery lub pięć kroków. Do wsi było z pół mili a szliśmy przez las. Droga była prosta, nikogo w pobliżu. Zaledwie mieliśmy z jakie sto kroków powziąłem postanowienie, pod wpływem trwogi. Lepiej narazić się na wszystko, niż zostać poznanym i odstawionym do Dol... Nie przypiąłem worka na plecach, niosłem go w ręku; zwolniłem trochę kroku, rzuciłem worek na ziemię i jednym skokiem przesadziłem rów przy drodze.

Na odgłos padającego worka żandarm odwrócił się, ale ja byłem już wśród zarośli.

— Stój! — krzyknął za mną.

— Nie bój się! — wołał Lucjan Hardel. Skończy się wszystko na śmiechu...

Ale ja zawołałem tylko:

— Mój stryj! żegnam pana!

I rzuciłem się w zarośla. Biegłem po szalonemu, nie widząc nic przed sobą i runąłem nagle w jakąś dziurę. Leżałem tam bez ruchu, przykryty gęstwiną zielska i cierni tak zarosłych, że zasłaniały widok nieba. Posłuszny instynktowi ściganego zwierzęcia, leżałem rozpłaszczony na ziemi, nieruchomo, powstrzymując oddech, nadsłuchując, ale nie było słychać nic, oprócz głosu ptaków, które latały spłoszone, i osypywanie się piasku, poruszonego moim upadkiem.

Po upływie dłuższego czasu, zacząłem zastanawiać się nad położeniem, które tak mi się przedstawiło.

Lucjan Hardel uwięziony w merowstwie, żandarm zawiadamia kolegów, iż wyprawia się w pogoń za mną. Jeżeli nie chcę zostać uwięziony muszę uciekać zaraz, i oddalić się stąd jak najprędzej. Nawet mi na myśl nie przyszło, że całe nieporozumienie wyjaśni się u mera, i że gdy malarza wypuszczą wolno, możemy wędrować do Havru, jak mieliśmy zamiar. Byłem tak podniecony, że widziałem tylko same okropności. Uciekając przed żandarmami i odstawieniem do Dol, byłbym się rzucił nawet w ogień...

Żal mi było serdecznie rozstawać się z malarzem, ale pocóż drwinami doprowadził do złości żandarma i wywołał aresztowanie, które stało się powodem naszego rozłączenia?

IX.

We dwie godziny po ucieczce doszedłem do Sourdeval, ale lękając się ludzkich oczu, obszedłem miasto i zawróciłem na drogę do Vire.

Uspokoiłem się już trochę, lecz rozumiałem trudności położenia. Rondelek i moje zawiniątko pozostały w Mortain, i znalazłem się na polu bez niczego, jak pierwszego dnia po ucieczce. Nie czułem jeszcze głodu po dobrem śniadaniu, ale i to nie da na siebie długo czekać.

Prócz tego, widziałem wszędzie żandarmów. Na widok każdej ludzkiej postaci schodziłem z drogi i chowałem się w zbożu lub rowie. Siedząc w ukryciu przeliczyłem pieniądze i okazało się, że oprócz własnych mam jeszcze cztery franki, resztę wydaną mi rankiem, gdym kupował tytuń dla malarza. Postanowiłem użyć je teraz, lecz oddać gdy los pozwoli mi się kiedyś spotkać z Lucjanem Hardelem.

Po namyśle ułożyłem sobie iść pieszo, nocować w polu lub w lesie, lecz na żywność nie skąpić. Miałem dość na zaspokojenie głodu.

Znałem już dobrze okolicę i wiedziałem którędy dojdę do Caën. Gdy wieczór nadszedł, ułożyłem się wygodnie pod stertą rzepaku; o jakieś trzysta kroków stamtąd stała szopa, gdzie nocowały owce; dolatał mnie zapach owczarni i nie czułem się wcale samotny wśród rozległych równin. Psy trzymane na łańcuchu pod szopą poszczekiwały w nocy i dodawały mi otuchy.

Lucjan Hardel mówił mi nieraz, że uważa to za cud prawdziwy, iż nie nabawiłem się febry podczas noclegów pod gołem niebem; to też gdym się obudził wstrząsany dreszczem, zerwałem się odrazu z posłania. Jeszcze nie dniało, tylko na niebie szarzała pierwsza smuga brzasku i migotały gwiazdy, a choć na wschodzie zaczynało się rozjaśniać, za mną rozciągała się czarna otchłań nieba, na której odcinały się słupy mgły, powstającej z ziemi. Kurz na drodze zwilżony był rosą jak po deszczu, a wśród gałęzi ptaszki otrzepywały piórka z wilgoci i zaczynały świergotać.

Przez dwa dni następne wędrowałem bez żadnych przygód, ale, rozumie się, nie szedłem bez przerwy. Koło południa, znalazłszy miejsce odpowiednie, spałem przez kilka godzin.

Trzeciego dnia doszedłem do wielkiego lasu, a choć jeszcze było wcześnie, gorąco tak dokuczało, że nie czekałem do południa z odpoczynkiem. Nigdy dotąd nie było mi tak gorąco — ziemia poprostu parzyła w stopy; w lesie miałem nadzieję znaleźć trochę chłodu, ale zawiodłem się. W największej gęstwinie, tak jak na drodze, powietrze było rozpalone, żaden listek nie drgnął na drzewie, ptaki milczały, wszędzie martwy spokój panował, jakby las i ptaki posnęły, uśpione różdżką czarodziejską. Tylko roje owadów kłębiły się w powietrzu, brzęcząc donośnie.

Usiadłszy pod wielkim bukiem, usnąłem natychmiast. Obudził mnie ból: dotknąłem ręką szyi i schwyciłem wielką rudą mrówkę. Jednocześnie poczułem ukłucie w nogę, potem w piersi, w plecy i na całem ciele. Rozebrałem się śpiesznie i zacząłem trzepać ubranie; wytrząsłem z niego całe mrowisko, ale mimo to ból ukąszeń dawał się dokuczliwie we znaki. Czułem straszliwe swędzenie, a im więcej się drapałem, tem bardziej drażniłem pokąsane ciało. Po upływie godziny byłem już cały podrapany do krwi.

Szedłem z pośpiechem, bo zdawało mi się, że gdy wyjdę z lasu doznam ulgi, ale las ciągnął się bez końca: drzewa i drzewa i rozpalone jak w piecu powietrze. Nareszcie do-

szedłem do wzgórka i zobaczyłem rzeczkę, płynącą kręto wśród zarośli. W dziesięć minut dobiegłem już do jej brzegów, rozebrałem się i wskoczyłem do wody.

Rzeczka płynęła w cieniu drzew i woda była w niej chłodna, a tak przezroczysta, że można było widzieć dno usypane żółtym piaskiem i omszonymi kamykami. Na brzegach kępy olszyny i osiczyny chroniły od promieni słońca, i tylko owady unosiły się słupami w powietrzu. Na wodzie lilie wodne rozkładały szerokie liście, a nad brzegiem wśród irysów kołysały się ważki na przezroczystych lśniących skrzydełkach. Kiedym rzucił się z pluskiem w wodę, spłoszone dzikie gołębie zerwały się z drzew osiki, ale wróciły po chwili i zanurzając łebki w wodę, otrzepywały najeżone piórka i gruchały wesoło.

Byłbym chętnie pozostał w wodzie choćby parę godzin, taką przyjemność sprawiał mi jej chłód, ale nagle usłyszałem wołanie, dochodzące z tego miejsca, gdzie pozostawiłem moje rzeczy:

— Ach! rozbójniku! znowu cię przyłapałem na kąpieli! no! tym razem pofatygujesz się do merowstwa po swoje ubranie!

Moje ubranie! moje ubranie w merostwie! moje ubranie z jednej strony rzeki, a ja z drugiej... Nie wierzyłem własnym uszom!

Spojrzałem z osłupieniem na tego, kto do mnie mówił. Człowiek małego wzrostu, otyły, stał na drodze i groził mi pięścią. Na jego piersiach, na szaraczkowej bluzie połyskiwała wielka blacha żółta jak złoto.

Człowiek ten nie tracił czasu. Nie zwłócząc, wykonał pogróżkę.

Schylił się i zbierał z ziemi moje biedne ubranie.

Zacząłem krzyczeć:

— Panie! panie! proszę pana!

— Bardzo dobrze! — odparł. Do widzenia w merostwie!

Chciałem wyskoczyć z wody, biedz za nim, błagać go... Ale powstrzymywała mnie nagość i obawa tej żółtej blachy. Stróż polowy! Człowiek uzbrojony w pałasz, człowiek, który ma prawo aresztować! I co mu odpowiem na jego zapytania?

Zwinął moje rzeczy w zawiniątko, wsunął je pod pachę, a grożąc mi wolną ręką, zawołał:

— Wytłumaczysz się w merostwie!

I odszedł.

Byłem tak oszołomiony, że zapomniałem nawet utrzymywać się na powierzchni wody i zacząłem iść na dno. Wydobywszy się na wierzch, wyszedłem ze wstydem na brzeg i ukryłem się w kępie nadbrzeżnej trzciny. Jej

długie, giętkie kiście pochyliły się i zamknęły nade mną, i tam przynajmniej byłem zabezpieczony od spojrzeń ludzkich i pogoni.

Nie potrzebowałem dużo czasu, by zrozumieć całą grozę mego położenia. Jak iść do merostwa po ubranie? Gdzie jest to merostwo? Pewnie w samym środku wsi! Jakże się pokazać bez odzienia na drodze, jak przejść przez ulicę wioski?

To była sposobność odegrania roli Robinsona, ale w rzeczywistości nie tak łatwo zwalczać przeszkody, jak w powieści.

Od chwili ucieczki z Dol nie zaznałem jeszcze zgnębienia, pomimo różnych przygód niemiłych i niebezpiecznych, ale w tej chwili czułem się bez ratunku, zgubiony; odwaga mnie opuściła, nie miałem już woli ani energii, rozpacz mnie opanowała.

Płakałem długo. A potem zacząłem dzwonić zębami z zimna. O dwieście kroków odemnie słońce oświetlało brzegi rzeki, na których wyschła trawa. Tam mógłbym się rozgrzać, ale z wielkiego strachu nie śmiałem się ruszyć, lecz w końcu zimno tak mi dokuczyło, że zdobyłem się na odwagę, wszedłem do wody i przeprawiłem się na drugi brzeg. Wybrzeże wznosiło się o jakie dwa metry nad poziomem rzeki; od spodu było podebrane przez wodę, a ze szczytu zwieszały się długie łodygi

powoju i chmielu, splątane z sobą. Nie bez wysiłku i nie bez podrapań wydobyłem się na brzeg.

Słońce mnie rozgrzało, ale wraz z ciepłem obudziło się i uczucie głodu. Co robić? Z ubraniem strażnik zabrał mi pieniądze.

Czas upływał, a mnie nie przychodził na myśl żaden sposób ratunku. Nad moją głową słyszałem turkot przejeżdżających drogą wozów, ale cóż to mogło mi pomódz? Jakże wyjść z kryjówki w takim stanie? Byłbym mógł sfabrykować sobie jakie okrycie z liści trzciny, ale mi to nawet do głowy nie przyszło.

Słońce zaczynało się zniżać. Noc zbliżała się. Czekał mnie nocleg, ale nie pod stogiem siana, pod niebem gwiaździstem, w ciepłem ubraniu. Nagi zupełnie na piaszczystym przylądku, co miałem czynić? Czułem zawrót głowy; zdawało mi się, że widzę już jakieś nocne straszydła.

Może na godzinę przed zachodem słońca zaturkotały na gościńcu ciężkie wozy i nagle wszystko ucichło; wozy stanęły niedaleko. Z mojej kryjówki nie mogłem dojrzeć co się dzieje, ale słysząc szczękanie łańcuchów i żelaztwa, domyśliłem się, że wyprzęgają konie. Jakiś dziwny głos: ni to ryk, ni beczenie, ni rżenie konia, coś nieznanego rozległo się niespodzianie i ptaki zerwały się z wrzaskiem,

a wielki szczur wodny spłoszony, rzucił się pod moje nogi i wpadł do nory, której otwór zasłaniałem sobą.

Usłyszałem potem ludzkie stąpanie na łące nadbrzeżnej i jakiś głos przemówił:

— Mam kurę.

— A jak ją zwędziłeś?

— Kamieniem uwiązanym do boku, jak rybę w wodzie. Ale inne narobiły takiego wrzasku!

— Trzeba ją ugotować.

— Jeżeli Wierzgacz zobaczy, to ją ściągnie i zostawi dla nas same kości...

Rozmowa była niezbyt zachęcająca, ale właśnie dlatego natchnęła mnie rozpaczliwą odwagą, na którą nie zdobyłbym się w obec uczciwych ludzi.

Uczepiłem się obu rękoma wystającego brzegu, wysunąłem głowę z łodyg chmielu, dźwignąłem się — i wyjrzałem.

Rozmawiający, których, sądząc z głosów zachrypniętych i zmęczonych, wziąłem za ludzi niemłodych, byli chłopcy w moim wieku. To mnie ośmieliło do reszty i zawołałem.

— Za pozwoleniem!

Odwrócili się, nie mogąc zmiarkować skąd głos wychodzi, to sama tylko moja głowa wysunęła się z pośród liści, i zadziwieni, przestraszeni, nie wiedzieli czy stanąć czy uciekać.

— A! to tu głowa! — zawołał jeden, zobaczywszy mnie.

— Topielec! — krzyknął drugi.

— Głupiś! nie topielec bo mówi.

A w tejże chwili od gościńca doleciało nawoływanie grubym głosem:

— Próżniaki! narwiecie dziś tej trawy czy nie?

Spojrzałem w tamtą stronę: stały tam trzy olbrzymie wozy malowane żółto i czerwono i wędrowna trupa sztukmistrzów.

— Wierzgacz! Wierzgacz! — zawołali chłopcy.

— A co tam?

— Dziki człowiek! chodź zobaczyć! naprawdę!

„Wierzgacz" zaczął iść przez łąkę ku nam.

— Gdzież ten dzikus? — wołał zdaleka.

— Tu, między gałęziami!

Przybliżyli się wszyscy trzej i spojrzawszy na mnie, zaczęli się śmiać.

— Jakim językiem mówi ten dzikus? — zapytał ten, którego zwali „Wierzgaczem".

— Po francuzku, panie — odpowiedziałem bez wahania.

I opowiedziałem moją przygodę, która im wydała się zabawniejszą niż mnie. Słuchając, pokładali się od śmiechu.

— „Sztukamięsa"! — zwrócił się Wierzgacz do jednego z chłopców... Przynieś mu spodnie i bluzę.

We dwie minuty „Sztukamięsa" powrócił: ubrałem się co tchu i wyskoczyłem na brzeg.

— A teraz chodźmy do starego — powiedział Wierzgacz.

Zaprowadził mnie do pierwszego wozu, do którego wchodziło się po drewnianych schodkach. Przy piecyku, gdzie gotowało się skwierząc jakieś jadło, stał mały człowiek, chudy i pomarszczony, a obok niego kobieta tak ogromna i tak otyła, że aż się przeląkłem.

Musiałem poraz drugi opowiedzieć moją przygodę i znowu rozpoczęły się śmiechy.

— Więc szedłeś do Hawru zaciągnąć się do załogi statku? — zapytał chudy człowiek.

— Tak, panie.

— A czemże mi zapłacisz za bluzę i spodnie?

Nie odpowiadałem przez chwilę; potem zebrałem się na odwagę:

— Jeżeli pan pozwoli, będę pracował dla pana.

— A co umiesz? czy potrafisz wyciągać ręce i nogi ze stawów?

— Nie.

— Czy umiesz połykać szpady?

— Nie.

— Czy umiesz grać na trąbie, piszczałce albo na bębnie?

— Nie.

— No! więc czegoż cię uczyli? — zagadnął oburzony. Twoje wychowanie jest bardzo zaniedbane!

— Lichy nabytek. Jest taki jak wszyscy ludzie — dodała olbrzymka, oglądając mnie od stóp do głowy. I gada to jeszcze o pracy!

Wzruszyła ramionami i odwróciła się wzgardliwie. Ach! gdybym był potworkiem, gdybym miał dwie głowy, albo trzy ręce... Ale być takim jak wszyscy — co za wstyd!

— Czy umiesz oprzątać konie? — zapytał chudy człowiek po namyśle.

— Trochę. Będę się starał.

— No! zawsze to już jest coś! Od tej chwili zostajesz zaangażowany do składu menażerji hrabiego de Lapolade, menażerji, słynnej zarówno z piękności zwierząt, jakie ją składają, jak i z odwagi znakomitej Dianetki, córki naszej, a poskromicielki tych zwierząt. Idź za Wierzgaczem, on ci pokaże co masz robić, a za godzinę przyjdź tu na wieczerzę.

Nie miałem wyboru. Nie mogłem wybredzać. Przyjąłem jak dobrodziejstwo tę dziwaczną pomoc, jaką mi ofiarowano.

X.

Tym sposobem wstąpiłem do trupy akrobatów, a raczej, mówiąc dokładniej, zostałem stajennym chłopcem przy zwierzętach menażerji pana hrabiego de Lapolade.

Mój pryncypał nie był bynajmniej, jak możnaby przypuszczać, urojonym hrabią: miał on najzupełniej autentyczne dokumenty, potwierdzające jego prawo do tego tytułu, które pokazywał chętnie w uroczystych chwilach. Po życiu pełnem występków i przygód upadł tak nizko. Na domiar upadku, w chwili wielkich niepowodzeń zaślubił był olbrzymkę, która mnie tak niechętnie przyjęła. Znana na jarmarkach w całej Francji pod nazwą „Olbrzymki z Bordeaux", choć właściwie była rodem z Owernii, w młodości miała zaszczytne stanowisko, bo pokazywano ją jako fenomen natury. Na jednym obrazie wymalowana była w różowej sukni, a jej olbrzymich rozmiarów noga w białej pończosze, wspierała się z wdziękiem na taburecie. Drugie malowidło przedstawiało ją przyodzianą w kurtkę z niebieskiego aksamitu ze szpadą w ręku, walczącą z brygadjerem karabinierów, mniejszego od niej wzrostu.

Na tem rzemiośle olbrzymka uciułała sporą fortunkę, i to skusiło pana hrabiego Lapolade. Nie posiadał on nic, oprócz talentu wy-

mowy, ale ten talent miał w wybitnym stopniu i nikt nie mógł się z nim równać, gdy szło o zwabienie publiczności i zachwalenie sztuk cyrkowych. „Olbrzymka z Bordeaux" i on pobrali się i dobrana para nabyła menażerję, która z początku mogła współzawodniczyć z najpierwszemi menażerjami, wiodącemi żywot koczowniczy. Ale Lapolade obok talentu miał i słabe strony: był żarłok i pijak.

Zwierzęta niestarannie pielęgnowane, źle żywione, zdychały; inne posprzedawano i w tym czasie, gdy wstąpiłem do trupy, cała menażerja składała się ze starego lwa, hyen, węża i uczonego konia, który codzień chodził w zaprzęgu, a wieczorem wskazywał najgłupszą osobę wśród publiczności.

Przy wieczerzy zapoznałem się ze składem trupy: Oprócz państwa Lapolade był tam *Wierzgacz*, grający na kobzie, *Sztukamięsa*, drugi chłopiec zwany *Pakuła*, dwóch niemców: jeden, Herman, grał na klarnecie, a drugi, Karol, na bębnie, i nakoniec znakomita Dianetka, dziewczynka jedenasto lub dwunastoletnia, wątłej powierzchownosci, nerwowa, z wielkiemi oczami, błękitnemi jak kwiat przylaszczki.

Pomimo że byłem prostym stajennym, zasiadłem do stołu razem z temi znakomitościami.

Stół może nie nadaje się na nazwę tego sprzętu, przy którym zasiedliśmy: była to długa

i szeroka skrzynia z prostego drzewa, stojąca na środku wozu, a służyła ona do trojakiego użytku. W swem wnętrzu mieściła kostjumy i na niej w godzinach posiłku rozstawiano talerze, a nocą układano materace dla Dianetki. Obok tej skrzyni stały dwie mniejsze, zastępujące miejsce ławek dla członków trupy, bo tylko pan i pani Lapolade mieli krzesła.

W ten sposób umeblowany pierwszy przedział wozu miał wygląd przyzwoity, dużej jadalni. Oszklone drzwi podwójne prowadziły na zewnętrzny ganek, a przez te dwa małe okienka, ozdobione czerwonemi firaneczkami, widać było drzewa na gościńcu.

Musiałem jeszcze raz opowiedzieć moje przygody, ale nie wymieniałem nazwiska ani matki, ani stryja, ani nie mówiłem w jakiej miejscowości mieszkałem. Tylko kiedy opowiedziałem zdarzenie z żandarmem, Dianetka zawyrokowała, że jestem „ciemięga", i że ona na mojem miejscu byłaby się doskonale zabawiła. Obaj muzykanci potwierdzili jej zdanie— nie słowami, bo nie mówili nigdy — lecz chóralnym śmiechem.

Kiedy skończyliśmy wieczerzę, na niebie jeszcze świeciły ostatnie blaski zachodu.

— Dalej, moje dzieci! — zawołał Lapolade, korzystajmy z resztek światła i powyciągajmy się trochę, nie pozwólmy zardzewieć naszym muskułom!

Usiadł na zewnętrznej galeryjce wozu, Dianetka podała mu zapaloną fajkę, a *Pakuła* i *Sztukamięsa* postawili na trawie niewielkie pudło z pokrywą. Pakuła rozpiął bluzę, przeciągnął się parę razy, rozprostował ręce i nogi, potrząsnął głową, jakby ją chciał zrzucić z karku, zdjął wieko z pudła, wcisnął się w nie i znikł. Zachwyciła mnie ta sztuka, bo pudło było tak małe, że nie śmiałbym w nie włożyć dwuletniego dziecka.

Potem przyszła kolej na Sztukamięsę. Ale ten, mimo wysiłków, nie mógł się wcisnąć do pudła. Hrabia Lapolade nie ruszając się z balkonu, wymierzył mu w plecy potężny cios batogiem.

— Za dużo jadłeś! — powiedział. Jutro zmniejszę ci porcję.

A zwracając się do mnie, rzekł:

— Teraz na ciebie kolej.

Odskoczyłem parę kroków w tył, tam gdzie bat nie mógł mnie dosięgnąć.

— Ja mam wejść do tego pudła?! — zawołałem.

— Jeszcze nie teraz, mój chłopcze. Pokaż nam tylko co potrafisz, i przeskocz ten rów.

Rów był głęboki i szeroki; przeskoczyłem go o dwa kroki dalej niż było potrzeba.

Lapolade był bardzo zadowolony i powiedział, że nadam się doskonale do trapezu.

Pierwszy wóz przeznaczony był dla dyrektora, drugi dla zwierząt, trzeci służył za sypialnię dla członków trupy i skład akcesorjów. Ponieważ nie było tam dla mnie łóżka, dostałem dwie wiązki słomy i usłałem sobie posłanie pod wozem.

Chociaż posłanie to lepsze było od moich noclegów przez ostatnie noce, długo nie mogłem zasnąć! Pogasły światła, ucichło wszystko. Rozlegało się tylko niekiedy tupanie koni, przywiązywanych do wozów i wyciągających się na sznurach do zakurzonej trawy, rosnącej w pobliżu. Od czasu do czasu w menażerji odzywało się potężne sapanie lwa i jego żałosne westchnienia. Może to noc letnia, gorąca i cicha, przypominała mu afrykańskie pustynie, bo od czasu do czasu uderzał się po bokach potężnym ogonem, jakby nagle budziła się w nim odwaga i popychała do buntu, kusząc wolnością.

Lew leżał w klatce mocno zamkniętej, ja na świeżem powietrzu. Przez chwilę myślałem o ucieczce, skorzystać ze sposobności, ale musiałbym zabrać ubranie dane przez hrabiego Lapolada. Byłaby to kradzież. Ponawiałem więc w myśli postanowienie wiernej służby u tego nowego pana: zresztą nie będzie on chyba gorszy od mego stryja, a gdy spłacę pracą mój dług za ubranie, odzyskam wolność.

Menażerja dążyła na jarmark w Guibray, i tam to poraz pierwszy ujrzałem Dianetkę, wchodzącą do klatki lwa i usłyszałem wymowę dyrektora, zapraszającego publiczność.

Wyjęto kostjumy ze skrzyni: Dianetka wdziała na trykoty sukienkę wyszywaną złotemi blaszkami, a na głowie miała wianek róż. Sztukamięsa i Pakuła przebrani byli w czerwone kostjumy djabelskie, obaj niemcy mieli ułańskie mundury z pióropuszami, spadającemi na oczy. Mnie zaś umalowano na czarno za murzyna, ręce po łokcie, głowę i szyję do ramion! miałem przedstawiać niewolnika przybyłego ze lwem i zabroniono mi odzywać się po francusku. Na wszystkie pytania miałem odpowiadać uśmiechem, wyszczerzając zęby. Własna matka nie poznałaby mnie pewnie w tem przebraniu, a tego właśnie chciał Lapolade, gdyż obawiał się, czy wśród tłumu nie znajdzie się kto z moich stron rodzinnych.

Od dwóch już godzin podnosiliśmy wrzawę ogłuszającą. Wierzgacz skończył swoje popisy, Dianetka odtańczyła baletowe pas ze Sztukamięsą, kiedy na estradę wystąpił Lapolade w generalskim mundurze. Otaczał nas gęsty tłum ludzi, a białe czepce normandzkie na głowach kobiet oślepiały białością. „Generał" skinął — muzyka umilkła.

Lapolade zwrócił się do mnie, i podając mi cygaro, rzekł:

— Nie daj mu zagasnąć przez ten czas, kiedy będę mówił...

Spojrzałem zdumiony, a jednocześnie uczułem kopnięcie z tyłu.

— A to głupiec z tego murzyna! — zawołał Wierzgacz. Stary daje mu cygaro, a on grymasi!

Nigdy dotąd nie paliłem: nie wiedziałem nawet czy trzeba oddychać czy dmuchać, a nie była to pora do objaśnień i jedną ręką Wierzgacz pociągnął mnie za podbródek, drugą ręką podniósł mi nos, a Lapolade znienacka wsadził mi w otwarte usta cygaro. Musiałem rzeczywiście mieć śmieszną minę, bo widzowie pokładali się od śmiechu.

Generał zdjął kapelusz z pióropuszem: zrobiła się odrazu cisza. Zaczął mówić.

— Oto stoi przed wami sławny Lapolade! któż on jest, ten Lapolade? Szarlatan w generalskim mundurze? Tak jest, on sam, a dlaczego — spytacie — człowiek tak znakomity ubiera się tak dziwacznie? Dlatego, żeby was zabawić, szanowni państwo! bo gdybym tu nie stał przed wami w tym mundurze poszlibyście spokojnie, każdy w swoją stronę, zamiast gapić się na mnie z otwartemi ustami...

Lapolade przerwał przemowę, wyjął mi z ust cygaro, pociągnął kilka razy, wypuszczając kłęby dymu, a potem ku wielkiemu mojemu

oburzeniu i obrzydzeniu, wetknął mi napowrót cygaro w moje usta i mówił dalej.

— Ale ja znam publiczność, i wiem na co można ją wziąć. Byłem w Niemczech i stamtąd przywiozłem dwóch znakomitych artystów muzycznych, których macie przed sobą: zaangażowałem do mojej trupy słynnego *Pakułę*, którego sława musiała dojść już do was i *Sztukamięsę*, który tu oto stoi, a o *Wierzgaczu* nic nie powiem, bo już widzieliście go sami. I dzięki temu zatrzymujecie się zaciekawieni i pytacie jedni drugich: „Cóż on nam pokaże ten człowiek"? A teraz, panowie muzycy, zagrajcie nam coś ładnego.

Taką przemowę z małemi odmianami wygłaszał wszędzie, i dziś jeszcze po tylu latach, pamiętam ją co do słowa. Ale pierwszego dnia słyszałem tylko jej pierwszą połowę, bo dym z cygara odurzył mnie i przyprawił o mdłości, wchodząc do budy zwierząt, byłem już tylko napół przytomny. Moim obowiązkiem było otwierać klatki, gdy Dianetka do nich wchodziła. Jak przez mgłę widziałem ją nadchodzącą. W jednej ręce trzymała szpicrutę — drugą przesyłała publiczności całusy. Hyeny w klatkach chodziły w kółko, zwolna utykając; lew leżał, oparłszy głowę na przednich łapach i zdawało się że drzemał.

— Otwórz klatkę niewolniku! — rozkazała Dianetka.

I weszła. Lew nie poruszył się. Małemi rączkami wzięła go za uszy i ciągnęła z całej siły, chcąc zmusić do podniesienia głowy. Nie poruszył się mimo tego. Zniecierpliwiła się i trąciła go szpicrutą po grzbiecie. Zerwał się, podniósł na tylnych łapach, wydając ryk tak przeraźliwy, że aż nogi pode mną zadrżały. Do mdłości, które mnie dręczyły, przyłączył się strach; skutkiem odurzenia tytoniem wszystko w około mnie wirowało, straciłem równowagę i padłem na ziemię.

Ale człowiek tak zręczny jak Lapolade, potrafił skorzystać ze wszystkiego.

— Widzicie co za dzikość tego zwierzęcia? Na sam odgłos jego ryku padają zemdlone dzieci z jego krainy pochodzące!

Moje cierpienie tak było widoczne, że publiczność wynagrodziła mnie oklaskami, a Wierzgacz wziął mnie na ręce, wyniósł z estrady i za budą rzucił na ziemię jak pęk łachmanów.

Przez cały ciąg przedstawienia leżałem tam, srodze cierpiąc, nie mogąc się poruszyć, ale mimo to słyszałem dalsze ryczenie lwa, wycie hyen, oklaski i krzyki publiczności.

Potem słyszałem kroki rozchodzącego się tłumu, a po chwili uczułem, że mnie ktoś pociąga za rękę. Dianetka stała przy mnie ze szklanką w ręku.

— Napij się! to woda z cukrem. Głupi byłeś, żeś się tak przestraszył o mnie, ale to wszystko jedno; dobry z ciebie chłopiec...

Było to pierwsze życzliwe słowo, jakie od niej usłyszałem od chwili wstąpienia do trupy. Ten objaw sympatji wzruszył mnie, uczułem się mniej osamotniony. Pakuła i Sztukamięsa zmawiali się zawsze przeciwko mnie i płatali mi figle; ucieszyłem się więc, że znalazłem życzliwą towarzyszkę.

Nazajutrz chciałem jej za to podziękować, ale odwróciła się do mnie plecami, nic nie mówiąc i nie patrząc. Musiałem więc wyrzec się nadziei zaprzyjaźnienia z nią, a że już zaczynał mi się przykrzyć ten rodzaj życia, w którym kułaki i kopnięcia sypały się codzień jak grad, a że obliczyłem, iż obsługując konie, czyszcząc klatki dzikich zwierząt we dnie, a wieczorami odgrywając rolę murzyna, wypłaciłem się już za moje płócienne spodnie i bluzę, zacząłem przemyśliwać nad opuszczeniem trupy i wędrówką do Hawru. Biedna mama! Więc poto porzuciłem ją, żeby się włóczyć z gromadą sztukmistrzów! Ach! gdyby mnie tu zobaczyła, gdyby dowiedziała się co robię!

Lato mijało: noce bywały zimne, dość często dżdżyste; niedługo już niepodobna będzie nocować na polu. Należało się spieszyć tem więcej, że po wyjeździe z Guibray, mie-

liśmy skierować się w stronę Loary i oddalić od Hawru.

Ale nie chcąc puszczać się nieprzezornie na wyprawę, zacząłem zbierać kawałki chleba na zapas w podróży, a w wolnych chwilach szyłem trzewiki ze starych cholewek od butów. Miałem już plan ułożony. Gdy trupa wyruszy w podróż, wymknę się pierwszej nocy...

W przeddzień ucieczki wykończałem trzewiki, gdy niespodziewanie zaszła mnie przy robocie Dianetka.

— Myślisz uciekać? — zagadnęła z cicha.

Chciałem zaprzeczyć.

— Śledzę cię już od tygodnia — mówiła dalej. Wiem, że masz zapas chleba złożony pod skrzynią z obrokiem, a to nie bez celu. Ale nie bój się, nie zdradzę cię, a jeżeli zgodzisz się na to, ucieknę razem z tobą.

— Porzuciłabyś ojca? — zapytałem, wiedząc już z doświadczenia, co to znaczy opuścić rodziców.

— Ojca?! — powtórzyła. To nie są moi rodzice ci ludzie... Ale może nas tu kto podsłuchać: idź na wały i zaczekaj tam na mnie. Postaram się przyjść, jeżeli jesteś dobry chłopiec to mi pomożesz, a i ja tobie będę także pomagała.

Dwie godziny przeszło chodziłem po wałach i fosach, czekając na nią; myślałem już, że ze mnie tylko zażartowała, gdy nadbiegła.

— Schowajmy się w leszczynie — powiedziała. Nie powinien nas nikt widzieć razem, bo mogliby się czegoś domyślić.

Poszedłem za nią i gdyśmy usiedli w gęstwinie leszczyny i olchowych drzew, gdzie nikt nas nie mógł dojrzeć, Dianetka zaczęła mówić:

— Muszę ci na początek opowiedzieć moją historję, a potem zrozumiesz, dlaczego chcę uciekać.

Pomimo że byliśmy w równym wieku, Dianetka mówiła do mnie zawsze tonem wyższości, jak osoba dorosła do dziecka, i nią pojmowałem, dlaczego — będąc tak pewną siebie — może potrzebować pomocy takiej nędznej istoty jak ja. Ale że miałem dla niej sympatję, a w dodatku ponieważ odgadła moją tajemnicę i zamiar ucieczki, nie opierałem się i przyjąłem odrazu rolę powiernika.

— Lapolade nie jest moim ojcem — mówiła. Ojca nie pamiętam wcale, umarł kiedy byłam jeszcze bardzo maleńka. Matka moja miała sklep z bielizną i drobiazgami na którejś ulicy w pobliżu hal targowych w Paryżu. Nie wiem jak się nazywała moja matka, ani ulica na której miała sklepik. Pamiętam tylko, że mama była młoda i ładna, i że miała bardzo długie jasne włosy, takie długie, że kiedy braciszek i ja przychodziliśmy do niej na dzień dobry, mogliśmy się schować pod jej włosami.

Mama kochała nas bardzo, pieściła i nie biła nigdy. Mój braciszek był trochę starszy ode mnie i nazywał się Eugeniusz. Przez naszą ulicę przejeżdżało mnóstwo wozów i rano leżały na chodnikach całe stosy kapusty, marchwi, rozmaitych jarzyn, a z progu sklepu widać było na kościele złocony zegar. Przeszłego roku mówiłam o tem jednemu klownowi z trupy Massona, który przyjechał z Paryża, powiedział, że to kościół świętego Eustachego.

Mama zajęta była cały dzień i nigdy prawie z nami nie wychodziła, tylko nasza sklepowa wyprowadzała nas na spacer. Jednego dnia, gdy było bardzo gorąco i pełno kurzu na ulicach, zabrała nas na jarmark piernikowy; ten jarmark odbywa się blizko rogatek Tronowych; musiałeś już słyszeć o nim, odkąd jesteś w naszej trupie. Nie wiem dlaczego braciszek nie poszedł z nami, ale to wiem, że został w domu.

Tam pierwszy raz zobaczyłam ulicznych sztukmistrzów, i bardzo mnie to zabawiło. Chciałam wchodzić do wszystkich bud, ale sklepowa nie miała pieniędzy, a ja miałam tylko cztery su na ciastka. Wzięła ode mnie te pieniądze i poszłyśmy do budy, gdzie pokazywano *fenomeny*.

— Co to znaczy *fenomeny?*

— O! jakżeś ty głupi, kiedy nie wiesz co to fenomen! to są takie różne osobliwości,

zwierzęta albo ludzie, naprzykład kobieta olbrzymka, albo żywa foka, albo coś podobnego.

W tej budzie pokazywano dwie foki, pływające w wielkiej kadzi. Sklepowa zaczęła rozmawiać z człowiekiem, który miał tę budę. Człowiek bardzo mi się przyglądał i chwalił, że jestem ładna. Wyszedł razem z nami i zaprowadził nas do kawiarni, do ciemnej sali zupełnie pustej. Byłam zmęczona upałem i kiedy ten człowiek pił z naszą sklepową wino, zasnęłam.

Kiedym się obudziła, ściemniło się i sklepowej nie było już w sklepie.

Zapytałam gdzie poszła, a ten człowiek powiedział, że jeżeli chcę, to mnie do niej zaprowadzi. Poszłam z nim. Na ulicy dużo ludzi chodziło po chodnikach, budy jarmarczne były oświetlone i wszędzie grały muzyki. Człowiek wziął mnie za rękę i zaczął iść bardzo prędko, ciągnąc mnie za sobą.

Wyszliśmy z tłumu na szeroką aleję, gdzie po obu stronach stały szeregi drzew. Chciał mnie nieść, ale nie pozwoliłam; a kiedy mimo tego usiłował mnie wziąć na ręce, zaczęłam krzyczeć. Przechodzący żołnierze zatrzymali się.

— Czego krzyczysz? — zapytał mój opiekun. Idziemy przecież do mamy.

Chciałam iść dalej, ale droga wydawała mi się dłuższa niż przedtem i jakaś inna. Mi-

nęliśmy gmach wielki i posępny, gdzie stali na straży żołnierze, a potem weszliśmy do lasu. Przelękłam się i nie chciałam iść dalej.

— Czy pójdziesz, ty żmijo! — krzyknął na mnie grubym głosem mój towarzysz. Jeżeli będziesz grymasiła, to dam ci zaraz nauczkę!

Nie było nigdzie ludzi, człowiek ciągnął mnie mocno, więc szłam i płakałam. Nie miałam jeszcze pięciu lat, bałam się, a chciałam wrócić do mamy.

Nie wiem jak długo szliśmy, ale kiedy ukazało się światło, byłam już bardzo zmęczona. Na placyku pod murem stały wozy sztukmistrzów i weszliśmy do jednego z tych wozów. Przyjęła nas tam kobieta bez nóg, która zapijała wódkę.

Człowiek coś jej poszeptał do ucha, i oboje bardzo mi się przyglądali.

— Nie widziałeś tego? — mówiła kobieta. Ma znamię na policzku.

Znamię było maleńkie i czerwone, tu gdzie teraz jest dołek.

— Bagatela! — odparł człowiek. To się odrazu usunie.

Strach mnie zdjął i zaczęłam wołać, gdzie jest mama?

— Mama przyjdzie tu jutro rano, moja duszeńko — odpowiedziała kobieta. Bądź grzeczna i połóż się spać.

— Może głodna — zrobił uwagę człowiek.

— To jej damy jeść, tej pieszczoszce.

Wtedy dopiero zobaczyłam, że kobieta nie ma nóg, i że suwa się kołysząc i opiera na dłoniach. To mnie bardzo zadziwiło i wcale nie uspokoiło; ale że mi ta kobieta dała na kolacyę grochu, który się gotował w kociołku, zjadłam ze smakiem.

— Bardzo ładna ta mała — mówiła kobieta, przyglądając się jak zajadam groch, bez soli i bez okrasy.—I wcale nie grymaśna w jedzeniu.

Nie wiedziała jak mi smakuje jedzenie, którego mi w domu lekarz zabronił, zalecając tylko mięso pieczone, bo byłam często chora.

— A teraz chodźmy spać — powiedział, gdym skończyła moją porcyę.

Odsunęła drelichową firankę w głębi wozu, za którą stały dwa łóżka.

Bardzo zabawnie zdawało mi się spać na wozie. Zasnęłam zaraz. Kiedym się obudziła, czułam, że moje łóżko podskakuje: myślałam, że to sen, to kołysanie na prawo i na lewo, szczęk łańcuchów i turkot. Nad mojem łóżkiem było okienko; uklękłam na posłaniu i wyjrzałam; zaczynało ledwie świtać, a przed wozem przesuwały się drzewa; daleko, na łąkach, płynęła rzeka. Zrozumiałam wtedy, że mój pokój i łóżko jedzie. Przypomniałam sobie wszystko. Zaczęłam wołać:

— Mamo! mamo!

Gruby nieznajomy, głos odpowiedział mi:

— Jedziemy do mamy!

Przelękłam się i zaczęłam jeszcze więcej krzyczeć.

Wszedł jakiś człowiek, którego dotąd nie widziałam; był tak wysoki, że jego wojskowa czapka dotykała sufitu.

— Jeśli będziesz krzyczała, zabiję cię!

Możesz sobie wyobrazić, że krzyczałam, ale kiedy począł iść ku mnie z wyciągniętemi rękami, myślałam, że mnie udusi i uciekłam.

Gdy wyszedł, sięgnęłam po ubranie, lecz nie znalazłam go nigdzie, a nie śmiąc prosić o nie, leżałam cicho na łóżku.

Wóz toczył się długo — jechaliśmy to po bruku, to po piasku, przez okna widziałam, że mijamy różne wsie, aż nakoniec stanęliśmy, a kobieta bez nóg weszła.

— Mama? gdzie mama? — zawołałam.

— Zaraz przyjedziemy do mamy, aniołeczku.

Mówiła do mnie z dobrocią i to mnie ośmieliło.

— Chcę się ubrać.

— I ja ci chciałam to samo powiedzieć. Masz tu ubranie.

Dała mi jakąś zniszczoną sukienkę.

— To nie moja sukienka!

— Ale musisz ją włożyć.

Chciałam się opierać i podrzeć te gałgany

na strzępy, lecz kobieta bez nóg popatrzyła na mnie tak wymownie, że usłuchałam jej rozkazu.

Kiedy mnie ubrała w tę szkaradną sukienkę, wóz stanął i kobieta powiedziała, że mogę wysiąść. Stanęliśmy na rozległej równinie, i naokoło jak daleko oko sięgało, otaczały nas zielone pola. Człowiek w czapce wojskowej rozpalił ogień na gościńcu, i na trzech kijach związanych u góry zawiesił kociołek. Byłam bardzo głodna, i z przyjemnością przysłuchiwałam się szumiącemu kociołkowi.

Kobieta została na wozie; człowiek w wojskowej czapce wziął ją na ręce i zniósł na drogę.

— Znamię — powiedziała patrząc na mnie.

— Prawda! zapomniałem już o tem...

Niegodziwiec wziął mnie na kolana, ścisnął mocno, trzymając za ręce tak silnie, że nie mogłam się ruszyć. Kobieta podniosła mi głowę jedną ręką, a drugą, wycięła mi nożyczkami znamię na policzku.

Trysnęła krew, zalała mi usta i całą sukienkę, myślałam, że ta kobieta chce mnie zabić, zaczęłam krzyczeć strasznie i usiłowałam ją kąsać.

Kobieta spokojnie przyłożyła mi do policzka coś palącego, i krew przestała płynąć.

— Puść ją teraz — rozkazał człowiek w czapce.

Kobieta myślała, że ucieknę. Nic z tego!

Rzuciłam się na nią, i zaczęłam bić ją z całej siły.

Myślę, że byłaby mnie udusiła, gdyby nie mąż, który wrzucił mnie do wozu i zamknął.

Siedziałam tam cały dzień trzymana o głodzie; dopiero wieczorem otworzyli drzwi. Pierwsze moje słowa były, że chcę iść do mamy.

— Mama umarła — odpowiedziała mi kobieta bez nóg.

Ale ja przez cały dzień siedząc zamknięta, rozmyślałam, to też krzyknęłam:

— To nieprawda! mama nie umarła, tylko ty jesteś złodziejka!

Zaczęła się śmiać, a to mnie doprowadzało do rozpaczy.

Przez trzy tygodnie, czy miesiąc byłam u tych ludzi. Myśleli, że mnie poskromią jak zwierzątko głodem i biciem, ale nic nie mogli wskórać. Kiedym była głodna, robiłam co kazali, ale gdym się najadła, nie chciałam słuchać ich rozkazów. Kobieta bez nóg rozumiała, że jej nie przebaczę nigdy operacyę jaką mi zrobiła na policzku nieraz mówiła, że się mnie boi, bo jak urosnę to ją zabiję.

Dojechaliśmy do jakiegoś kraju, gdzie mówili innym językiem, i gdzie jest mnóstwo rzek. Widząc, że nic ze mną nie zrobią, sprzedali mnie jakiemuś niewidomemu, który widział tak dobrze jak ja, ale udawał niewidomego i żebrał. Cały dzień musiałam stać z nim na moście

i wyciągać rękę. Na szczęście miał on pudla, z którym mogłam bawić się wieczorami w domu, gdyby nie ten pies, umarłabym chyba z tęsknoty i smutku.

Nie miałam chęci do żebraniny, a że nie chciałam naprzykrzać się ludziom, którzy nic nie dali i gonić ich z płaczem, mój niewidomy bił mnie codzień. Zmęczony biciem sprzedał mnie wędrownym muzykantom, którzy mi kazali obchodzić publiczność z talerzem, prosząc o datki.

Po iluż krajach wędrowaliśmy w ten sposób! Byłam w Anglii a nawet w Ameryce, gdzie jest tak zimno, że używają powozów bez kół, które ślizgają się po śniegu. Trzeba płynąć przez morze do tego kraju, a podróż trwa bardzo długo.

Po przybyciu do Francyi, muzykanci sprzedali mnie hrabiemu Lapolade. Kupił mnie na akrobatkę, a tymczasem dawałam jeść zwierzętom. Mieliśmy wtedy trzy lwy, jeden bardzo złośliwy, ze mną odrazu był łagodny jak baranek, i kiedy mu przynosiłam jedzenie, lizał mnie po rękach.

Jednego dnia, przy ćwiczeniach gimnastycznych, Lapolade zniecierpliwiony, że mi się nie udawała jakaś trudna sztuka, obił mnie; krzyczałam ile mi sił starczyło. Stało się to przed klatką lwa; mój poczciwy lew, widząc że mnie biją, wysunął łapę przez kraty, pochwycił

„starego" za ramię i wciągnął go do siebie. Lapolade chciał się wyrwać, ale lew zapuścił mu głęboko pazury w ciało i trzymał mocno. Gdyby nie nadbiegli ludzie z żelaznymi drągami, Lapolade byłby zginął na miejscu. Chorował przez całe dwa miesiące i od tej pory postanowił mnie wprowadzać do klatek.

— Jeżeli lwy przyjaźnią się z tobą — powiedziała mi pani — nie zjedzą cię; a zresztą ten stary lew obroniłby cię.

Wolałam to niż sztuki akrobatyczne, i od tej pory; „*znakomita Dianetka czaruje swym powabem, dzikich synów pustyni*", jak głosi nasz generał. Głupi on z tymi „dzikimi synami pustyni"; lwy są łagodniejsze od psów. Ach! gdyby mój stary „Czerwonak" żył, przekonałbyś się sam. Wprowadzałam je wszystkie trzy do jednej klatki: biłam szpicrutą tamte dwa, a gdy już się rozłościły, mówiłam „Czerwonakowi":

— Broń mnie! nie daj mnie!

I zaraz wstawał i zasłaniał mnie, ryczący tak strasznie, że wszyscy drżeli ze strachu. A ja udawałam, że mdleję; lizał mnie wtedy po twarzy, ludzie otwierali klatkę i „Czerwonak" wynosił mnie w paszczy jak własne lwiątko. Gdybyś widział i słyszał jak publiczność klaskała! Rzucali mi bukiety i ciastka, a piękne panie przychodziły mnie ucałować.

Miałam takie powodzenie, że proponowano

generałowi występy w Paryżu. Pomyśl tylko, co za radość dla mnie! W Paryżu mogłam łatwo wymknąć się i odszukać mamę.

Ale właśnie kiedy już mieliśmy wyjeżdać, „Czerwonak", zachorował; było to w zimie, a on był drażliwy na chłód, i drżał z zimna. Ach! pielęgnowałam go w chorobie, jak mogłam, sypiałam obok niego, nakrywając go własną kołdrą, ale mimo tego... zdechł.

Nigdy jeszcze nie byłam tak zmartwiona, myśleli, że i ja umrę z rozpaczy. Nie pojechaliśmy do Paryża, i nie odszukałam mamy.

Od tej pory nieraz myślałam o ucieczce, ale bałam się uciekać sama, a do *Pakuły* i *Sztukimięsa* nie miałam zaufania. Lecz ty nie należysz do „budy" i może zechcesz mi pomódz do odnalezienia mamy? Zobaczysz jak ona się ucieszy, jak serdecznie cię ucałuje!

Paryż daleko od Hawru. Więc musiałam i ja opowiedzieć Dianetce moją historyę — prawdziwą.

— Nic to nie szkodzi — odpowiedziała. Mama kupi ci bilet do Hawru, a może nawet odwieziemy cię obie.

Probowałem wytłomaczyć jej, jak ciężkie jest życie w wędrówce po gościńcach. Czem się żywić? Gdzie nocować?

— Mam siedm franków i ośm su—odrzekła. To nam wystarczy na żywność, a nocować bę-

dziemy w polu. Z tobą, nie będę się niczego obawiała...

Zaufanie jej pochlebiło mi i skłoniło ostatecznie. Zresztą Dianetka była osóbką energiczną, której niepodobna było się oprzeć. Kiedy spojrzała na mnie błękitnemi oczkami, w których przebijała mieszanina lękliwości i śmiałości — naiwności i przebiegłości — słodyczy i surowości—czułem, że nie zniosłaby odmowy.

Ułożyliśmy tedy, że w Orleanie opuścimy trupę.

— A do tej chwili — zapowiedziała mi Dianetka,—nie będziemy rozmawiali przy ludziach. Jesteś taki dobry, że zdradziłbyś się odrazu.

Skrzywiłem się na ten kompliment.

— Podaj mi rękę — zawołała — dlatego właśnie cię lubię, że jesteś dobry!

XI.

Była sobota, dzień targowy, a na ulicach pełno włościan z okolicy; na placu przez który szedłem, wracając do naszych wozów, zobaczyłem *Pakulę* i *Sztukamięsę*, stojących przed wędrownym dentystą, który przy odgłosie trąby i bębna, wyrywał zęby z taką szybkością, że wylatywały w powietrze, migając jak przy grze w kostki.

Zwarty tłum, otaczał wózek, zachwycając się zręcznością i dobrym humorem dentysty.

„Sztukamięsa", lichy akrobata, był niesłychanie zręcznym kuglarzem, i najlepiej lubił praktykować swoje sztuczki na wiejskiej ludności. Zobaczywszy go wśród publiczności, otaczającej dentystę, domyśliłem się, że poszedł tam dla zabawy, i przystanąłem w oczekiwaniu jakiegoś złośliwego figla. Ale, że przy takich zabawach nieraz dostawał mu się policzek, uważałem, że bezpieczniej trzymać się na uboczu.

I dobrze na tem wyszedłem.

Owego dnia, moi dwaj koledzy bawili się w ten sposób, że ludziom zażywającym tabakę wyciągali z kieszeni tabakierkę, a chustki do nosa tym, którzy nie zażywali. „Sztukamięsa", z bajeczną zręcznością rewidował kieszenie, a udział „Pakuły" polegał na tem, że gdy mu towarzysz podał tabakierkę napełniał ją suchemi fusami od kawy, a gdy dostał chustkę, posypywał ją tabaką.

Ludzie śledzący bacznie operacje dentysty, wpatrywali się w nieszczęśliwych pacjentów, oczekujących swej kolei, a ogłuszeni odgłosem trąby i bębna, wsłuchani w potoki wymowy szarlatana, nie czuli nawet jak im przetrząsano kieszenie.

Niektórzy wydobywszy z kieszeni chustki posypane tabaką, kichali zawzięcie, ku niewymownej uciesze psotników, pokładających się od śmiechu, a inni, zażywszy fusów zamiast tabaki oglądali tabakierkę z tak komicznem zdumie-

niem, że przyszła mi ochota, wziąć czynny udział w tej zabawie.

Lecz kiedy miałem już przyłączyć się do kolegów, zobaczyłem, że żandarm wsunął się za Sztukamięsę, i w chwili, gdy chłopiec zapuścił rękę w kieszeń jakiejś starej kobieciny — pochwycił go za kołnierz. W tłumie powstało zamieszanie, straszny hałas i Pakuła został razem z kolegą zaaresztowany.

Nie czekając na dalszy ciąg, wydobyłem się z tłumu, drżący ze strachu, pobiegłem do naszego obozowiska, i powiedziałem co się stało.

W godzinę po mnie, przybyła policja na rewizyę. Naturalnie nie znalazła nic, bo moi koledzy nie byli złodziejami. Mimo tego zatrzymano ich w więzieniu, a gdy Lapolade wysilał się na przekonanie urzędników, że to był tylko figiel ze strony chłopców, tłomaczenie jego przyjęto tak źle, że musiał zamilknąć, w obawie by go nie posądzono o wspólnictwo albo co najmniej o ukrywanie przestępstwa. Policya nie pobłaża wędrownym kuglarzom, i jeżeli w okolicy gdzie bawią, zdarzy się jaka zbrodnia, ich nasamprzód obwinia o wspólnictwo, nie trudzi się udowodnieniem ich winy, tylko oni muszą udowodnić, że nie popełnili zarzuconego przestępstwa.

Pakuła i Sztukamięsa, schwytani na gorącym uczynku plondrowania w kieszeniach publiczności, nie mogli dowieść, że czynili to nie

w celach kradzieży, i zostali skazani na umieszczenie w domu poprawy, aż do pełnoletności.

Postanowiono zatem, że dla zapełnienia, jaką ich ubytek sprawił w trupie, ja mam zastąpić obu. Usłyszawszy to z ust hrabiego Lapolade, zacząłem opierać się i krzyczeć, bo nie miałem żadnego powołania do robienia łamańców, ani wchodzeniu do pudełka.

— Niema mowy o pudełku — uspokoił mnie Lapolade, pociągając za włosy, co u niego było pieszczotą i oznaką życzliwości. Ale jesteś giętki i silny, doskonały do woltyżowania i trapezu.

Pierwszy mój występ, odbył się na jarmarku w Alençon. Na szczęście, moja edukacja trwała za krótko, i pomimo prostoty ćwiczeń, zdarzył mi się wypadek, który pokrzyżował plany ucieczki.

Była niedziela i zaczęliśmy przedstawienie w południe, i bez chwili przerwy, prowadziliśmy je do wieczora; muzykantom zaschło w gardle i z trudnością dmuchali w swoje instrumenta. Lapolade, zamiast zwykłych potoków wymowy, wydawał krótkie okrzyki, podobne do szczekania: lew nie chciał się podnosić, a kiedy Dianetka groziła mu szpicrutą, spoglądał na nią nieruchomy oczyma omdlałemi, błagając o zmiłowanie. Ja byłem napół martwy ze zmęczenia; głodny, spragniony, nie mogłem już poruszać ręką ani nogą.

O jedenastej wieczorem, jeszcze pełno było publiczności przed naszą budą, i Lapolade postanowił dać jeszcze jedno, ostatnie przedstawienie.

— Żądanie publiczności i jej zadowolenie są dla mnie jedynem prawem! Jesteśmy już wyczerpani znużeniem, ale choćbyśmy mieli umrzeć ze zmęczenia, zaspokoimy waszą ciekawość... Proszę wejść do środka.

Przedstawienie rozpoczęło się od moich popisów. Składały się na nie niebezpieczne skoki przez cztery konie, i ćwiczenie na żerdzi, którą trzymał *Wierzgacz*. Skakałem licho, i publiczność zaczęła szemrać. Kiedy wystąpił Wierzgacz z żerdzią, miałem chęć powiedzieć, już nie jestem w stanie nic robić, ale wzrok *generała* utkwiony we mnie z wyrazem, który aż nadto dobrze znałem, moja miłość własna i podniecenie wobec tłumów, przeważyły szalę. Wskoczyłem na ramiona Wierzgacza i wdrapałem się dość zwinnie na żerdź.

Ale Wierzgacz także był zmęczony; kiedy trzymając się rękoma żerdzi, miałem wyciągnąć się poziomo w powietrzu, tworząc kąt prosty z żerdzią, uczułem, że drąg się chwieje. Krew mi zakrzepła w żyłach, palce otworzyły się i spadłem na ziemię, wyciągnąwszy przed siebie ręce!

W tłumie rozległ się krzyk. Upadek był gwałtowny, bo spadłem z wysokości pięciu me-

trów, i gdyby nie gruba warstwa trocin, byłbym się rozbił niezawodnie. Coś mi chrupnęło w ramieniu i uczułem w nim silny ból.

Podniosłem się zaraz, tak jak inni czynili w takich wypadkach, chciałem skłonić się publiczności, stojącej na ławkach, i zaniepokojonej, ale nie mogłem podnieść prawej ręki.

Ludzie mnie otoczyli; wszyscy przemawiali do mnie, dotykali mnie. Cierpiałem bardzo i czułem, że zemdleję.

— Nic mu się nie stało — oznajmił Lapolade. Proszę wracać na miejsca; zaraz będzie dalszy ciąg przedstawienia.

— Tyle tylko, że nie będzie mógł zrobić t e g o — dodał Wierzgacz, podnosząc z wdziękiem obie ręce nad głową. Litościwe dusze mogą spać spokojnie!

Publiczność odpowiedziała oklaskami i gromkim śmiechem.

I rzeczywiście, przez sześć tygodni nie mogłem wykonać tego ruchu, o którym mówił Wierzgacz, bo miałem złamany obojczyk.

W budach sztukmistrzów, zazwyczaj rzadko zwracają się o pomoc do lekarzy. Sam Lapolade założył mi bandaż na ramię, po skończonem przedstawieniu. A co do wewnętrznych środków, ograniczył się do wyprawienia mnie na spoczynek, bez wieczerzy.

Sypiałem sam jeden w tym samym wozie co zwierzęta. Leżałem już ze dwie godziny, nie

mogąc zasnąć; trawiony gorączkowem pragnieniem, rzucałem się i przewracałem na łóżku, szukając dogodnej pozycyi na bolące ramię, gdy otworzyły sią cichutko drzwi wozu.

— To ja—szepnęła Dianetka. Czy śpisz?

— Nie.

Weszła prędko, i zbliżywszy się do łóżka, uściskała mnie.

— To przeze mnie! — szepnęła. Czy mi przebaczysz?

— Co?

— Gdyby nie to, że ci odradziłam ucieczkę, nie byłoby się to dzisiaj stało...

Światło księżyca wpadając przez okienko, oświetlało twarzyczkę Dianetki; widziałem, że miała łzy w oczach. Chciałem udawać mężnego.

— To nic — odrzekłem uspokajająco. Czy myślisz, że będę się pieścił?

Chciałem wyciągnąć rękę, ale krzyknąłem z bólu.

— Widzisz!—zawołała. I to przeze mnie, przeze mnie!...

Wysunęła rękę z rękawa i powiedziała:

— Patrz! czy widzisz?

— Co takiego?

— Dotknij...

Wzięła moją rękę i położyła na swojej poznałem, że jest zwilżona.

— To krew. Kiedy zobaczyłam żeś złamał obojczyk, pogryzłam sobie rękę, bo chciałam,

żeby mnie także bolało. Przyjaciele muszą cierpieć razem...

Mówiła z dzikiem uniesieniem, a oczy jej iskrzyły się. To co uczyniła było niedorzeczne, ale mnie wzruszyło, i miałem ochotę płakać.

— Jakiś ty niemądry! — zawołała. I ty uczyniłbyś to samo dla mnie. Przyniosłam ci winogron. Wzięłam je ze skrzyni. A możeś głodny?

— Pić mi się chce i winogrona będą mi smakowały.

Przyniosła szklankę wody, przesuwając się cichutko jak cień.

— Teraz trzeba spać—przemówiła, i podsunęła mi pod głowę poduszkę. Musisz się prędko wyleczyć i uciekać. Jak tylko będziesz mógł chodzić, wyruszymy zaraz. Nie chcę tych sztuk na żerdzi. To nie dla ciebie takie rzemiosło.

— A jeżeli Lapolade zechce mnie zmuszać?

— Lapolade? To każę Barankowi zjeść go! Nietrudna sprawa uderzy go raz łapą, weźmie w zęby i już!

Na progu odwróciła się i skinęła na mnie przyjaźnie.

— A teraz śpij!

Zdawało mi sie, że ramię mniej boli, ułożyłem się wygodnie i zasnąłem, myśląc o matce.

Co było najgorsze w moim przypadku, to

że opóźnił on naszą ucieczkę, a jesień się zbliżała. Można nocować na polu w lecie, ale w listopadzie, gdy noce zimne i długie, gdy pada deszcz a nawet śnieg!

Dianetka nie pozwalała mi nic robić i sama oprzątała zwierzęta. Z większą jeszcze niż ja niecierpliwością, wyglądała mego wyzdrowienia, a gdy jej mówiłem, że może lepiej zaczekać do wiosny, gniewała się.

— Jeżeli zostaniesz z nimi — mówiła — na wiosnę już nie będziesz żył. Lapolade chce cię uczyć sztuk na trapezie, a temu nie podołasz. Zresztą, oddalamy się w zimie od Paryża na wiosnę będziemy na Południu.

Ten ostatni wzgląd przeważył w naszem postanowieniu.

Trzeba było śpieszyć się z wyzdrowieniem. Co rano robiłem próby. Opierałem się plecami o ścianę i podnosiłem rękę jak mogłem najwyżej. Dianetka znaczyła nożem na ścianie, dokąd sięgnąłem, i w ten sposób, porównywując codzień znaki, mogliśmy sprawdzać postęp w mojem zdrowiu.

Z Alençon pojechaliśmy do Vendôme, a stamtąd do Blois. Z Blois zamierzaliśmy jechać do Tours, gdzie miałem rozpocząć ćwiczenia; ułożyliśmy więc z Dianetką, że w Blois porzucimy trupę, i przez Orlean, pójdziemy do Paryża. Oddała mi ona swoje pieniądze i w sklepie u antykwuryusza nabyłem starą mapę Fran-

cyi. Wyliczyłem na niej odległość z Blois do Paryża i wypadło około czterdziestu mil. Było to daleko na listopadową podróż, kiedy dzień trwa zaledwie dziesięć godzin. Dianetka nie umiała chodzić, czy zdoła ujść sześć mil? Upewniała mężnie, że potrafi, ale ja wątpiłem. W najlepszym razie, podróż taka trwałaby tydzień; szczęściem kapitał Dianetki wzrastał, złożyła już całe dziesięć franków. Zapasy chleba mieliśmy przygotowane, trzewiki gotowe, a Dianetka znalazła na gościńcu starą derkę końską, na którą liczyliśmy, że nam posłuży do okrycia się w nocy.

Byliśmy gotowi i czekaliśmy tylko, na zupełne wyleczenie mego obojczyka, co sądząc z prób i znaków robionych na ścianie, mogło nastąpić pod koniec pobytu w Blois. Ale opóźniło się wszystko, skutkiem buntu *Baranka* zwykle spokojnego.

Pewnego wieczora, dwaj anglicy, którzy bardzo oklaskiwali Dianetkę na przedstawieniu, zbliżyli się do niej, po rozejściu się publiczności, i zażądali powtórzenia sztuk ze lwem. Dianetka weszła do klatki.

— Śliczne dziecko — ta mała.

— I jaka odważna!

Zaczęli klaskać.

Nie wiem skąd obudziła się nagła ambicya w duszy generała Lapolade, który zaczął dowodzić, że jeżeli Dianetka może tak śmiało

igrać ze lwem, to tylko dzięki temu, że on go starannie wytresował.

— Pan jesteś blagier! — odezwał się Anglik, niższego zwrostu, bardzo ładny chłopiec, różowy i jasnowłosy. Nie wszedłbyś pewnie sam do klatki.

— Stawiam dziesięć luidorów przeciwko jednemu, że pan nie wejdziesz — dodał drugi.

— Trzymam zakład! — zawołał Lapolade.

— Zgoda! ale ta mała wyjdzie z klatki, i pan wejdziesz sam.

— Daj mi szpicrutę! — powiedzlał Lapolade do Dianetki

— Ale warunek, że dziecko wyjdzie i nie wróci do klatki — zastrzegł młodszy Anglik.

— Rozumie się...

Staliśmy tam wszyscy, Wierzgacz, pani Lapolade, muzykanci i ja, który miałem otworzyć drzwi klatki.

Lapolade zdjął generalski mundur.

— Jeżeli ten lew ma rozum, nic złego mu nie zrobi — powiedział starszy Anglik. Zanadto to łykowate mięso.

I zaczęli żartować, drwiąc z naszego *starego*, co nas wszystkich pobudzało do śmiechu.

Ale Baranek miał dość rozumu by zapamiętać ciosy widłami, jakie często Lapolade wymierzał mu przez kraty, bez żadnego powodu, zaczął drżeć, zobaczywszy, że dręczyciel z podniesioną szpicrutą wchodzi do klatki.

Widok strwożonego zwierzęcia, doda odwagi Lapoladowi i sądził, że ma przewagę nad starym lwem, i uderzył go szpicrutą chcąc zmusić do wstania; ale uderzenie szpicruty niepodobne jest do uderzenia widłami. Baranek odrazu poznał, że trzyma wroga w swej mocy; błysk odwagi zajaśniał w jego przytępionym mózgu. Podniósł się rycząc, i zanim Lapolade zdążył się ruszyć, rzucił się na niego. Lapolade upadł pod ciężarem potężnych łap, a lew podgarnął go pod siebie, rycząc dziko i chrapliwie.

— Ratujcie! — krzyknął Lapolade.

Pochylony nad nim lew, patrzał na nas przez kraty, z oczu iskry mu się sypały, ogonem bił po bokach, aż rozlegało się bębnienie.

Wierzgacz porwał widły, i zaczął uderzać niemi lwa, ale ten ani drgnął. Anglik wydobył z kieszeni rewolwer i przyłożył go prawie do ucha lwa, opartego łbem o kraty.

Lecz wtedy, rzuciła się pani Lapolade, i szarpnęła Anglika za rękę.

— Nie zabijaj go pan! — krzyknęła.

— A! — zadziwił się starszy Anglik. Ona więcej kocha lwa niż męża?

I po angielsku powiedział coś do towarzysza.

Na krzyki i hałas przybiegła Dianetka, i wskoczyła do klatki. Jeden z prętów był ruchomy i zwykle przesuwała się przez ten otwór,

w który zmieściło się jej wątłe ciało, ale lew nie mógł tam wysunąć swej wielkiej głowy. Usunęła więc pręt i weszła do klatki, Baranek wszakże odwrócony tyłem, nie widział jej.

Nie miała szpicruty, więc odważnie porwała lwa za grzywę. Zadziwiony napaścią odwrócił się tak nagle, że Dianetka popchnięta, upadła obok kraty. Wtem lew zobaczywszy ją, spuścił podniesioną łapę i dźwignąwszy się z ziemi, poszedł wcisnąć się w kąt klatki.

Lapolade był żywy, lecz tak potłuczony, że trzeba go było wyciągnąć z klatki, a przez ten czas Dianetka trzymała zawstydzonego lwa

Wyszła kulejąc, bo lew przewracając ją, nadwichnął jej nogę, i musiała przez cały tydzień siedzieć nieruchomo na krześle, a Lapolade leżał w łóżku, napół martwy, pokaleczony, i prawie zduszony.

Po dwóch tygodniach, Dianetka oznajmiła mi, że może już dobrze chodzić bez bólu, i że czas uciekać. Lapolade uwięziony w łóżku, nie będzie mógł nas ścigać.

XII.

Zamiar ucieczki wykonaliśmy dopiero 3 listopada, ale czas był pogodny: idąc prędko, mogliśmy dojść do Paryża przed jesiennemi słotami.

Po długim namyśle, ułożyliśmy plan następujący. Ponieważ nikt mnie nie pilnował, miałem wyjść pierwszy z naszej budy, zabrawszy zapasy: kawałki suchego chleba, derkę, butelkę, moje trzewiki na zmianę, mały pakiecik bielizny, złożony w moim kuferku przez Dianetkę i rondelek blaszany. Gdy państwo Lapolade usną, Dianetka miała wstać z łóżka, wyślizgnąć się cichutko i połączyć ze mną pod umówionem drzewem na bulwarze.

Przyszedłem tam gdy biła jedenasta; Dianetka pojawiła się dopiero o samej północy. Zaczynałem już rozpaczać i lękać się czy jej nie zatrzymano, kiedy usłyszałem jej lekkie kroki na bulwarze. W smudze światła padającego z okna, poznałem jej czerwony kapturek,

który zwykle kładła, wychodząc po skończonem przedstawieniu.

— Myślałam już, że się nie wydostanę — wyrzekła zdyszana. Lapolade jęczał jak foka i nie chciał zasnąć, a potem musiałam jeszcze pożegnać się z Barankiem... Biedny Baranek! On najwięcej się zmartwi... A czy wszystko wziąłeś?

Nie było czasu przeglądać rzeczy; ostrzegłem, że mogą nas dogonić i że trzeba jak najprędzej wydostać się na pole. Masz słuszność!—powiedziała Dianetka,—chodźmy! Ale najpierw podaj mi rękę.

— Po co?

— Weź mnie za rękę i przysięgnijmy, że będziemy sobie pomagali do śmierci. Czy chcesz przysiądz?

— Jak najchętniej!

— Więc podaj rękę i powtarzaj za mną: *Przysięgamy dopomagać sobie przez całe życie, aż do śmierci!*

— Przez całe życie, aż do śmierci!

Uścisnęła moją dłoń, a ja wzruszyłem się do głębi duszy, słysząc z jakiem przejęciem wykonała swą przysięgę.

W pustem mieście panowała cisza, przerywana jedynie pluskiem fontanny, z której woda spływała do rynsztoka.

— W drogę!—zakomenderowała Dianetka, wysuwając się pierwsza.

Wyszliśmy wkrótce z granic miasta na pole. Zauważyłem, idąc z tyłu, że Dianetka niesie coś pod płaszczem. Ponieważ miałem wszystkie pakunki, zaciekawiło mnie i zapytałem co niesie.

— To moja rezeda — odpowiedziała, rozchylając płaszcz.

Zobaczyłem małą doniczkę, okrytą złoconym papierem, która stała zawsze w okienku wozu i którą pielęgnowała z taką starannością, że niekiedy Lapolade gniewał się o to.

— I ty chcesz to nieść?—zapytałem niezadowolony.

— Czy miałam ją zostawić?—oburzyła się na mnie. Rezeda uschłaby niezawodnie. Dość już dla mnie, że musiałam opuścić Baranka. Biedny Baranek! Czy wiesz, że miałam wielką chęć zabrać go z sobą... Jak on na mnie patrzał żałośnie... Niezawodnie coś przeczuwał.

Sam pomysł zabrania lwa wydał mi się niesłychanie śmieszny. Może mieliśmy prowadzić go na smyczy! Roześmiałem się mimowoli.

Dianetka postanowiła rozdzielić nasze pakunki i nieść połowę. Z niemałą trudnością zdołałem zabrać większą część.

Noc choć nie zimna, była jednak chłodnawa: na szarawem niebie iskrzyły się gwiazdy, naokoło nas wszystko spoczywało, nawet drzewa stały sztywno — nieruchome, nie szemrząc

liśćmi, ani nie odzywały się głosy ptaków lub owadów, jak w noce letnie. Tylko gdy mijaliśmy miejsca, zamieszkane przez ludzi, psy nas oszczekiwały, a ich głosy budziły znowu psy w dalszych osadach i wśród ciemności nocnych rozlegały się szczekania, niby nawoływania i odpowiedzi rozstawionych wartowników.

Chcąc uniknąć pogoni, gdyby ją Lapolade wyprawił za nami, musieliśmy iść całą noc. Obawiałem się, że Dianetka nie nadąży za mną, ale nie skarżyła się na zmęczenie do samego rana. Minęliśmy dużo wsi, a na słupach wiorstowych wyczytaliśmy, że do Blois jest pięć mil. Żółtawa jasność ukazywała się już na niebie przed nami: koguty zaczynały piać, w domostwach zapalały się światła, widoczne przez szpary okiennic. Zaczęły nas wymijać wozy i konie idące wolno do roboty.

— Teraz odpocznijmy trochę — odezwała się Dianetka. Już się nie boję.

— Więc przedtem bałaś się!

— Spodziewam się! Od samego Blois.

— A czego się bałaś?

— Ciszy i ciemności. Nie lubię nocy. Cienie tak się posuwają i migają, że aż serce bije mocno, albo przestaje bić zupełnie.

Dzień się zrobił, kiedy zjedliśmy śniadanie z naszych zaoszczędzonych resztek chleba. Dzień szary i wilgotny. Otaczała nas rozległa pusta równina, a w dali widać było domy oto-

czone kępami drzew i dym podnoszący się z kominów. Świeżo zorane zagony przecinały smugi wapna, nigdzie śladu zieloności. Stada kruków płynęły ociężale po niebie i dzieląc się na małe gromadki, spadały w pobliżu pługów i bron, pracujących na polu.

Poszliśmy po śniadaniu w dalszą drogę i szliśmy jeszcze dwie mile, ale zmęczenie zaczynało już dawać się nam we znaki. Dianetka upadała ze snu. Była tak zmęczona, że spała całe pięć godzin bez przerwy. Niepokoiłem się najbardziej o to, jak przepędzimy noc. Wiedziałem z doświadczenia co to są noclegi pod gołem niebem i obawiałem się jesiennego zimna. Ruszywszy po wypoczynku w drogę, ułożyliśmy, że bez względu na odległość, zatrzymamy się na nocleg dopiero tam, gdzie znajdziemy dobrze ocienione miejsce. I znaleźliśmy takie, pod ogrodzeniem parku, gdzie wiatr naniósł wielki wał grubych liści. Była dopiero czwarta popołudniu, mieliśmy więc dość czasu przed nocą na przygotowanie noclegu.

Nazbierałem w lesie całe naręcza suchych liści i dodałem je do tych, które się nagromadziły pod murem. Roztrząsnąłem je starannie: pozatykałem gałęzie w ziemię, a czubki oparłem o szpary w murze; na tem rusztowaniu rozwiesiliśmy derkę i mieliśmy dzięki temu posłanie i dach nad głową.

Dianetka cieszyła się bardzo z tego schro-

nienia. Było to coś jak chatka dzieci z piernikowego domku. Ach! gdybyśmy mieli choć trochę masła, zrobilibyśmy sobie zupę z chleba, ale masła nie było.

Po obiedzie, który tak samo jak śniadanie, składał się z suchego chleba, zaczęło się zmierzchać. Kiedy zagasła czerwona zorza na zachodzie, kiedy umilkły ptaszki, siedzące na gałęziach jodeł, kiedy ciemność zapanowała w otaczającym nas lesie, Dianetka straciła humor.

— Chce ci się spać?—zapytała.

— Nie.

— Jeżeli możesz, nie śpij dopóki ja nie zasnę. Będę się mniej bała...

W naszym szałasie byliśmy niezgorzej zabezpieczeni od chłodu, ale przez szpary widzieliśmy gwiazdy niknące na niebie i słychać było w powietrzu jakieś dziwne odgłosy, pomimo, że otaczała nas pustka.

Dianetka długo bardzo poruszała się niespokojnie, ale w końcu zwyciężyło zmęczenie i zasnęła i ja zasnąłem wkrótce po niej.

Miałem słuszność obawiać się zimna. Obudziło nas też przed świtem.

— Czy ci zimno?—zapytała Dianetka, słysząc, że się ruszam. Ja jestem zupełnie zmarznięta.

Nie było na to rady i trzeba było starać się usnąć nanowo, czekając nadejścia dnia.

Ale i ja usnąć nie mogłem, bo drżałem z zimna. Słyszałem ciągle te niepokojące odgłosy, na ziemi, w liściach, w drzewach — coś bezustannie trzaskało.

— Czy słyszysz? — spytała cichutko Dianetka.

Chociaż nie chciałem jej straszyć, nie mogłem zaprzeczyć, zresztą i mnie strach zaczynał ogarniać. Usiłowałem być mężnym, mając Dianetkę pod opieką, ale gdybym był sam, uciekłbym niezawodnie.

Przez jakie pół godziny leżeliśmy bez ruchu; słyszałem, że Dianetka dzwoni zębami i ja trząsłem się jak w febrze, a naokoło nas ciągle coś trzaskało.

Ta ciągłość i jednostajność trzaskania natchnęła mnie odwagą; gdyby ktoś był w pobliżu—człowiek lub zwierzę—odgłosy te nie byłyby tak jednostajne. Trzeba było przekonać się co to takiego.

Uchyliłem trochę derki: przy białem świetle księżyca, który wszedł na niebie, widziałem, że otacza nas pustka. Ośmielony tem, oparłem się na liściach, chcąc wyjrzeć z szałasu, a liście wydały suchy trzask: stanowiły one jedną zesztywniałą masę, skutkiem mrozu.

Uspokoiliśmy się choć nie było to pocieszające. Przeciwnie, sama myśl o mrozie ziębiła nas jeszcze więcej.

Nagle Dianetka podniosła się

— Co ci jest?—spytałem.

— Moja rezeda! moja rezeda! zmarznie i uschnie...

Wzięła ją w objęcia i schowała pod płaszcz.

Która wtedy mogła być godzina? Czy ranek się zbliżał, czy jeszcze trwała noc? Księżyc zaszedł, ale nie wiedziałem o której zachodzi.

Nie mogliśmy już dłużej wytrzymać w namiocie. Pomimo, że siedzieliśmy skurczeni i przytuleni do siebie, dzwoniliśmy zębami i nie mogli mówić. Postanowiliśmy iść dalej i rozgrzać się, idąc.

Zaczęliśmy zwijać namiot i ładować na plecy nasze pakunki, ale Dianetka, chcąc osłonić rezedę, trzymała ją pod płaszczem, a to odejmowało jej swobodę ruchów i utrudniało dźwiganie. Zaproponowałem, żeby zostawiła doniczkę, ale odpowiedziała mi z gniewem, że nie mam serca, nie śmiałem więc dłużej nalegać.

I tak wyszliśmy w drogę, w mroźną noc. Podróż zapowiadała się źle, lecz nie śmiałem straszyć Dianetki złemi przewidywaniami. Szła mężnie, i od czasu do czasu, zdobywała się na jakieś wesołe słówka.

Po upływie godziny usłyszeliśmy pianie kogutów i roześmieliśmy się z radości, na myśl, że dzień nadchodzi. Rozgrzaliśmy się, idąc i opowiadaliśmy sobie nasze obawy w no-

cy, żartując z siebie wzajemnie. Sprzeczaliśmy się trochę: ja dowodziłem, że jestem odważniejszy od niej, ona zaś, że jest ode mnie rozumniejsza.

Lękając się pogoni Lapolada, któryby nas niezawodnie szukał na gościńcu, wiodącym do Paryża, od Blois skierowaliśmy się ku Chartres; na mapie zdawało mi się to niewielkiem zboczeniem.

Dzień był ciepły, ale wieczorem ochłodziło się, i postanowiliśmy zanocować w gospodzie, pomimo dużych kosztów. Lecz woleliśmy ponieść ten wydatek, niż zmarznąć.

— Kiedy nam zabraknie pieniędzy—mówiła Dianetka — będę śpiewała po wsiach i zarobię cośkolwiek.

Mówiła tak odważnie, z taką pewnością siebie, że jej ufność i mnie się udzieliła.

Okazało się przecież wkrótce, że nie łatwo zarabiać śpiewem, ale łatwo wydawać pieniądze.

O dwie mile od Châteaudun, znaleźliśmy nocleg w gospodzie, lecz musieliśmy powiedzieć, kto jesteśmy i dokąd idziemy. Miałem już gotową bajkę, że idziemy do Charton zamówić miejsce dla naszej trupy, która jedzie za nami i będzie tędy przejeżdżała pojutrze.

Kłamstwo upokarzało nas oboje, ale smutna konieczność zmuszała do tego, a w dodatku nocleg kosztował nas całe czterdzieści sou.

Z Châteaudun do Chartres, droga prowa-

dzi przez puste równiny, gdzie spotyka się tylko wsie zrzadka rozsiane, a przy drodze niema wcale domów.

W Bouneval spodziewaliśmy się zebrać znaczne sumy, a dostaliśmy tylko trzy sou. Nie mówię już o dodatku, w postaci garnka wody, który nam wylał na głowy jakiś golący się jegomość, ani ucieczki przed psem, którego na nas wypuścił rzeźnik, i który rozdarł spódniczkę Dianetki. W zawodzie wędrownych śpiewaków nie same zbiera się zyski.

— Gdybym miała wiernego niedźwiedzia, a ty flet, zarabialibyśmy dużo. Dziwna rzecz, że ludzie dają chętnie tylko tym, którzy cośkolwiek mają...

Dianetka miała cierpliwość niewyczerpaną. Nie gniewała się ani na niepowodzenia, ani na ludzką złośliwość.

Na nasze szczęście, następnego wieczora nie potrzebowaliśmy płacić za nocleg w gospodzie, bo przyjęto nas na fermie i pozwolono przenocować w owczarni, gdzie było rozkoszne ciepło, i ta noc minęła nam najlepiej ze wszystkich w podróży. Nazajutrz właścicielka fermy miała jechać do Charton, kiedy my wychodziliśmy już na wędrówkę. Litując się nad zmęczeniem Dianetki, zaprosiła ją na swój wózek, ale Dianetka odmówiła, rzucając na mnie tak wymowne spojrzenie, że litościwa gospodyni zrozumiała i wzięła nas oboje.

I tak nocując to po fermach, to w cegielniach, a czasami w gospodzie, dowlekliśmy się do małej wioseczki koło Bièvre, skąd do Paryża jest już tylko trzy mile.

Czas już było dojść do celu podróży. Pozostało nam zaledwie jedenaście su, trzewiki Dianetki z nóg jej spadały. Jedną nogę skaleczyła i cierpiała straszny ból, ilekroć wyruszaliśmy znowu po wypoczynku. A tak byliśmy oboje zmęczeni, że nogi ciężyły nam jak ołowiane.

Pomimo tego, Dianetka nie skarżyła się i rankiem była zawsze gotowa do dalszej podróży.

Nasz kapitał, złożony z dwunastu su nie wystarczał już na noclegi w oberży, ale szczęściem spotkaliśmy w Jaclay przedsiębiorcę, wiozącego kamienie z kamieniołomów; odbywaliśmy z nim razem podróż, a on dał nam schronienie w swojej stajni.

— Jutro rano musimy wyjść wcześnie — powiedziała mi Dianetka. To dzień świętej Eugenji i chciałabym zdążyć w porę, aby powinszować mamie, bo to jej imieniny. Dam jej w prezencie moją rezedę.

Biedna rezeda pożółkła, zczerniała, straciła liście, ale jeszcze żyła i parę pozostałych łodyżek świadczyło o tem czem była dawniej.

Wyruszyliśmy, jak tylko kamieniarz zaprzągł konie, to jest bardzo wczesnym rankiem.

Pogoda nam dotąd sprzyjała: noce bywały zimne, ale dni pogodne, lecz gdyśmy owego rana wyszli ze stajni, powietrze było zimniejsze niż zwykle, a niebo zachmurzone. Ani jednej gwiazdy, a na wschodzie zamiast pięknych blasków czerwonych i złotych, które przywykliśmy widywać od początku podróży, wisiały ciężkie ołowiane chmury. Przytem wiatr północny, otrząsał i pędził zeschłe liście. Unosiły się całemi chmurami, jakby chciały zastąpić nam drogę. Dianetka z trudnością przytrzymywała płaszcz, osłaniając rezedę. Dzień zaświtał, pochmurny i ołowiany.

— Niema słońca — zauważyła Dianetka. Ale to lepiej, bo nie oświetli naszych brudnych łachmanów—dodała na pociechę.

— Nie kłopocz się: zanim dojdziemy do Paryża, deszcz je spłucze.

Przewidywałem deszcz, ale zamiast niego spotkał nas śnieg. Z początku padał drobnemi płatkami, które wiatr rozmiatał; ale stopniowo płatki coraz większe, zamieniły się w śnieżny, gęsty tuman, a wiatr rzucał nam je w twarz z taką siłą, że prawie oślepiały nas.

Uszliśmy z trudem milę.

Musieliśmy szukać schronienia w lasach, bo nigdzie nie było widać domu, a choć pragnęliśmy jak najprędzej dojść do Paryża, niepodobna było iść podczas śnieżnej zamieci.

Usiedliśmy w lesie na pochyłości rowu,

obrosłego krzewami, na których jeszcze tkwiły liście. Śnieg tam zrazu nie dochodził, ale potem, miotany wiatrem, zaczął się kłębić po ziemi, zatrzymując się tylko przed wyniosłością gruntu. Niezadługo zasypał wierzchołek wału i zaczął spadać na naszą stronę: osypywał się nam na głowy, wślizgiwał za kołnierze i topniał. Chciałem osłonić się derką, ale wiatr zwijał ją bezustannie.

Ubrania nasze podarte, osłaniały nas niedostatecznie od zimna. Dianetka zsiniała kręciła się jak w febrze; przytulała się do mnie, ale i ja byłem tak zmrożony, że nie mogłem jej rozgrzać. Śnieg obsypywał mi szyję, woda zalewała trzewiki, przemokłem, jakgdybym wyszedł z kąpieli.

Przez całe dwie godziny musieliśmy siedzieć bez ruchu, bo wiatr nie ustawał. Śnieg nie padał z góry, lecz sypał poziomo; niekiedy powstawał silny wir i kręcił w kółko śniegowymi płatkami.

Dianetka nie porzuciła rezedy, trzymała ją pod płaszczem, ale śnieg wciskał się wszędzie, a gdy zaczął zasypywać doniczkę, chciała mi ją oddać.

— Cóż ja mam z tem zrobić?—spytałem.

— Sprobój ją ratować, proszę cię!—szepnęła.

Rozgniewało mnie to, że tyle trudu zada-

wała sobie dla tego zielska. Wzruszyłem ramionami.

— Ach! — wybuchnęła z gniewem. Dlaczego nie powiedziałeś odrazu, że ją trzeba rzucić?!

W takiem położeniu jak nasze, sprzeczki prędko powstają. Powiedzieliśmy sobie parę ostrych słów, a potem umilkliśmy oboje i wpatrywali się ponuro w śnieg, który ciągle padał.

Ale po chwili Dianetka wzięła mnie za rękę.

— Czy chcesz, żebym rzuciła tę rezedę?— zapytała smutno.

— Widzisz przecie, że zmarzła; listki jej zczerniały i zwisły.

Nie odpowiedziała nic, ale widziałem, że ma łzy w oczach.

— Ach! więc nic nie zaniosę mamie! — szepnęła.

— Jeżeli tak, nieśmy dalej!—odparłem.

I wziąłem rezedę.

Wiatr ustawał zwolna. Gdy ucichł zupełnie, śnieg zaczął sypać wielkimi płatami i wkrótce pokrył ziemię grubą warstwą, która sięgała nam prawie do kolan, jakby nas chciała pogrzebać pod swym lodowatym całunem.

Trwało to z godzinę. Drzewa gięły się pod ciężarem śniegu. Na derce, która osłaniała nas cośkolwiek, czuliśmy coraz większy ciężar. Przytuleni do siebie, siedzieliśmy bez

ruchu, nic nie mówiąc: zimno nas sparaliżowało i sądzę, że żadne z nas nie rozumiało niebezpieczeństwa, jakie nam groziło.

Ale stopniowo płaty śniegu zaczęły padać drobniejsze, lżejsze i wreszcie ustały. Niebo miało kolor ołowiany i tylko biała ziemia rzucała trochę światła.

— Chodźmy!—powiedziała Dianetka.

Wróciliśmy na gościniec, zapadając w śnieg po kolana, na drodze nie było wozów, ani ludzi na polu. Tylko sroki, jedyne żywe istoty, siedząc na drzewach przydrożnych, skrzeczały przeraźliwie gdyśmy je mijali.

Minąwszy wieś, wyszliśmy na szczyt pagórka i ujrzeliśmy obłok dymu, unoszący się nad olbrzymiem miastem, rozłożonem między dwoma pagórkami; głuchy szum, podobny do szumu fal morskich, dochodził stamtąd.

— To Paryż—objaśniła Dianetka.

Przestało nam dolegać zimno i zmęczenie. Na drodze mnóstwo wozów dążyło ku miastu...

Zeszedłszy jednak z pagórka, straciliśmy z oczu ten cel upragniony i uczuliśmy, że nas znowu ogarnia coraz większe zmęczenie i wyczerpanie.

Ślizgaliśmy się za każdym krokiem—zdawało się, że nie postępujemy wcale: przemokłe ubrania parowały na nas.

Śnieg na drodze poczerniał, a w końcu

zamienił się w czarne błoto. Wozy, które mijaliśmy, ciągnęły nieprzerwanym sznurem, domy coraz były częstsze. Mimo wysiłku, Dianetka musiała się zatrzymać; pot spływał jej po twarzy i kulała na jedną nogę. Zmiotłem śnieg z ławki, stojącej przed jakimś domem. Dianetka usiadła na niej.

— Zapytaj czy jeszcze daleko? — powiedziała, gdy nadjechał jakiś człowiek na wozie.

— A dokąd idziecie?—zagadnął, w odpowiedzi na moje zapytanie.

— Do hal targowych.

— Macie przed sobą jeszcze półtorej godziny drogi i to z okładem.

— To ja nie dojdę!—powiedziała Dianetka, usłyszawszy jego objaśnienie.

Była zupełnie sina, oczy jej zagasły i oddychała z trudnością.

Musiałem ją podnieść przemocą, bo chciała zostać na tej ławce. Powiedziałem, żeby oparła się na mojem ramieniu. Zacząłem mówić o matce i odzyskała odwagę. Doszedłszy do celu, nie potrzebowaliśmy już pakunków, zostawiliśmy je więc na ławce.

Ruszyliśmy dalej.

— Zobaczysz jak mama się ucieszy—mówiła Dianetka. Da nam zupy i ciastek. Będę leżała cały tydzień w łóżku... nie wstanę wcale.

Przy rogatkach zapytaliśmy o drogę do halli. Kazano nam iść prosto, aż do rzeki.

Na ulicach było coraz bardziej ślisko i więcej błota, niż na gościńcu; ludzie przystawali, oglądając się za nami. Idąc tak oszołomieni, przemokli, obłoceni, obdarci, musieliśmy być podobni do zbłąkanych ptasząt. Szliśmy jednak dosyć prędko.

Nad rzeką skierowano nas na Nowy most, a stamtąd idąc prosto, doszliśmy do kościoła Świętego Eustachego.

Dianetka zaczęła drżeć, ujrzawszy złoconą tarczę kościelnego zegara.

— Ten zegar! — zawołała. Ten sam zegar!

Ale krótko trwał ten błysk radości.

— Zegar ten sam, ale nie widzę nigdzie domów...

Obeszliśmy naokolo kościół.

— Pomyliliśmy się—mówiła Dianetka. To pewnie nie jest kościół Świętego Eustachego...

Spytałem znowu przechodniów gdzie jesteśmy: odpowiedzieli mi tak samo: przy kościele Świętego Eustachego.

Dianetka patrzała błędnemi oczyma, nie mogła już mówić, jąkała się...

— Szukajmy na wszystkich ulicach, które wychodzą na ten kościół—powiedziałem.

Dała się prowadzić, ale zgasł zapał, który ją podtrzymywał w drodze i dodawał sił.

Nie poznawała żadnej z ulic.

Naprzeciwko kościoła rozciągała się duża

przestrzeń po zburzonych domach, gdzie pracowali robotnicy.

— To było tu! — zawołała, zalewając się łzami. Tu!

— Zapytajmy.

— O co? Nazwiska ulicy nie wiem, nazwiska mamy także nie wiem. Ale dom byłabym poznała!

Silniejsi nawet od nas, ugięliby się pod takim ciosem. Tyle trudów, tyle przeciwności— zawiedzione wszystkie nadzieje. Staliśmy pod kościołem osłupiali, patrząc na siebie, a liczni w tem miejscu przechodnie mijali nas i potrącali. Niektórzy przystawali nawet, przypatrując się obdartym biedakom, o tak dziwnej powierzchowności.

Mniej głęboko zawiedziony, a nadewszystko mniej wyczerpany niż Dianetka, pierwszy odzyskałem przytomność umysłu i wziąwszy ją za rękę, zaprowadziłem do wielkiego budynku, gdzie leżały stosy jarzyn. W kącie stały puste kosze: posadziłem ją na jednym z koszów, a ona poddawała się wszystkiemu jak nieprzytomna. Nie wiedziałem co do niej mówić, usta miała zupełnie zbielałe, a silne drżenie wstrząsało jej ciałem.

— Czy cię co boli?

— Ach! mama... wyjąkała.

I wielkie łzy napełniły jej oczy.

Naokoło nas ciągle przechodzili ludzie:

krzyczeli, kłócili się, sprzedawali, kupowali, przynosili, zabierali; wrzawa, tłok, gorączkowe ożywienie targowe.

Zaczęto się na nas oglądać: widok dwojga dzieci nędznie odzianych, bladych, zmęczonych, z których jedno rzewnie płakało, zaciekawił przechodniów.

— Co wy tu robicie?—zapytała jedna otyła kobieta.

— Odpoczywamy.

— Tu siedzieć nie wolno...

Nic nie mówiąc, wziąłem Dianetkę za rękę, chcąc ją podnieść i odejść. Dokąd, nie wiedziałem. Ale ona popatrzała na mnie z wyrazem takiego znużenia i zgnębienia, że otyła jakaś kobieta ulitowała się.

— Widzisz przecie, że ta mała zanadto jest zmęczona — powiedziała do mnie. Poco ją zmuszasz?

I tak od słowa do słowa, na jej zapytania opowiedziałem dlaczego tu przyszliśmy, że wędrujemy zdaleka, szukając matki Dianetki, i że zastaliśmy jej dom zburzony.

— A to dopiero awantura! — zawołała kobieta, wysłuchawszy mego opowiadania.

Zawołała na inne przekupki, które nas wnet otoczyły.

— Więc nie wiesz ani nazwiska matki, ani nazwiska ulicy?—spytała jakaś kobieta.

— Powiedzcie no, kumy! może która

z was co słyszała? Właścicielka sklepu z bielizną i drobiazgami, która mieszkała na jednej ze zburzonych ulic?

Wszystkie zaczęły pytać, objaśniać, tłumaczyć, ale żadna nie mogła powiedzieć nic dokładnego. Jak tu odnaleźć ślady po ośmiu latach? Ulice zburzono już dawno, właścicielek sklepów z bielizną mieszkało tam dużo, a która z nich była matką Dianetki? Gdzie się podziała? Gdzie jej szukać? Chaos i nic więcej.

Podczas tej gadaniny Dianetka bladła coraz więcej, drżenie jej wzmagało się i zęby szczękały głośno.

— Ta mała jest zupełnie zmarznięta—zauważyła jedna z kobiet. Chodź do mnie, kochanie, rozgrzejesz się przy mojej fajerce z węglami.

Wprowadziła nas do sklepu, gdzie weszło za nami parę kobiet, a reszta rozeszła się do swoich straganów, rozprawiając z wielkiem zajęciem.

Ale nasza opiekunka nie ograniczyła się do samej fajerki; dała nam po filiżance rosołu, a gdyśmy się rozgrzali i odpoczęli, wsunęła mi w rękę dwadzieścia su.

Dla niej było to dużo, ale dla nas, w tak okropnem położeniu, było to bardzo mało! Gdzie iść? Co robić? Ja mogłem iść zaraz

do Hawru, ale Dianetka? Ona sama rozumiała to dobrze, bo gdyśmy wyszli na ulicę, zagadnęła zaraz:

— Gdzie pójdziemy?

Staliśmy przed kościołem, śnieg znowu zaczął padać, a na zimnej ulicy niepodobna było zostać.

— Chodźmy tam — powiedziałem, wskazując kościół.

Weszliśmy, owiało nas miłe ciepło. Kościół był prawie pusty i zaledwie parę osób klęczało w bocznych kaplicach. Schroniliśmy się do najciemniejszej.

— Mój Boże! mój Boże — szeptała Dianetka.

— Posłuchaj mnie — zacząłem mówić zcicha. Jeżeli nie możesz znaleźć swojej mamy, to musisz pójść do mojej...

— Do Port-Dieu?

— Tak, nie chcesz chyba wrócić do Lapolada, prawda? Dość już masz jego budy... No! więc trzeba iść do mojej mamy. Będziesz z nią pracowała, nauczy cię prania. Zobaczysz, że cię pokocha. A gdy ty z nią zostaniesz ja będę spokojniejszy, i jej będzie mniej smutno... Gdyby zachorowała, będziesz się nią opiekowała...

Dianetka przyjęła mój projekt z nieudaną radością, a to lepiej niż słowa, przekonało mnie,

że rozumie dobrze swoje okropne położenie. Jeden tylko zarzut zrobiła.

— Twoja matka, nie zechce może mnie wziąć...

— Dlaczego?

— Bo byłam w trupie kuglarzy...

— A czy ja nie byłem także w tej samej trupie?

— Ty, to co innego—odrzekła ze smutkiem.

Było to już dużo, że wiedzieliśmy dokąd iść, ale to jeszcze nie wystarczało; trzeba było dojść do celu. Przyszłość mieliśmy zapewnioną, ale teraźniejszość!

Nie zdawałem sobie dokładnie sprawy, z odległości jaka dzieliła Paryż od Port-Dieu, ale wiedziałem, że to daleko.

Porzucając pakunki, jak okręt, który wyrzuca ładunek dla uchronienia się od rozbicia, zachowałem na szczęście mapę. Wyjąłem ją z kieszeni, i rozłożywszy na ławce zacząłem badać drogę. Dowiedziałem się, że chcąc wyść z Paryża we właściwym kierunku, trzeba iść brzegiem Sekwany.

Na razie, to było najgłówniejsze, później zbadamy dalszą drogę.

Ale jak odbyć tę podróż, nie mając całego obuwia, ani całego ubrania, i tylko dwadzieścia su w kieszeni? Jak wyruszyć w drogę w stanie takiego zmęczenia? Zwłaszcza Dianetka, która za każdym krokiem prawie om-

dlewała? Co chwila bladła i czerwieniła się, a dreszcze wstrząsały nią bezustannie. Jak odważyć się na noclegi w miejscach nieosłoniętych, podczas zimna i śniegu, kiedy nawet w biały dzień, cudem uniknęliśmy śmierci?

— Czy ty będziesz mogła iść? — zapytałem.

— Nie wiem. Kiedym szła tutaj, widziałam ciągle przed sobą mamę, i to mi dodawało siły. Ale twojej mamy nie znam i nie widzę...

— Co wy tu robicie? — przemówił jakiś głos za nami.

— Wychodźcie stąd zaraz! — dodał groźnie szwajcar kościelny.

Musieliśmy usłuchać i wyjść, a on szedł za nami mrucząc.

Śnieg już nie padał, lecz dął wiatr mroźny.

Wyszliśmy na tę samą ulicę, którąśmy przyszli. Dianetka ledwie się wlekła; ja posilony gorącym rosołem podniecony niepokojem, prawie nie czułem zmęczenia.

Szliśmy zaledwie dziesięć minut, gdy Dianetka stanęła.

— Już nie mogę iść — powiedziała. Widzisz jak się trzęsę — słabo mi — w piersiach mnie boli... Zdaje mi się, że jestem chora.

Usiadła na słupie pod bramą i po kilku minutach odpoczynku, podniosła się.

Doszedłszy do brzegu Sekwany, zawróciliśmy na prawo. Wybrzeże pokrywał śnieg,

a przy jego białości, woda w rzece wydawała się prawie czarna. Przechodnie odziani ciepło, szli prędko, dzieci ślizgały się na chodnikach.

— Czy jeszcze daleko? — spytała Dianetka.

— Dokąd?

— Do miejsca, gdzie zanocujemy?

— Nie wiem...

— Ale ja już nie mogę wcale iść... Romanku! zostaw mnie tutaj! Ja już tu umrę... Zaprowadź mnie do jakiego spokojnego kąta...

Wziąłem ją za rękę. Chciałem koniecznie wyjść z Paryża; zdawało mi się, że na wsi znajdziemy jaką cegielnię, jakiś dom opustoszony, jaką gospodę, jakieś schronienie, a na tych ulicach, gdzie ludzie przechodzili z pośpiechem, gdzie policjanci przyglądali się nam surowo, nie czułem się bezpieczny.

Szliśmy jeszcze może z kwadrans, ale chociaż nie było już domów, mieliśmy z jednej strony niski parapet na wybrzeżu, z drugiej wysoki mur, którego końca nie było widać. Nad murem drzewa pokryte śniegiem i żołnierze na straży. Dianetka nie mogła już iść i niosłem ją prawie; pomimo zimna, pot spływał mi po twarzy, ze zmęczenia i niepokoju. Czułem, że siły mnie opuszczają, że jestem także chory. Co się z nami dalej stanie?

Dianetka puściła moją rękę i usiadła, a ra-

czej osunęła się na zaśnieżony chodnik. Chciałem ją podnieść ale nie mogła już utrzymać się na nogach i upadła.

— Skończyło się! — szepnęła słabym głosem.

Usiadłem przy niej, i próbowałem jej wytłomaczyć, że trzeba iść koniecznie. Ale była zupełnie bezwładna, nie odpowiadała, nie słyszała co mówię; ręce miała rozpalone, jak ogień.

Upłynęło kilka minut i strach zaczął mnie ogarniać. Nikt nie przechodził; podniosłem się i zacząłem rozglądać się, ale nie zobaczyłem nic, oprócz dwóch ścian kamiennych i leżącego między niemi śniegu. Prosiłem ją, błagałem, by się podniosła — nie odpowiedziała. Chciałem ją nieść; pozwoliła wziąć się na ręce, ale uszedłszy kilka kroków, musiałem odpocząć, nie mając już sił iść dalej.

Pozwoliła położyć się na ziemi. Usiadłem przy niej. Wszystko już skończone; umrzemy tu oboje. Mimo osłupienia, Dianetka miała jeszcze trochę przytomności, bo pochyliła się ku mnie i pocałowała mnie zlekka, zlodowaciałemi, drżącemi ustami w głowę. Łzy napłynęły mi do oczu i serce się ścisnęło...

Łudziłem się jeszcze, że jej siły powrócą i że będziemy mogli iść dalej, lecz Dianetka siedziała bez ruchu, z zamkniętemi oczyma,

oparta o mnie; gdyby nie dreszcze, które nią wstrząsały, myślałbym, że już umarła.

Kilku przechodniów przystanęło, przyglądając się z zadziwieniem, siedzącym na śniegu dzieciom, lecz odeszli po chwili.

Trzeba było coś postanowić; zdecydowałem się poprosić o pomoc pierwszego przechodnia, jaki nadejdzie. Pierwszy nadszedł policyant i zagadnął mnie dlaczego tu siedzimy. Powiedziałem, że moja siostrzyczka jest chora i nie może iść dalej.

Zaczął mi zadawać pytania, różne pytania. Kiedym mu powiedział, że idziemy do rodziców w Port-Dieu, daleko stąd, nad samem morzem, i że idziemy od dziesięciu dni, otworzył szeroko oczy.

— Ależ to dziecko umiera! Chodźmy do posterunku...

Dianetka, coraz słabsza, nie mogła już się podnieść, nie mogła iść, mimo moich próźb — nie mogła iść, pomimo rozkazu policyanta.

Wziął ją więc na ręce, a mnie kazał iść za sobą. Poszliśmy razem.

Po kilku minutach, spotkaliśmy drugiego policyanta, któremu powtórzył to co mu mówiłem. Kolega wziął od niego Dianetkę i poprowadził mnie do drzwi domu, nad któremi wisiała czerwona latarnia. W drugiej sali, przy na palonym piecu, stało kilkunastu policyantów.

Dianetka nie mogła mówić, więc mnie wypytywali. Powtórzyłem moje opowiadanie.

— Zdaje mi się, że mała już nie żyje — powiedział jeden z nich.

— Żyje, ale niewiele jej się należy. Trzeba ją zanieść do głównego zarządu.

— A ty?—zapytał mnie starszy policyant. Cóż ty zrobisz? Czy masz jakie środki?

Spojrzałem na niego, nie rozumiejąc o co pyta.

— Czy masz pieniądze? — powtórzył.

— Mam dwadzieścia su.

— No! to zmykaj dziś przed nocą. Jeżeli cię złapią na ulicy, odeślą do więzienia jako włóczęgę.

Położyli Dianetkę w lektyce, okryli kocem, zasunęli firankę i dwóch ludzi zabrało ją.

Osłupiałem. Nie mogłem uwierzyć, że jest tak ciężko chora; chciałem się dowiedzieć... A tu policyanci grozili aresztowaniem, jeżeli mnie spotkają na ulicy. Pomimo pogróżek, poszedłem za nimi. Uprosiłem ich i pozwolili.

Szliśmy dość długo, na drugi brzeg Sekwany, i zatrzymali się przed dużym, pięknym gmachem. Wszedłem za nimi; pan czarno ubrany rozsunął firanki lektyki. Dianetka czerwona była jak mak polny.

Zadał jej łagodnie parę pytań: zbliżyłem się i odpowiedziałem za nią, poraz trzeci powtarzając moje opowiadanie.

— Silne przeziębienie, nadmierne zmęczenie — powiedział pan, czarno ubrany. Zapalenie płuc. Do Dzieciątka Jezus.

Napisał parę słów i oddał nam papier. Niosący szli z trudnością po oślizgłym śniegu; gdy odpoczywali, zbliżałem się do lektyki, i przemawiałem do Dianetki; czasem odpowiadała mi żałosnym głosem, częściej nie odpowiadała wcale.

Podróż tym razem trwała jeszcze dłużej. Nakoniec, na ulicy mniej ruchliwej, stanęliśmy przed drzwiami malowanemi na zielono; weszliśmy do sieni dość ciemnej; ludzie w białych fartuchach zbliżyli się.

Dianetka zrozumiała, że nadeszła chwila rozstania. Rozsunęła firanki, i patrząc na mnie roziskrzonemi oczami, zapytała:

— Czy mnie opuszczasz?

Myślałem tylko o niej, o jej osamotnieniu, widziałem tylko ją, leżącą w nędznej lektyce i patrzącą na mnie błagalnie:

— Nie! nie opuszczę — odrzekłem.

Spojrzała na mnie z wdzięcznością. Ach! jak spojrzała! I zabrali ją posługacze szpitalni.

Stałem na miejscu, zgnębiony, osłupiały, nie myśląc o niczem, kiedy odźwierny rozkazał mi wyjść.

— Czy będę mógł ją zobaczyć?

— Można: w niedzielę i we czwartek.

I zatrzasnął drzwi za mną.

Wieczór się zbliżał, w niektórych domach pozapalano już światła. Pierwszą i najważniejszą dla mnie rzeczą był nocleg. O tem z czego żyć w Paryżu, dopóki Dianetka nie wyzdrowieje, pomyślę jutro. Nie myślałem już o układaniu planów i obmyślaniu środków ostrożności; dzisiejsza nędza, zobojętniła mnie na jutro.

Pomimo wytężenia umysłu nie mogłem nic wymyśleć. Nie wiedziałem, że w wielkim mieście, było tysiące takich jak ja nędzarzy, którzy tak samo nie wiedzieli gdzie będą spali, a którzy jednak znajdą nocleg i nawet wieczerzę. Wychowany na wsi, znałem tylko środki dostępne dla wiejskich mieszkańców; nocleg w śpichrzu, w stajni, pod stogiem siana, a w mieście nie widziałem nigdzie nic podobnego; domy, mury i znowu domy!

Wyszedłszy ze szpitala, zawróciłem na prawo, i na rogu ulicy wyszedłem na szeroki bulwar, wysadzony drzewami. Dokąd prowadził? Mniejsza o to! Nie miałem żadnego celu więc było mi wszystko jedno. Szedłem wolno, wyczerpany zmęczeniem i nogi w podartem obuwiu, brnące od rana po śniegu, zdrętwiały mi zupełnie, nie miałem w nich czucia. Dzieci urządziły sobie ślizgawkę na bulwarze: przystanąłem bezmyślnie, przyglądając się ich zabawie.

Pomiędzy ślizgającymi się, ujrzałem ze zdziwieniem znajomego. Był to chłopiec, przezwany *Gąbką*, którego poznałem w Falaise,

gdzie należał do innej trupy. Jego buda sąsiadowała z naszą, i bawiliśmy się tam z sobą.

Byłem jedynym widzem na ślizgawce; spojrzał na mnie i poznał. Zbliżył się do mnie.

— A ty co robisz w Paryżu? Czy wasz lew przyjechał? Przyjdę odwiedzić Dianetkę.

Opowiedziałem mu, że rozstałem się z Lapoladem, że dopiero od rana jestem w Paryżu, i że mam kłopot, gdzie znaleźć nocleg. Nie mówiłem nic o Dianetce, i zapytałem, czy w jego trupie nie znalazłbym miejsca.

— Niezawodnie, że się znajdzie, jeżeli potrafisz dobrze ściągać. Umiesz ściągać?

Nie wiedziałem dobrze co to znaczy ściągać, ale widząc przed sobą możliwość zarobku, odpowiedziałem, że potrafię.

— Kiedy tak, przybijmy targ! — zaproponował Gąbka.

— A stary?

— Starego puściłem na wodę. Ja teraz mam trupę, i biorę ciebie. Wyuczę cię chodzić na grandę.

Nie znałem tego języka; musiały to być paryzkie wyrażenia, nie chciałem się dziwić ani pytać, chociaż dziwiło mnie to, że jedenastoletni chłopiec, mały jak łasica, może być dyrektorem trupy.

— Zimno ci? — zapytał Gąbka, widząc że się trzęsę. Chodź ze mną na rozgrzewkę.

Zaprowadził mnie do winiarni i poczęstował szklanką gorącego wina.

— Pokrzepiłeś się? Chodźmy teraz na wieczerzę.

Zamiast skierować się ku miastu, które leżało po prawej stronie, zawróciliśmy na lewo i szliśmy długą przestrzeń ulicami, gdzie mało było ludzi, a domy brudne i ubogie.

Gąbka widział, że się dziwię.

— Czy myślałeś, że cię zaproszę do pałacu? — roześmiał się.

Zaprowadził mnie tymczasem na puste pole. Noc już zapadła, ale nie bardzo ciemna. Zeszliśmy z drogi na ścieżkę. Na brzegu jakiejś nory Gąbka stanął i powiedział:

— To tutaj. Daj mi rękę i uważaj żebyś nie upadł.

Spuściliśmy się do kamieniołomów; wśród wielkich głazów kamiennych, weszliśmy do podziemnego korytarza; Gąbka wyjął z kieszeni stoczek i zapalił. Dziwiłem się coraz więcej.

— Jeszcze chwilka, a dojdziemy na miejsce...

Ukazało się światło w podziemiu, stała tam fajerka z węglami, a przy niej leżał chłopiec w wieku Gąbki.

— Nikogo niema? — spytał Gąbka.

— Nikogo.

— To dobrze. Przyprowadziłem nowego.

Wybierz dla niego obuwie bo bardzo go potrzebuje.

Dzieciak poszedł i wrócił za chwilę z zapasem obuwia; myślałby kto, że jest w sklepie z obuwiem.

— Wybierz sobie jakie chcesz — powiedział mi Gąbka. A jeśli przyzwyczajony jesteś do skarpetek, powiedz, to dostaniesz. Trzeba tylko powiedzieć.

Nie zdołam wyrazić, jakiej ulgi doznałem gdy moje obolałe i zziębnięte nogi rozgrzały się w ciepłych, wełnianych skarpetkach, i w nowiuteńkich butach.

Kończyłem się obuwać, gdy przyszli dwaj chłopcy, potem trzeci, potem czwarty, a następnie jeszcze trzech, razem dziewięciu.

Gąbka mnie przedstawił.

— To mój przyjaciel jeszcze z budy. Dobry chłop. A wy, coście dziś robili?

Każdy wypróżniał kieszenie, naokoło fajerki. Jeden przyniósł szynkę, drugi butelki, jeden wyciągnął z kieszeni nawet butelkę ze srebrną główkę.

Wszyscy powitali ją okrzykiem, śmieli się i żartowali.

— Doskonale! — zawołał Gąbka. Napijemy się z tego...

Towarzystwo rozsiadło się naokoło fajerki, nie na krzesłach ale poprostu na ziemi.

Gąbka przyjmował mnie jak gościa i mnie

pierwszemu dano jeść. Oddawna już nie widziałem podobnej obfitości jadła, i muszę wyznać, że ani w domu ani u pana Bihorela, nie miałem nigdy takiej biesiady. Po szynce zabraliśmy się do zimnego indyka, a po indyku do pasztetu. Jadłem z takim apetytem, że budziłem podziw całego zebrania.

— Doskonale! — wołał Gąbka. Aż miło zaprosić gościa, który tak zacnie wsuwa.

Ale jedzenie, ciepło i znużenie, zmorzyły mnie zupełnie.

— Spać ci się chce? — zapytał Gąbka, widząc, że oczy mi się kleją. Nie wstydź się. Nie mamy łóżka ani pościeli ale obejdziesz się bez nich i prześpisz dobrze, prawda? A teraz jeszcze szklankę ponczu, i dobranoc!

Podziękowałem za poncz, co obudziło wielkie zdziwienie całego towarzystwa, i zapytałem Gąbkę, gdzie mam nocować?

— Zaprowadzę cię.

Zapalił świecę od węgli w fajerce, i poszedł naprzód, wiodąc mnie przez korytarz, równoległy do kopalni.

Na końcu korytarza leżała na ziemi gruba warstwa słomy, i parę kołder wełnianych.

— Wyśpij się dobrze—powiedział Gąbka— a jutro pogadamy.

I wyszedł zabierając z sobą światło.

Nie czułem się bardzo bezpieczny w tej kopalni, której głębokości nie znałem, a jedno-

cześnie zaciekawiło mnie kto są moi nowi towarzysze; te pełne kieszenie — te szynki, indyki, butelki z trunkami — wszystko wydawało mi się podejrzane, ale byłem tak zmęczony, że znużenie wzięło górę nad niepokojem.

„Pogadamy jutro“ — powiedział Gąbka. Jutro więc będzie czas na wyjaśnienie. Miałem na dziś schronienie, zjadłem dobrą kolacyę; dzień był aż nadto męczący, zaledwiem się ułożył na słomie, zasnąłem, mimo krzyków i hałasów towarzystwa, które piło i śmiało się o kilka kroków ode mnie.

Nazajutrz Gąbka obudził mnie, gdyby nie to, spałbym pewnie całe dwadzieścia cztery godzin.

— Masz tu łachy — powiedział na dzień dobry—ubieraj się.

Zrzuciłem z siebie łachmany i włożyłem ubranie, które mi rzucił na słomę. Spodnie i kurtkę, z grubego, wełnianego materyału.

Słabe światło dochodziło z góry. To światło dzienne, przedzierające się z trudnością przez jakąś szparę.

— Mój chłopcze — zaczął Gąbka — myślałem o tobie i wymyśliłem co potrzeba. Nie jesteś bardzo biegły w rzemiośle — prawda?

— Niebardzo.

— Tak też i ja myślałem. Odrazu można to poznać. Gdybyś chciał zaraz wziąć się do takiej roboty jak nasza, zdarzyłoby ci się nie-

szczęście. I dlatego zapoznam cię z dobrym jednym chłopcem, będziesz mu służył za wędkę.

Nie chciałem się kompromitować, zdradzając zupełną nieznajomość paryskiego narzecza, ale nie mogłem nie żądać wyjaśnienia tego wyrazu. Jeżeli miałem być wędką, powinienem wiedzieć co to znaczy.

— Ubrałeś się? — zapytał Gąbka, widząc moje wahanie.

— Już.

— Chodźmy na śniadanie, a potem zaprowadzę cię do mojego znajomego.

Poszedłem za nim. W fajerce węgle zagasły, i nie zostało śladu po wczorajszej uczcie. Widniej tu było trochę, bo bliżej wejścia; sklepienie opierało się na dwóch filarach, a wszędzie leżały stosy kamieni.

Gąbka wyjął ze szczeliny w ścianie butelkę, chleb i resztki szynki.

— Przekąśmy trochę — powiedział — a śniadanie zjemy u twojego nauczyciela.

Zebrałem się na odwagę.

— Nie śmiej się ze mnie — zacząłem — ale wiesz, że nie jestem paryżanin; wytłomacz mi więc co to znaczy wędka?

Pytanie moje tak go rozweseliło, że zaczął się śmiać.

— A to gapy, ci z prowincyi! — zawołał. Mój paniczu, „wędka“ to jest taki facet jak ty

i ja, niezbyt ciężki i zwinny. Ty może i tego nie wiesz, jak kupcy zamykają sklepy, wychodząc na obiad, którzy jedzą w kuchni za sklepem?

Nie rozumiałem wcale, jaki związek może zachodzić między temi dwiema sprawami, i odrzekłem, że istotnie nie wiem jak kupcy zamykają sklepy.

— Zakładają nisko na drzwi sztabę, połączoną za pomocą sprężyny z dzwonkiem — objaśnił, podając mi butelkę z winem, którą wypróżnił do połowy. Jeżeli kto chce wejść, musi odsunąć sztabę, a wtedy dzwonek dzwoni, i kupiec siedzący za sklepem, lub w kuchni, idzie do sklepu. A teraz rozumiesz do czego służy wędka?

— Nie rozumiem, chyba, że ma zastępować dzwonek?

Gąbka aż pokładał się od śmiechu, kiedy uspokoił się trochę, dał mi porządnego kułaka w bok.

— Jeżeli jeszcze raz powiesz coś podobnego, umrę chyba ze śmiechu! Zamiast wyręczać dzwonek, wędka łowi, nie pozwala mu dzwonić. I dlatego chłopca przesadzają przez zagrodzenie, a on pełza cichutko do szuflady z pieniędzmi, zabiera je i oddaje drugiemu, który stoi przed sklepem. Ten bierze go pod pachy, przesadza z powrotem przez sztabę i już

po wszystkiemu. Kupiec nawet nie wie, że mu wypłókali kasę. Czy ci się to podoba?

Osłupiałem...

— Ależ to kradzież!

— No! więc co z tego?

— Więc ty jesteś złodziejem? Ty?!

— No! i co? A ty jesteś głupiec, i tyle!

Nie odpowiedziałem mu nic i przypomniałem sobie com widział poprzedniego wieczora, i pomyślałem, że Gąbka ma prawo uważać mnie za głupca.

Ale musiałem się zdobyć na jakieś postanowienie.

— Posłuchaj! — rzekłem bez ogródek. Jeżeli liczyłeś na mnie do tej roboty, omyliłeś się.

Tym razem nie zaczął się śmiać, ale wpadł we wściekłość, krzyczał, że go podszedłem, że jeżeli mi pozwoli wyjść, zdradzę go przed policyą!

A potem dodał na zakończenie:

— Otóż nie! nie zdradzisz mnie i nie wyjdziesz stąd!

— Wyjdę!

Zaledwie to wyrzekłem, rzucił się na mnie; ale jeżeli on był zręczniejszy i zwinniejszy, ja byłem silniejszy. Walka niedługo trwała. W pierwszej chwili, zaskoczony niespodziewanie, upadłem, ale wnet się dźwignąłem, wzią-

łem nad nim górę i trzymając go pod sobą — zapytałem:

— Czy pozwolisz mi odejść?

— A czy mnie nie zdradzisz przed policyą?

— Nie zdradzę.

— Przysięgnij!

— Przysięgam.

Podniosłem się i puściłem go.

— Jesteś głupiec! — wyrzekł ze złością. „Prosty głupiec“. Zobaczysz, czy wyżyjesz ze swoją uczciwością! Gdybyś mnie wczoraj nie był spotkał, nie żyłbyś już dziś, a jeżeli żyjesz, to tylko dla tego, że najadłeś się kradzionej szynki, i napiłeś kradzionego wina. Jeżeli ci nie zimno w nogi, to dlatego, że dałem ci skarpetki i obuwie kradzione. Jeżeli nie zmarzniesz wyszedłszy stąd, to dlatego, że masz na grzbiecie kradzione ubranie...

To ubranie, takie ciepłe i miłe! — nie pomyślałem nawet o tem, tak mi dobrze w niem było...

— Czy dasz mi świecę? — zapytałem.

— Poco?

— Pójdę wyszukać moje stare ubranie.

— Nie wymawiam ci wcale tego, które dałem. Dawałem ci je na własność...

— Tak, ale ja nie chcę go zatrzymać...

Poszedł ze mną, wzruszając ramionami, do korzytarza, gdzie spaliśmy w nocy.

Zdjąłem ubranie, które mi podarował i wdziałem napowrót własne, przemokłe łachmany. Nie było to wcale przyjemne, a gdym chciał włożyć stare trzewiki, zobaczyłem, że jeden był pęknięty.

Gąbka przyglądał mi się w milczeniu. Odwróciłem się od niego, wstydząc się mej nędzy.

— Że jesteś głupi, to prawda — przemówił Gąbka łagodnie! Ale to coś zrobił wzruszyło mnie... widzisz.

Uderzył się w piersi.

— Powiedz, czy to takie wielkie szczęście być uczciwym? — dodał.

— Czemu sam tego nie sprobujesz?

— Bo już zapóźno.

— Jeżeli cię zaaresztują i skażą na więzienie, co powie twoja matka?

— Moja?! Ach! gdybym ja miał matkę!... Nie gadaj mi nawet o tem...

A widząc, że chcę mówić, przerwał mi:

— Czy zabierasz się do kazania? Daj sobie spokój! ale nie pozwolę ci tak odejść; jeżeli nie chcesz wziąć tego ubrania, dlatego, że kradzione — może przyjmiesz to, które nosiłem w budzie, w Falaise. Zarobiłem na nie uczciwie. Jeżeli masz choć trochę serca, weź je.

Odpowiedziałem, że wezmę chętnie.

— To dobrze! — odrzekł z widocznem zadowoleniem. Chodźmy, to dam ci je zaraz.

Wróciliśmy do Paryża, gdzie zaprowadził mnie do jakiegoś domu w pobliżu rogatek. Weszliśmy do umeblowanego pokoju; Gąbka wyjął z szafy kurtkę i spodnie, które widziałem na nim w Falaise: dał mi też trzewiki, nie nowe wprawdzie, ale jeszcze dobre.

— A teraz, bywaj zdrów! — powiedział gdym się już przebrał. Jeżeli spotkasz moich towarzyszów, udaj, że ich nie poznajesz.

Nie było jeszcze dziesiątej; miałem cały dzień na obmyślenie i wyszukanie noclegu.

Czas był pogodny; ubrany ciepło, obuty, najedzony, nie turbowałem się zbytecznie, gdzie znajdę przytułek.

Poszedłem prosto przed siebie; może traf jaki dopomoże mi...

Upłynęły dwie godziny, a ja nic nie znalazłem, nic nie wymyśliłem, pomimo że szedłem przez różne dzielnice. Rozmyśliłem się, że będzie rozsądniej przyjść w pomoc przypadkowi, i skierowałem się w stronę rzeki. Postanowiłem iść do hall: może ta dobra kobieta, która dała nam dwadzieścia su, znajdzie dla mnie zajęcie, a przynajmniej wskaże do kogo mógłbym się zwrócić z prożbą o pracę.

Nie poznała mnie w ubraniu Gąbki, a gdym się jej przypomniał, zapytała, co zrobiłem z siostrzyczką. Opowiedziałem co zaszło w ciągu poprzedniego dnia, i widziałem, że ją to wzruszyło; dodałem też, że nie mogę Dianetki zo-

stawić w Paryżu, i muszę czekać aż wyzdrowieje; ale chcąc czekać, potrzebuję znaleźć zarobek, a nie wiedząc do kogo się zwrócić, myślałem, miałem nadzieję...

— Zwrócić się do matki Berceau?—przerwała mi—i dobrze zrobiłeś, mój chłopcze! To mi pochlebia, że po mojej twarzy poznałeś, że nie pozwoliłabym umrzeć dziecku z głodu. Człowiek nie jest bogaty, ale ma serce...

Zwołała parę swoich sąsiadek na naradę, do czego możnaby mnie użyć, co nie było łatwem zadaniem, gdyż w handlach niema zwyczaju używać dzieci do pracy. Wreszcie, po długich rozprawach i dziesięciokrotnych badaniach, kiedy się okazało, że umiem dobrze pisać, postanowiono jednogłośnie użyć mnie do spisywania cen przy licytacyach, jeżeli tylko uda się znaleźć tam dla mnie miejsce.

I nazajutrz, o piątej rano, usadowiono mnie nad pulpitem, na targu rybnym, gdzie miałem przepisywać ceduły targowe. Robota była łatwa, bo pisałem prędko i czytelnie, kiedy pani Berceau przyszła dowiedzieć się czy są ze mnie zadowoleni, odpowiedziano jej, że idzie wszystko dobrze, i że mogę zarobić trzydzieści su dziennie. Nie było to dużo, ale że pani Berceau, pozwoliła mi nocować w swoim sklepie, miałem więcej niż potrzeba na moje wyżywienie.

Dianetka dostała się do szpitala w poniedziałek; oczekiwałem niecierpliwie czwartku,

i skończywszy robotę na targu, wybrałem się do szpitala. W hallach dostałem całą pakę pomarańcz. Niepokój mnie popędzał, i poszedłem, zanim jeszcze otwarto drzwi wejściowe. Jak się ma Dianetka? Czy żyje — czy... może... umarła?...

Kiedy mi wskazano salę Świętego Karola, zacząłem biedz, ale zatrzymał mnie posługacz i zagroził, że jeżeli będę hałasował, wyrzuci mnie ze szpitala. Szedłem więc teraz na palcach.

Dianetka żyła i miała się lepiej! Nie zapomnę nigdy jej spojrzenia, kiedy mnie zobaczyła!

— Wiedziałam, że przyjdziesz — powiedziała — jeżeli nie zmarzłeś...

Musiałem jej opowiadać co robiłem od chwili naszego rozłączenia. Kiedym jej opowiedział o przygodzie w kamieniołomach, zawołała:

— Dobrze zrobiłeś, braciszku! Bardzo dobrze!

Nigdy jesze´ dotąd nie nazwała mnie bratem.

— Uściskaj mnie!—powiedziała serdecznie.

Dowiedziawszy się co dla mnie uczyniła matka Berceau, westchnęła rozczulona ze łzami w oczach:

— Ach! poczciwa kobieta!

Potem przyszła kolej opowiadania na Dianetkę.

Była z początku ciężko chora, leżała w gorączce nieprzytomna, ale pielęgnowano ją starannie; opiekowała się nią bardzo dobra siostra miłosierdzia.

— Ale mimo to — szepnęła mi pocichu— chciałabym stąd wyjść, bo się boję. Przeszłej nocy, umarła dziewczynka na tem łóżku, obok mnie, a kiedy ją włożyli do skrzyni, zemdlałam...

Zwodnicza przecież była nadzieja, że Dianetka prędko wyjdzie ze szpitala, choroba jej była tak ciężka, że rekonwalescencya trwała bardzo długo, przeszło dwa miesiące, leżała u Dzieciątka Jezus.

Było to zresztą szczęściem dla nas; przez ten czas polubili ją wszyscy w szpitalu, siostra miłosierdzia, doktór i studenci; wszyscy wiedzieli naszą historyę, a przynajmniej to co mogliśmy opowiedzieć, a zajęcie jakie budziła Dianetka i na mnie się rozciągało. Kiedym przychodził w poniedziałki i czwartki, przyjmowano mnie jak dobrego znajomego.

Nakoniec wypisano Dianetkę ze szpitala i oddając jej kartę, lekarz i siostra miłosierdzia uwiadomili nas, że zapewnili nam podróż do Port-Dieu nie piechotą. Jakiś dostawca szpitala zgodził się zabrać nas na swój wóz, i odstawić do Vire, tam miał opłacić miejsca w dyliżansie do samego Port-Dieu. W sali Świętego Karo-

la urządzono kwestę, i zebrano dwadzieścia pięć franków to jest więcej niż potrzeba było na całą podróż. Ja także, przez te dwa miesiące, w przewidywaniu podróży, o której wiedziałem, że nie będzie łatwa, odkładałem sześć do ośmiu su dziennie, co razem uczyniło dwadwieścia dwa franki.

Jakaż różnica między naszem przybyciem do Paryża, dwa miesiące temu, a wyjazdem! Poczciwa pani Berceau, odprowadziła nas sama aż do wozu dostawcy, i zaopatrzyła w zapasy rozmaitego pożywienia.

Wóz nie należał do najwygodniejszych, miał dwie twarde ławeczki, i wysłany był słomą, ale że to już był początek lutego i powietrze niebardzo zimne, podróż dla takich jak my, nieprzyzwyczajonych do wielkiej wygody, nie przedstawiała przykrości i od czasu do czasu wysiadaliśmy i szliśmy kawałek pieszo.

W Vire, dostawca zapakował nas do dyliżansu, bo wówczas nie było tam jeszcze kolei, a dyliżans dowiózł nas o milę od Port-Dieu, w niedzielę. Siedm miesięcy upłynęło od chwili, gdy stąd wyszedłem.

Uszliśmy z jakie sto kroków nic nie mówiąc, bo oboje czuliśmy pewne zakłopotanie. Pierwsza Dianetka przerwała milczenie.

— Idźmy wolniej; chciałabym z tobą pomówić...

Lody pękły...

— I ja także chciałbym z tobą pomówić, masz tu list, który wchodząc, oddasz mojej mamie.

— Poco list? — zapytała łagodnie. Czemu nie masz pójść ze mną? Czemu sam nie zaprowadzisz mnie do swojej matki? Nie wiesz, czy ona zechce mnie przyjąć? A jeżeli nie przyjmie, cóż się ze mną stanie?

— Nie mów tego! nie znasz mojej mamy.

— Owszem, znam ją dobrze, ale ty nie wiesz, czy mi przebaczy, że cię nie zatrzymałam. Czy uwierzy, że odszedłeś, pomimo mojej prośby? Jakto! doprowadziłeś mnie aż tutaj, i nie chciałeś wstąpić do niej, żeby ją uściskać? To jest zupełnie niepojęte, to co czynisz!

— To wszystko tłumaczę jej w liście; tłumaczę jej, że jeżeli idę dalej nie zobaczywszy się z nią, to tylko dlatego, że gdybym ją ujrzał, nie byłbym w stanie odejść, a gdybym nie odszedł, musiałbym powrócić do stryja. On ma umowę na piśmie, a nie zrzekłby się nigdy swoich praw.

— Mama znalazłaby niezawodnie sposób, żeby cię od tego obronić.

— Gdyby mama oparła się stryjowi, musiałaby mu za mnie zapłacić, a gdy ja raz już wsiądę na statek, stryj nic na to nie poradzi, bo marynarz zapisany do marynarki, zależy od rządu, a rząd jest potężniejszy od stryja. Ob-

myśliłem wszystko to dokładnie, możesz być pewna!

— Nie wiem, nie znam się na tych sprawach z rządem, ale czuję, że to co robisz, jest złe...

Nie byłem tak bardzo pewny swego sumienia, żebym mógł usłyszeć bez gniewu to co sobie sam powtarzałem tyle razy.

— Mówisz, że to źle?

— Tak, źle! A jeżeli mama potępi cię za to, jeżeli powie, że jej nie kochasz, nie będę mogła cię bronić, bo i ja myślałabym to samo co ona...

Szedłem przez chwilę nic nie mówiąc; byłem wzruszony, zachwiany w postanowieniu, skłonny do ustąpienia, ale jednak oparłem się.

— Czy byłem zły dla ciebie? — spytałem.

— Nie! nigdy.

— Więc czy możesz posądzać, że mogę być zły dla mamy?

Popatrzyła na mnie.

— Odpowiedz!

— Nie!

— Czy myślisz, że nie kocham mamy? Czy myślisz, że jej chcę sprawić zmartwienie.

Miała nadzieję, że mnie przekona, widziała że się bronię, nie odpowiedziała nic, a ja mówiłem dalej:

— Jeżeli masz choć trochę wdzięczności dla mnie, jeżeli wierzysz, że nie jestem zły, nie

mów do mnie nigdy w taki sposób, może skłoniłabyś mnie do pozostania, a to byłoby nieszczęściem dla nas wszystkich.

Nie odrzekła ani słowa, i szliśmy obok siebie w milczeniu, oboje wzruszeni i zmieszani.

Wybrałem drogę przez nadbrzeżne piaski, gdzie wiedziałem, że nie spotkamy nikogo. Doszliśmy już do rowu, który stanowił granicę naszej osady. Słyszałem, że w kościele dzwonią na koniec nabożeństwa, ludzie rozchodzili się i matka musiała już powrócić do domu.

— To tu—powiedziałem, wskazując przez żywopłot Dianetce dom, w którym żyłem, tak bardzo kochany...

Z drżenia głosu poznała moje wzruszenie.

— Romanku — zawołała.

Ale udałem, że nie rozumiem o co jej idzie, o co mnie błagała.

— Wejdź do domu! — mówiłem z pośpiechem. Wchodząc, oddaj list mamie i powiedz: „To list od syna pani". — Zobaczysz, że gdy przeczyta go, nie odepchnie cię... Powrócę za pół roku. Napiszę do was z Hawru. Bywaj zdrowa!

Chciałem uciec, lecz rzuciła się na mnie.

— Nie zatrzymuj mnie! Puść mnie! Widzisz, że płaczę...

Rozplotła ręce na mojej szyi założone.

— Czy nie każesz mi ucałować mamy od ciebie?

Odszedłem już kilka kroków, ale zawróciłem i objąwszy ją za szyję, ucałowałem; poczułem na twarzy jej łzy.

Czułem, że jeżeli nie ucieknę zaraz, nie będę w stanie odejść. Uwolniłem się z jej objęć i zacząłem biedz, nie oglądając się.

Ale na zakręcie drogi stanąłem i czołgając się powróciłem na to samo miejsce i przyczaiłem się pod żywopłotem. Widziałem, że Dianetka przeszedłszy przez dziedziniec, wchodziła właśnie do domu.

Długo nie pokazywał się nikt, nie widziałem, nie słyszałem nic, niepokój zaczął mnie dławić... A jeżeli mama już tu nie mieszka... A jeżeli, tak jak matka Dianetki... może...

W chwili, gdy nasunęła mi się ta myśl złowroga, Dianetka stanęła na progu, a za nią ukazała się moja matka.

Więc żyje! Dianetka stała obok niej, trzymając ją za rękę, ale obie miały oczy czerwone. Zesunąłem się do rowu...

We trzy godziny potem, wsiadałem na kozieł dyliżansu, a nazajutrz byłem w Hawrze. W kieszeni pozostało mi siedm franków.

XIII.

Myślałem, że gdy przedstawię się na pokładzie statku, zostanę zaraz przyjęty do załogi.

Natychmiast po przyjeździe poszedłem na wybrzeże i zacząłem się rozglądać. W dokach stało kilka parowców, ale te mnie nie nęciły, dalej stały wielkie okręty amerykańskie, z których wyładowywano wańtuchy bawełny i układano w piramidy na wybrzeżu. Ale i to mnie nie kusiło. Chciałem koniecznie dostać się na statek francuski. Dopiero tam wpadłem w zachwyt, gdzie stały francuzkie statki, przybyłe z różnych stron świata, wielkie i małe, istny las masztów, obwieszonych linami, flagami i żaglami. Wydawało mi się to piękniejsze niż Paryż.

Z jednych statków dochodził zapach pieprzu i cynamonu, z innych, słodki zapach melassy. Wszędzie wrzała robota; ładowano i wyładowywano towary; straż celna oglądała wory z kawą i przysłuchiwała się smętnym śpiewom żeglarzy.

Między temi statkami jeden szczególnie zachwycił mnie trzymasztowiec, pomalowany biało i niebiesko. Na tablicy wiszącej na sznurach masztu, stał napis:

Z ładunkiem do Pernambuco i Bahii.

Gwiazda Poranna. Kapitan Frigard. Odpływa zaraz.

Czemużby nie puścić się w podróż na tym statku białym i niebieskim? Pernambuco i Bahia! Co za czarujące nazwy!

Wszedłem na pokład; załoga i robotnicy zajęci ładowaniem, spuszczali na spód okrętu ciężkie skrzynie, które kołysały się na grubych łańcuchach. W pierwszej chwili, nikt mnie nie zauważył, ale że stałem ciągle na jednem miejscu, nie śmiąc zbliżyć się zanadto, zwróciłem w końcu uwagę jakiegoś pana, zapisującego skrzynie, które się przed nim przesuwały.

— Idź precz! — zawołał.

— Pragnąłbym rozmówić się z panem — odrzekłem.

I przedstawiłem mu moją prośbę, że pragnę zaciągnąć się jako chłopiec okrętowy, na pokład „Gwiazdy Porannej".

Nie odpowiedział mi ani słowa, tylko wskazał pomost, przez który wszedłem.

— Ale, proszę pana...

Podniósł rękę, ja już nie nastawałem, i wyszedłem mocno upokorzony, a prawdę mówiąc i trochę niespokojny.

Więc może mnie nie zechcą wziąć do służby?

Ale byłem w takiem położeniu, że nie mogłem się zniechęcać byle czem. Poszedłem dalej; Gwiazda Poranna była może za piękna; wybrałem więc na drugą próbę, czarny i brudny bryg, wiozący ładunek do Tampico, a noszący imię „Węża morskiego".

Ale tam odpowiedziano mi krótko, że nie potrzebują nikogo.

W trzeciem miejscu, zamiast zwrócić się do kapitana, zagadnąłem majtka, usłyszawszy moją prośbę, wzruszył ramionami i powiedział, że jestem „głuptas".

Wreszcie, na dwumasztowym statku, odpływającym do Afryki, kapitan, z miną nie budzącą wcale zaufania, zgodził się przyjąć mnie na pokład, ale dowiedziawszy się, że nie mam ojca, któryby podpisał umowę — że nie jestem zapisany do marynarki, że nie mam worka na rzeczy, ani nawet wogóle rzeczy — kazał mi wynosić się jak najprędzej, a ja usłuchałem natychmiast, nie chcąc zapoznać się zbliska z jego silną pięścią.

Sprawa brała obrót nieprzyjemny, zacząłem się mocno niepokoić. Czy trzeba będzie wracać do Port-Dieu? Gdyby szło tylko o matkę i Dianetkę, powrót byłby dla mnie szczęściem. Ale stryj i umowa, która mnie z nim wiązała... Czyż mogłem o tem zapomnieć?

Poszedłem więc dalej, na poszukiwania.

Obszedłszy doki, wróciłem do wejścia do portu. Morze zaczynało przybierać, i kilka bark rybackich wypłynęło już na pełne morze. Poszedłem na tamę, przyglądać się wpływającym i odpływającym statkom; oddawna już nie widziałem tego. Rozległy widnokrąg, ruch statków przybywających z różnych stron, ładowanie okrętów przygotowujących się do dalekiej podróży, pożegnania, powiewające chustki, na-

woływania majtków, zgrzytanie wind i skrzypienie lin, białe skrzydła żagli, porozpinanych w przystani, od wybrzeża do najdalszych krańców nieboskłonu, wszystko to, rozwiało moją troskę. Dwie godziny przeszło, stałem oparty łokciami na parapecie, gdy ktoś pociągnął mnie za włosy. Odwróciłem się zadziwiony, i poznałem jednego z dwóch muzykanów z trupy Lapolada — żółtowłosego Hermana.

— Lapolade jest w Hawrze?

Miałem tak przerażoną minę, że Herman zaczął się śmiać. Gdy uspokoił się, powiedział mi, że i on także porzucił Lapolada, i jedzie do brata, który mieszka w rzeczypospolitej Ekwator. Lapolada zaś mogę się nie obawiać, bo wycofał się z interesu i sprzedał swą menażerję, a raczej szczątki menażerji, gdyż we dwa tygodnie po naszej ucieczce Baranek — biedny Baranek — zdechł z głodu i zmartwienia. Po ucieczce Dianetki, zrobił się ponury i groźny, nie chciał wcale jeść. Zdawało się, że miał apetyt tylko na Lapolada, bo rzucał się z wściekłością na niego, gdy go zobaczył. A że Lapolade nie miał ochoty poświęcić siebie dla uratowania lwa, nieszczęśliwy Baranek zakończył życie z żalu i tęsknoty za Dianetką.

Herman zapytał czy już jestem marynarzem; opowiedziałem mu jakie trudności mi robiono.

— Jeżeli chcesz — powiedział — to ja

postaram się, żeby cię przyjęli do załogi, jako mojego brata.

A wyprawa?

To była przeszkoda nieprzezwyciężona. Herman pieniędzy miał niewiele więcej ode mnie. Brat opłacił jego przejazd na statku do Guayaguil, a połączone nasze kasy nie wystarczyłyby na opłacenie tak znacznego wydatku.

Musieliśmy się wyrzec tej myśli. Na pociechę zabrał mnie z sobą na obiad, a po obiedzie do teatru, gdzie jeden z jego ziomków, członek orkiestry dał nam dwa miejsca. Grano jakąś komedyę, w której przyniesiono na scenę człowieka, ukrytego w skrzyni.

— W sam raz dla ciebie! — zawołał Herman.

Kupimy dużą skrzynię i ty wejdziesz do środka, a na godzinę przed wypłynięciem statku, zaniosą skrzynię na pokład, zamkniętą i owiązaną sznurem. Kiedy wypłyniemy na pełne morze, otworzę skrzynię, a kapitan nie mogąc cię wysadzić na ląd, będzie zmuszony cię przyjąć. Ty zaś postarasz się o to, żeby mu się stać użytecznym...

Był to pomysł szalony, ale dlatego właśnie zachwycił mnie.

Nazajutrz obeszliśmy wszystkich handlarzy starzyzny w mieście i kupiliśmy za dziesięć franków wielką skrzynię z dwoma zamkami, okutą żelazem, w której mogłem zmieścić

się doskonale. Zanieśliśmy ją do mieszkania Hermana, u którego miałem przytułek. Wyświdrowaliśmy w skrzyni mnóstwo otworów, ażebym mógł oddychać; wszedłem do środka Herman zamknął ją szczelnie i przebyłem tak dwie godziny, zupełnie wygodnie mogłem swobodnie wyciągnąć nogi, podnieść ręce, położyć się na wznak i na bok.

Statek Hermana miał wypłynąć nazajutrz o drugiej po południu. Przepędziłem ostatnie godziny na zwiedzaniu statku, zwanego „Orinoko“ i na pisaniu długiego listu do mamy, donosząc jej, że nakoniec wypływam na morze i proszę o przebaczenie za to, że postępuję wbrew jej życzeniom, ale że mam nadzieję, iż wyjdzie to nam wszystkim na dobre. Do tego listu dołączyłem drugi do Dianetki. Doniosłem jej o tem co mi opowiedział Herman, i prosiłem o opiekę nad mamą.

Na dwie godziny przed przypływem morza, to jest w południe, Herman wsadził mnie do skrzyni, dał kawałek chleba i rzekł śmiejąc się:

— Do jutra! Jeżeli będziesz głodny, możesz to zjeść.

Miałem siedzieć dwadzieścia godzin w skrzyni, bo obliczyliśmy, że gdybym się ukazał zawcześnie, kapitan mógłby mnie odesłać na ląd łodzią rybacką lub przez pilota, ale raz wypłynąwszy na pełne morze będę już zupeł-

nie zabezpieczony od takich spotkań. Od kilku dni wiał silny wiatr południowy; we dwadzieścia godzin powinniśmy być już za Cherbourgiem, na kanale La Manche.

Przybiliśmy we wnętrzu skrzyni dwie zawiasy skórzane i założyłem za nie ręce, ażeby uniknąć kołysania przy niesieniu, Herman zamknął oba zamki na klucz, owiązał skrzynię sznurem, i zarzucił ją sobie na plecy. Śmiał się tak gwałtownie, że trząsłem się jak przy jeździe konno.

Kiedy wszedł na pokład „Orinoka", odeszła go chętka do śmiechu.

— Cóż pan tu przyniósł? — zawołał kapitan.

— Mój kufer.

— Zapóźno! Składy już zamknięte.

Na to właśnie liczyliśmy, bo gdyby były otwarte, spuszczonoby mnie na samo dno statku, nakryto innemi kuframi i musiałbym tak jechać do samego Guayaguilu, a po zamknięciu składów, mogłem zostać na pokładzie, albo w kajucie Hermana.

Nie poszło to przecież łatwo. Kapitan długo wzbraniał się przyjąć skrzynię, i już myślałem, że odniosą mnie na ląd, ale w końcu złożono mnie pod pokładem, razem z innemi pakami przyniesionemi na ostatku.

— Uporządkuje się to wszystko w drodze— powiedział jeden z majtków.

„W drodze!“ to już mnie nic nie obchodziło: liczyłem, że niedługo będę siedział w pace.

Usłyszałem odczepianie lin przytrzymujących statek, który zakręcił się na miejscu, a potem miarowe kroki majtków, wyprowadzających go z przystani.

Mogłem to wszystko tak wyraźnie rozeznać, siedząc w skrzyni, jakgdybym widział stojąc na pokładzie.

Z turkotu i wrzawy wymiarkowałem, kiedy przepływaliśmy koło szluzy. Statek zatrzymał się chwilę, a potem ruszył spokojnie naprzód i zakołysał się lekko; mijaliśmy wejście do portu. Potem kołysanie wzmogło się, zazgrzytały windy — rozpinano żagle i statek przechylił się na bok, zajęczał ster — wypłynęliśmy na morze...

Więc już się stało! Rozpoczynałem zawód marynarza. Ta chwila tak upragniona, okupiona przeze mnie tylu trudami, która miała mi dać tak wielkie szczęście — nadeszła wśród smutku i niepokoju...

Prawda, że moje położenie, nie było godne zazdrości.

Może na pokładzie, wśród majtków zajęty pracą, mając przed sobą morze, a za sobą miasto i port — byłbym się czuł szczęśliwszy! Ale zamknięty w czterech ścianach skrzyni, nie mogłem zapanować nad uczuciem trwogi.

Wśród tych smutnych dumań, usłyszałem kilkakrotne stukanie, ale że nikt nic nie mówił, bałem się odezwać, nie wiedząc czy to nie który z majtków puka. Lecz pukanie powtórzyło się i domyśliwszy się, że to Herman, odpowiedziałem mu pukaniem.

Uspokoiłem się i nie czułem się już opuszczony; szło tylko o przebycie kilku godzin w tem pudle, a po wyjściu znajdę się na pełnem morzu i wolny!

Wiatr był dość silny, statek kołysał się mocno. Przyzwyczajony od dziecka do bujania się w łodziach rybackich, stojących na kotwicy, nie znałem nigdy morskiej choroby i nie przypuszczałem nawet bym jej mógł dostać. Zadziwiłem się bardzo nieprzyjemnie, poczuwszy mdłości.

Sądziłem z początku, że to z braku powietrza, bo mimo dziur, które wywierciliśmy przezornie, dostęp powietrza był utrudniony, i w pace gorąco nieznośne. Moje cierpienie wzrastało z każdą chwilą, a zawrót głowy, gdy statek spadał w dół, ześlizgując się z fali— stawał się nieznośny. Zaniepokoiło mnie to mocno, bo widziałem nieraz ludzi, pod wpływem tej głupiej choroby, krzyczących w niebogłosy. Gdybym i ja to zrobił, i gdyby który z majtków mnie usłyszał!

Wiedziałem, że najlepszem lekarstwem

na morską chorobę jest sen. A że to był jedyny, dostępny dla mnie środek, zanurzyłem głowę w dłoniach i usiłowałem zasnąć. Lecz napróżno, łoże moje nie było miękkie. Gdybym je był choć wysłał trochą słomy!

Kołysanie statku wzmagało mdłości, które podnosiły się z nim razem, i sprawiały niewymowne cierpienia, na szczęście w końcu sen mnie ogarnął.

Jak długo spałem, nie wiem, bo światło nie dochodziło do paki i leżałem w zupełnej ciemności, nie mogąc rozeznać czy to dzień, czy noc, lecz z panującej ciszy na statku, wywnioskowałem, że musi być noc. Tylko na pokładzie rozlegały się kroki wartownika i niekiedy zgrzytanie steru. Kołysanie statku wzrastało, maszty skrzypiały, ściany trzeszczały, a bałwany, miotane wiatrem, uderzały gwałtownie.

Czy to że chłód nocy odświeżył powietrze i w mojej skrzyni, czy też przyzwyczaiłem się do kołysania, dość że już nie czułem mdłości i zasnąłem mocno, kołysany melodyą fal, przypominającą mi dom rodzicielski, podczas burzliwych nocy.

Nagle obudził mnie przerażający trzask, poczem rozległ się huk padającego na pokład masztu. Liny pękały z hałasem, maszty łamały się jeden za drugim...

— Wszyscy na pokład! — zagrzmiała komenda.

Wśród wrzawy głosów i trzasku rozbijającego się statku, wybuchnął ogłuszający ryk, dobrze mi znany; to para uciekała z kotła. Musieliśmy się spotkać z parowozem, który wpadł na nas, i statek nasz przewrócił się na bok, bo i ja upadłem na boczną ścianę skrzyni.

Zanim oprzytomniałem, umilkł ryk pary, rozległ się znowu trzask, i straszny krzyk na naszym pokładzie. Jednocześnie statek podniósł się... Czy parowiec poszedł na dno, czy odpłynął?

Począłem wydawać rozpaczliwe krzyki, chcąc przywołać kogoś z załogi, ażeby mnie uwolnił, potem umilkłem i słuchałem...

Na pokładzie wrzawa głosów, bieganie, we wszystkich kierunkach, o ściany statku uderzały wciąż fale z potężną siłą, a nad tem wszystkiem górował ryk wiatru i burzy.

Czy idziemy na dno? A może Herman zostawi mnie w tej skrzyni?!

Nie potrafię opisać jakie przerażenie ogarnęło mnie na tę myśl! Krew mi zakrzepła w żyłach, ręce spotniały jakby w wodzie zmoczone. Instynktownie probowałem się podnieść, ale głową uderzyłem o wieko skrzyni. Ukląkłem i z całej siły usiłowałem je otworzyć, lecz oba zamki trzymały mocno, a wieko było silnie spojone, i podbite dębowemi, poprzecznemi listew-

kami i ani drgnęło. Upadłem na dno, napół martwy z przerażenia.

Po chwili, zacząłem znowu krzyczeć i wołać Hermana, ale straszny hałas na pokładzie zagłuszał moje krzyki; rąbano tam maszty.

Herman nie przychodził mnie uwolnić!

Kiedy część załogi rąbała maszty, reszta musiała pracować przy pompach; słyszałem miarowy odgłos podnoszonych i spuszczanych rękojeści.

Szliśmy na dno! Rzuciłem się rozpaczliwie na wieko, ale nie ustąpiło, i padłem na dno skrzyni, zgnębiony bezsilnością, miotany trwogą i rozpaczą.

— Hermanie! Hermanie!

Ciągle ten sam hałas nad moją głową, to jest na pokładzie, ale przy mnie cisza. Głos mój tłumiły ściany skrzyni. A jeżeli nawet wydobywał się na zewnątrz, głuszył go ryk burzy i wichru.

Czy Herman wpadł w morze? Czy go bałwan zniósł z pokładu? A może myśląc o własnem ocaleniu, zapomniał o mnie? Więc mam utonąć, zamknięty w tem pudle?!

I znikąd nie mogę oczekiwać pomocy!

Oczekiwać mężnie śmierci, patrzeć jej oko w oko może nawet dziecko, ale jeżeli się jest wolnym, a przynajmniej jeśli można się od niej bronić. Wtedy zapał walki podtrzymuje, dodaje sił. Ale być tak jak ja, zamknięty mię-

dzy czterema deskami jak w trumnie, nie módz się nawet ruszać i oddychać swobodnie — to wydawało mi się zbyt okropne i potworne!

Rzuciłem się z wściekłością na boczną ścianę skrzyni, ale i one nie ustąpiły. Chciałem krzyczeć, lecz głos zamierał w zaschniętem gardle...

Nie wiem jak człowiek dorosły zniósłby takie męczarnie... Ja byłem jeszcze dzieckiem i... zemdlałem.

Kiedym odzyskał przytomność nie wiem po jakim czasie, doznałem dziwnego uczucia. Zdawało mi się, żem umarł, że leżę na dnie morza, gdzie mnie kołyszą wiry...

Lecz hałas na pokładzie oprzytomnił mnie. Pompowano ciągle wodę, i słyszałem jej złowrogie bulgotanie w rurach. Wiatr ryczał a uderzenia bałwanów wstrząsały statkiem, który przechylał się tak strasznie, że rozbijałem się wciąż, to o prawą to o lewą ścianę mej skrzyni. Zacząłem znowu krzyczeć, przerywając od czasu do czasu, i nadstawiając ucha; lecz nie usłyszałem nic, oprócz ogłuszającego huku burzy.

Dusiłem się, porozpinałem ubranie. Zdejmując kamizelkę namacałem w niej zapomniany nóż, mocny nóż, jakiego używają chłopi, z rękojeścią rogową, z ostrzem mocnem i ostrem.

Nikt mi nie przychodził na pomoc, musiałem sam się ratować.

Otworzyłem nóż i zabrałem się do jednego z zamków, nie żeby go otworzyć, bo złamałbym przytem ostrze, ale zacząłem okrawać drzewo naokoło zamku. Drzewo było dębowe, wysuszone przez jakie dwadzieścia lat używania, twarde jak żelazo, i nóż z trudnością w nie wchodził.

Pracowałem z takim zapałem, że wkrótce oblałem się potem, nóż ślizgał mi się w palcach i co chwila musiałem ocierać ręce.

Robota niewiele postępowała, bo kołysanie i podrzucanie statku przeszkadzało mi ciągle, zaledwie nacisnąłem drzewo nożem, wstrząśnienie odrzucało mnie na przeciwległą ścianę.

Nareszcie zachwiał się zamek i myślałem, że już go zdołam oderwać. Zabrałem się do drugiego, nóż tak się rozgrzał, że chłodząc jego koniec w ustach, parzyłem sobie język.

Pompowanie ustało, ale ruch na pokładzie trwał dalej, biegano coraz prędzej, pracowano z pośpiechem. Nad czem? Nie mogłem odgadnąć.

Słychać było głuchy odgłos przesuwanych ciężarów, pak czy czegoś podobnego. Pcco? Co to miało znaczyć?

Nie miałem czasu na dociekania, ani na słuchanie i pracowałem bez wytchnienia.

Nóż już się stępił, i drzewo przy drugim

zamku, wycinałem z większą trudnością niż przy pierwszym. Wysilałem całą energię, ale ręka mi omdlewała, a plecy bolały od niewygodnej postawy w jakiej siedziałem, musiałem więc przerwać na chwilę.

I wtedy usłyszałem jeszcze wyraźniej ryk nawałnicy, uderzenia bałwanów i jęki statku, który trzeszczał w spojeniach.

Przypuszczam, że moja robota trwała dłużej, niż pół godziny. Jak długim wydawał mi się ten czas, nikt sobie nie zdoła wyobrazić. Lecz wreszcie ustąpił i drugi zamek.

Ukląkłem i zgiąwszy się w kabłąk, oparty na rękach, podparłem z całej siły wieko kufra. Oba zamki odskoczyły — lecz wieko nie podniosło się wcale.

Było mocno na krzyż przewiązane sznurem. Zapomniałem o tem!

Musiałem przeciąć sznur. Sądziłem, że pójdzie to łatwo, ale omyliłem się, bo wieko choć trochę się podnosiło, nie wyszło z zagłębienia, trzeba było okroić całą dolną ścianę, chcąc się dostać do sznura. Nowa robota!

Nie traciłem odwagi i wziąłem się zaraz do pracy; szczęśliwie skroiłem brzeg kufra i dostałem się do sznurów. Przeciąłem je nareszcie. Popchnąłem wieko; uniosło się trochę i opadło. Popchnąłem mocniej, nie otworzyło się więcej. Co je przytrzymywało?

Miałem chwilę tak strasznej trwogi, że bez sił opadłem na dno skrzyni.

Ale uczyniwszy tak dużo, nie mogłem już rąk opuścić. Wieko unosiło się o tyle, że zdołałem przesunąć rękę przez szparę. Wysunąwszy na zewnątrz rękę, macałem naokoło, w ciemnościach rozjaśnionych słabym odblaskiem szarego światła.

I zrozumiałem wtedy co mi przeszkadza do otwarcia wieka; wielka, ogromna skrzynia! Postawiona na drugiej, opierała się połową na moim kufrze.

Usiłowałem ją zepchnąć, ale była za ciężka. Zresztą nie miałem siły, bo nie mogłem nawet wyciągnąć ręki, myśleć o usunięciu tej paki, lub zrzuceniu byłoby szaleństwem.

Więc zadałem sobie tyle trudu, poto żeby się rozbić o taką przeszkodę? Co czynić? Drżałem z rozpaczy i trwogi, krew uderzała mi do głowy.

Może to skrzynia tłumiła moje wołania? Teraz, gdym uchylił wieko, może usłyszą mój głos?

Zacząłem krzyczeć rozpaczliwie. Potem znowu nadsłuchiwałem. Na pokładzie zrobił się wielki hałas, i coś spadło na wodę. Jeżeli ja ich słyszę, to i oni powinni mnie usłyszeć...

Krzyczałem znowu, ale nie usłyszałem ani biegania, ani głosów, nic — oprócz wycia wiatru. Tylko — rzecz dziwna — po chwili zdało

mi się, że krzyki dochodzą z morza, z za ściany o którą opierała się moja skrzynia.

Nie usłyszą mnie! Postanowiłem wyrwać zawiasy wieka, jeżeli go nie mogę podnieść może zdołam przesunąć przez szparę i zrzucić na ziemię, z pod przygniatającej go paki.

Zabrałem się do pracy z pośpiechem. Cisza na statku przerażała mnie. Czyżby załogę zmiotła woda? Było to możliwe, bo kołysanie i podrzucanie statku, ryk wichru i huk bałwanów świadczyły o gwałtowności burzy.

Zawiasy trzymały się słabiej niż zamki; nie miałem potrzeby wykrawać drzewa. Powinienem był zacząć od zawias, nie od zamków, bo były tylko poprzybijane *gwoździmi*. Końcem noża podważyłem jednę, a potem uderzając silnie w wieko oderwałam i drugą.

Popchnąłem wieko, zsunęło się lekko. Wyskoczyłem z tego okropnego więzienia. Z jakąż radością, odzyskałem swobodę ruchów. Śmierć w tym kufrze okropnością swoją wyrównywałaby dziesięciokrotnemu umieraniu!

Powodzenie wskrzesiło we mnie nadzieję. A jednak, nie był to jeszcze koniec moich cierpień...

Kierując się w stronę złotego promyka światła, doszedłem do schodów. Jednym rzutem oka przejrzałem cały pokład; nie było na nim nikogo. Przy sterze także nikogo? Załoga opuściła statek.

Wyskoczyłem na przedni pomost i przy szarym brzasku, ujrzałem czarny punkcik, była to szalupa okrętowa.

Krzyczałem z całych sił, ale łódź była już zbyt daleko, a wiatr zbyt gwałtowny, żeby moje wołania mogli usłyszeć odpływający.

Byłem więc sam na statku, porzuconym na pełnem morzu, rozbitym, zapadającym się w wodę. A jednak tyle wycierpiałem w tym strasznym kufrze, że teraz mniej już odczuwałem trwogę.

Rozejrzawszy się, zobaczyłem, że Orinoko został uszkodzony w połowie kadłuba, istnym cudem nie przecięty na dwoje, dzięki temu, że parowiec uderzył go skośnie. Od uderzenia maszty potrzaskały jak zapałki, a z żagli zostały tylko strzępy.

Dzień się robił, we wschodniej stronie nieba zapalały się chwilowe blaski i gasły, przysłonięte czarnemi chmurami. Morze pokrywała biała piana, która pod tem bladawem światłem, nadawała mu złowrogi pozór. Wiatr dął tak silnie, że rozpłaszczał bałwany.

Jeżeli załoga opuściła statek, był to dowód, że jest zagrożony, wydany na łup wiatru i fali, bez steru, bez żagli, kołysał się straszliwie, a przez pokład przelewały się bałwany. Chcąc się utrzymać na nogach, musiałem uczepić się liny.

Rozejrzawszy się dokładniej, spostrzegłem,

że cały bok statku jest rozdarty. Czy to rozdarcie sięgało do linii wodnej? Nie mogłem tego zbadać, ani ile wody jest na dnie okrętowem, bo nie miałem siły poruszyć ciężkiej pompy.

Najważniejszem było pytanie, ile czasu „Orinoko“ zdoła utrzymać się na wodzie?

Że musi pójść na dno, nie podlegało wątpliwości, ale może nie odrazu, może mnie zobaczyć jaki statek i ocalić. Nie traciłem tej nadziei, a pomny, że tylko usilną pracą i energią wydobyłem się z kufra, postanowiłem bronić się do końca i nie opuszczać rąk.

Znając się na żegludze, wiedziałem, iż statek bez kierunku, rozbije się, lub pójdzie na dno pod uderzeniem pierwszego silniejszego bałwana. Postanowiłem więc stanąć przy sterze i nie pytając w którą stronę płynę, kierować go tak by się opierał na fali.

Lecz dotąd kierowałem tylko na małych łodziach. Zaledwie dotknąłem sterowego koła, silne uderzenie bałwanów zakręciło statkiem w kółko, a ja puściwszy ster upadłem, odrzucony gwałtownie o cztery lub pięć kroków.

Ale podniosłem się i stanąłem znowu przy sterze. Całą nadzieję pokładałem w spotkaniu jakiegoś statku, stojąc więc przy kole, wytężałem wzrok we wszystkich kierunkach widnokręgu.

Zdawało się, że wiatr się zmniejsza, ro-

zedniało zupełnie i chmury rozpływały się na niebie, miejscami ukazywał się nawet błękit. Choć morze było jeszcze wzburzone, nadzieja moja wzrastała.

Niepodobna przecież, żeby w niewielkiej odległości od wybrzeży, nie ukazał się jaki statek. Najmniej przez trzy godziny, wpatrywałem się w widnokrąg, lecz nie zobaczyłem nic. Wiatr ustawał, morze uspokoiło się, a raczej fale, nie rozbijając się już gwałtownie, wydymały się i unosiły statek, nie szarpiąc go tak jak przedtem.

Nagle ukazał się na szarem tle chmury jakiś biały punkcik. Zwiększał się z każdą chwilą — pewnie to statek, który płynął mając wiatr z tyłu, w tym samym kierunku co „Orinoko".

Zacząłem sterować ku niemu, chcąc mu zabiedz drogę, ale on miał wszystkie żagle rozpięte i całe, a ja tylko szczątki poszarpanych żagli.

Przez jakie pół godziny rósł mi w oczach, przybliżał się — mogłem już porachować jego żagle, a potem zaczął się oddalać...

Pobiegłem do dzwonu zacząłem dzwonić a potem wróciłem do steru. Statek już zmalał — oddalał się szybko.

Nie zobaczono mnie—nie usłyszano dzwonienia...

Zawód był okrutny; przez godzinę jeszcze

ścigałem go wzrokiem. Malał, malał z każdą chwilą, wreszcie zamienił się w czarny punkcik i znikł...

Pozostałem znowu sam na niezmierzonych morskich przestworzach...

Nie wystarczało to, że statki przepływają w pobliżu, trzeba było koniecznie, żeby spostrzegły „Orinoko“. Nie dość było oczekiwać od nich pomocy, należało ją ułatwić, zwrócić ich uwagę, ściągnąć ją w tę stronę.

Wyjąłem z kufra z sygnałami największą flagę i wdrapałem się na szczątki pogruchotanego głównego masztu. Trudne miałem zadanie przy silnem kołysaniu się statku, ale na szczęście, miałem w tem wprawę i zeszedłem bez wypadku, pokładając całą nadzieję w wielkiej fladze, łopocącej na wietrze. Oznajmi ona tym, którzy ją dojrzą, że tu jest statek w niebezpieczeństwie.

Najgroźniejsze byłoby przesączanie się wody, ale zdawało się, że statek nie zanurza się więcej. Na wszelki wypadek — gdyby miał pójść na dno—pozbierałem deski i skrzynie, i powiązawszy je mocno, zbudowałem rodzaj tratwy.

Było już blizko południa, a ja od wczoraj nic nie jadłem, głód zaczął mi dokuczać. Postanowiłem zejść na dół i poszukać zapasów jedzenia.

Jednakże długo się wahałem. Gdyby sta-

tek poszedł na dno podczas mego pobytu pod pokładem? Lecz głód wziął górę nad obawą.

Zeszedłszy. Uszedłszy parę kroków posłyszałem warczenie, wyskoczył na mnie z kapitańskiej kajuty pies zapomniany na statku. Wydobywszy się otwartemi przeze mnie drzwiami, przede mną jeszcze stanął na pokładzie. Zatrzymał się i obejrzał; przyglądał się mi długo a nieufnie, lecz uspokojony przeglądem, zbliżył się i zaczął mnie obwąchiwać. Zaprzyjaźniliśmy się odrazu, i on, jak ja, był głodny.

Znalazłem chleb, mięso i wino. Nabrałem wszystkiego ile mogłem i wróciłem śpiesznie na pokład.

Stałem oko w oko ze śmiercią, lecz mimo tego jadłem z apetytem, pies siedział przede mną i chwytał kawałki, które mu rzucałem. Nie czułem się już osamotniony. Po skończonej uczcie położył się przy moich nogach, i patrzył mi w oczy tak poczciwie, że go uściskałem.

Cały dzień minął, lecz nie ukazał się żaden statek, morze było już tylko lekko wzburzone, wiatr słaby. „Orinoko“ sprawiał się dobrze, a szpara przez którą napływała woda musiała się zatkać. Bez trwogi więc oczekiwałem nadejścia nocy. Nie wątpiłem, że brzeg niedaleko. Może w nocy zobaczę latarnię morską, a wtedy skieruję statek w tamtą stronę.

Wieczór zapadł, a moja nadzieja nie

spełniła się. Gwiazdy zapalały się na niebie, lecz nigdzie nie widziałem latarni.

Z kapitańskiej kajuty wziąłem pęk ubrań. Zrobiłem z nich posłanie na pokładzie i położyłem się, postanawiając nie spać w nocy tylko śledzić ciągle widnokrąg.

Długo tak siedziałem, wpatrując się w ciemność, którą wzrok mój napróżno starał się przebić.

Pies leżał przy mnie i zasnął, wiatr się uciszył, statek kołysał się lekko, co nie było wcale niepokojące. Księżyc wytoczył się na niebo i oświetlił morze spokojne, pluszczące cicho, w którem odbijały się jego promienie.

Stopniowo ogarnął mnie spokój. Chrapanie psa ukołysało mnie i mimo wysiłków — zasnąłem.

Ale ta cisza na morzu, nie była końcem burzy; nad ranem zbudził mnie zrywający się wiatr, chmury przewalały się nisko, morze zaczynało się burzyć.

Spojrzałem na bussolę, wiatr wiał od północo-zachodu. Chociaż nie wiedziałem, gdzie jestem, zdawało mi się, że niedaleko wybrzeży Normandyi lub Bretanii.

W ciągu niespełna godziny, morze wzburzyło się znowu, i bałwany zaczęły zalewać pokład statku, który nie stawiał już oporu fali.

Pod naporem wichru, maszt przedni trzeszczał złowrogo, i obawiałem się, że lada

chwila runie. A w takim razie byłby już koniec i „Orinoko“ poszedłby na dno.

Nie spuszczałem oka z tego masztu, kiedy ujrzałem przed sobą ciemny pas, rozciągający się daleko... Krzyknąłem ziemia!

Poskoczyłem do steru i zacząłem kierować w tamtą stronę, nogi pode mną drżały, a oczy miałem pełne łez. Czy naprawdę jestem już uratowany? Ocalony?!

Ciemny pas zarysowywał się coraz widoczniej... Ale czy Orinoko dopłynie do niego? Czy maszt wytrzyma?

Przeżyłem godzinę okropnej niepewności, bo gwałtowność wiatru rosła, a skrzypienie i trzeszczenie masztu mroziło mi krew w żyłach. Pies siedział przede mną i nie spuszczał ze mnie oczu. Możnaby przypuszczać, że z twarzy chciał mi wyczytać co myślę.

Brzeg, do którego pędził statek, był niski i niedaleko od morza wznosiły się pagórki, ale nie było nigdzie widać wsi ani portu.

Nie miałem bynajmniej zamiaru wprowadzić Orinoka do portu, choćbym go nawet miał w pobliżu; byłoby to zadanie nad moje siły, a nawet może nad siły całej załogi. Chciałem tylko osiąść na mieliźnie i wpław dopłynąć do brzegu.

Ale czy zdołam dopłynąć? Dostępu do wybrzeża bronią może podwodne rafy, przez które nie przejdzie statek?

Miotany niepewnością, poodwiązywałem niektóre sztuki z tratwy, którą zbudowałem i pokładłem przy sobie, a żeby je mieć pod ręką, gdyby statek zaczął tonąć. Rozebrałem się, pozostawiwszy tylko spodnie, i czekałem.

Brzegi już widać było wyraźnie, fale rozbijały się o nie i rozpryskiwały smugami białej piany; morze odpłynęło.

Jeszcze kwadrans — dziesięć minut — pięć minut — i mój los rozstrzygnie się... O! mamo! O! Dianetko!

W chwili, gdy ogarnęło mnie rozrzewnienie na myśl o nich, statek gwałtownie poderwał się w górę, usłyszałem trask, kierownik oderwał się od steru, dzwon jęknął kilkakrotnie, maszt zachwiał się i runął, a ja padłem na pokład, Orinoko dobił do brzegu.

Zerwałem się, ale drugie wstrząśnienie powaliło mnie znowu. Statek pękł na całej długości, po strasznem wstrząśnieniu zatrzymał się nagle i przechylił na bok.

Chciałem się podnieść i uczepić do niego, ale nie stało czasu, wielki bałwan zwalił się na biedny statek, a mnie spłukał i uniósł silny wir wody.

Kiedym się wydobył z tego wiru, byłem już o jakie dwadzieścia metrów od statku, a o parę kroków ode mnie płynął pies, patrząc na mnie z rozpaczą. Zawołałem na niego, dodając mu odwagi.

Od wybrzeża dzieliło nas może ze dwie-

ście metrów. W zwyczajnych okolicznościach, taka odległość byłaby dla mnie niczem, ale wśród olbrzymich bałwanów, walących się na wybrzeże, było to groźne niebezpieczeństwo.

Nie tracąc odwagi, płynąłem powoli, starając się utrzymać na grzbiecie bałwanów, lecz wśród tego wiru, było to prawie niepodobieństwem, pomiędzy dwoma bałwanami zaledwie mogłem raz odetchnąć.

Na wybrzeżu nie widziałem nikogo i nie mogłem spodziewać się pomocy. Na szczęście wiatr i morze popychały mnie ku brzegom. Poczułem pod nogami ziemię — była to chwila stanowcza...

Nadpływająca fala rzuciła mnie na brzeg, jak wiązkę morskich porostów. Probowałem zapuścić palce w piasek, ale odpływająca woda, uniosła mnie, zanim zdołałem uczepić się ziemi.

Zrozumiałem, że jeśli się to powtórzy, utonę. Wypłynąłem znowu na morze; mogłem się uratować jedynie sposobem, którego nauczył mnie ojciec.

W przerwie między dwoma bałwanami, wyjąłem nóż, otworzyłem go. Popłynąłem potem ku wybrzeżu, a kiedy fala wyrzuciła mnie na piasek, wepchnąłem w niego nóż, a chociaż odpływający bałwan ciągnął mnie za sobą, mogłem mu się oprzeć, mając punkt oparcia.

Fala odpłynęła, ja zerwałem się i pobie-

giem przed siebie; następna dosięgła mi tylko stóp, ubiegłem jeszcze kilka kroków i upadłem na piasek.

Byłem już bezpieczny, ale tak wyczerpany, że zemdlałem.

Dopiero pies otrzeźwił mnie, liżąc po twarzy. Oczy mu błyszczały, radośnie wywijał ogonem. Usiadłem na piasku, i zobaczyłem, że biegnie ku mnie strażnik celny i kilku rybaków.

XIV.

„Orinoko“ osiadł na przylądku Lévi, o parę mil od Cherbourga.

Ludzie, którzy przybiegli na pomoc, odprowadzili mnie do *Fermanville*, najbliższej wioski, a na noc przyjął mnie tam proboszcz.

Byłem tak zmęczony i przygnębiony przebytemi wzruszeniami, że spałem przeszło dwadzieścia godzin. Myślę, że i ja i pies spaliśmy dłużej, gdyby nas nie obudził komisarz nadbrzeżny i agenci asekuracyjni.

Musiałem stawić się przed nimi, i opowiedzieć wszystko co zaszło od wypłynięcia z Hawru, aż do chwili, gdy Orinoko osiadł na wybrzeżu. Musiałem wyznać w jaki sposób znalazłem się w skrzyni, a nie bez obawy to uczyniłem. Trzeba jednak było wyjawić tę nie prawdopodobną prawdę, bez względu na to, co z tego wyniknie.

Wynikło to, że wsadzono mnie trzeciego dnia w Cherbourgu na statek „Koliber", a tego samego wieczora, stanąłem w Hawrze.

Moja przygoda już tam została rozgłoszona i wydrukowały ją dzienniki, oglądano mnie jeżeli nie jak bohatera, to jako przedmiot ciekawości, kiedy ukazałem się na pokładzie Kolibra, w przystani stały tłumy, wskazując na mnie i na mojego psa.

— To oni! Chłopiec i pies!

Dowiedziałem się w Hawrze, że załoga Orinoka nie utonęła, zabrał ją na pełnem morzu angielski statek, płynący do *Southamptonu*, a stamtąd inny statek odwiózł do Francyi. Tylko biedny Herman wpadł w morze w chwili gdy najechał nas parowiec, i nie wypłynął już wcale na powierzchnię. Dlatego nie przyszedł uwolnić mnie z kufra.

Moje zeznania obciążały mocno kapitana, towarzystwo ubezpieczeń uznało, że gdyby kapitan nie był opuścił statku, mógłby go uratować. Jeżeli jedno dziecko potrafiło doprowadzić statek do brzegu, to załoga mogła go wprowadzić do portu. W całym Hawrze o tem tylko mówiono, wszyscy mnie wypytywali.

W teatrze grano wtedy sztukę, zatytułowaną *Rozbicie się Meduzy*, a dyrektor wpadł na myśl wprowadzenia mnie na scenę, i dał pierwsze przedstawienie na mój benefis. Tłumy wchodziły bez biletów. Dano mi natural-

nie niemą rolę chłopca okrętowego, a gdym wchodził na scenę z psem, teatr trząsł się od oklasków. Wszystkie lornetki kierowały się na mnie, zaczynałem uważać się za bohatera i miałem już zupełnie zawróconą głowę, mój pies mógłby też rościć sobie prawo do połowy sławy.

Dyrektor po obliczeniu kosztów przedstawienia, dał mi dwieście franków, a za każde następne po pięć franków. Po ośmiu przedstawieniach zebrałem sumę dwustu czterdziestu franków — prawdziwy majątek!

Postanowiłem za te pieniądze sprawić sobie marynarską wyprawę, bo nie wyleczyłem się ani z namiętności do morskich podróży, ani z obawy stryja. Opuszczony na pokładzie Orinoka, miotany burzą, niesiony falą na brzeg, na pewną prawie śmierć — rozmyślałem nad moim smutnym losem, i porównywałem go z losem tych szczęśliwych, którzy żyją spokojnie pod dachem swego domu. Ale gdym poczuł ziemię pod stopami, moje obawy rozwiały się, równie prędko jak wyschła woda na ubraniu i przybywszy do Hawru, myślałem tylko o znalezieniu statku, któryby mnie przyjął za chłopca okrętowego.

Właściciel Orinoka kazał mnie przyjąć do załogi drugiego swego statku „Amazonki", więc pieniądze przyszły mi w samą porę, na zakup przedmiotów koniecznych do podróży.

Po spotkaniu z biednym Hermanem, przebyłem parę dni w jego mieszkaniu. Mieszkanie to, stanowił ciemny pokoik bez okna, w głębi podwórza. Poszedłem tam po powrocie. Właścicielka przyjęła mnie chętnie, ale uprzedziła, że żywić mnie nie może, bo jest chora, lecz to nie stanowiło dla mnie żadnej przeszkody. O jedzenie nie dbałem, bylebym miał kawałek chleba.

Moja gospodyni była bardzo dobra kobieta. Pomimo, że ledwie chodziła, skutkiem osłabienia, okazywała mi tyle serdeczności i tak dogadzała, że przypominał mi się pobyt w domu matki.

Była to jeszcze młoda wdowa, miała dwa lata starszego ode mnie syna, który służył na okręcie. Przed ośmiu miesiącami odpłynął do Indyi i lada dzień oczekiwała powrotu jego na statku *Neustrya*.

Położenie tej kobiety miało pewne podobieństwo z położeniem mojej matki, a przytem tak samo jak moja matka, nienawidziła ona morza. Jej mąż umarł na żółta febrę w San Domingo, i teraz dręczyła się bezustannie tem, że syn został marynarzem. Pocieszała ją tylko nadzieja, że ta podróż uciążliwa bardzo od początku, zniechęci go do żeglarskiego zawodu, i że po powrocie, zgodzi się może pozostać na lądzie.

Z jakąż niecierpliwością wyglądała jego

powrotu! Gdym przychodził z wybrzeża, gdzie spędzałem prawie całe dni, dopytywała się jaka pogoda, z której strony wiatr, czy do portu wpłynęło dużo statków? Podróż do Indyi jest bardzo długa, niepewna, niebezpieczna i *Neustrya* mogła powrócić dziś, jutro, za dwa tygodnie, za miesiąc — niewiadomo kiedy.

Mieszkałem u niej już przeszło tydzień, kiedy choroba jej pogorszyła się niepokojąco, sąsiadki które ją odwiedzały i pielęgnowały, mówiły mi, że jest niebezpieczeństwo i że lekarz nie ręczy za jej życie.

Codzień była bledsza, słabsza — prawie zupełnie postradała głos, a kiedym wchodził do jej pokoju z wiadomością o pogodzie i całowałem ją leżącą w łóżku, jej widok budził we mnie trwogę.

Po nawałnicach, które spowodowały rozbicie „Orinoka", wypogodziło się zupełnie. Morze było spokojne jak w lecie, a nawet panowała cisza, niezwykła w tej porze roku.

Ta cisza doprowadzała do rozpaczy moją gospodynię, i za każdym razem, kiedy po powrocie z portu powtarzałem to samo co w przedzień:

— Żadnego wiatru, tylko leciutki powiew od wschodu.

— Bóg mnie ciężko doświadcza. Umrę i nie zobaczę mojego chłopca...

Sąsiadki obecne w pokoju, perswadowały

jej, dlaczego myśli ciągle o śmierci, i usiłowały uspokoić różnemi opowiadaniami, jakie zwykle mówią ludziom śmiertelnie chorym. Ale nie można było przekonać jej, powtarzała wciąż swoje:

— Pewna jestem, że go już nie zobaczę...

Oczy jej napełniały się łzami, a ja miałem ochotę razem z nią płakać. Nie rozumiałem jej stanu, ale z tego com słyszał wnosiłem, że jest chora beznadziejnie i z nieśmiałością wchodziłem do jej pokoju.

Pewnego rana, we wtorek poszedłem patrzeć na wejście statków do portu i wracałem na śniadanie. Sąsiadka mieszkająca obok, którą zwykle pytałem o chorą, skinęła na mnie.

— Był doktór — oznajmiła.

— I co powiedział?

— Powiedział, że nie przeżyje dzisiejszego dnia.

Nie śmiałem wejść na schody. Ale wreszcie zdecydowałem się, tylko zdjąłem trzewiki, nie chcąc robić hałasu. Kiedy mijałem jej drzwi, usłyszała.

— Romanku! — zawołała słabym głosem.

Wszedłem. Siostra stała przy jej łóżku, i dała mi znak żebym usiadł, lecz chora przywołała mnie do siebie. Patrzyła na mnie nic nie mówiąc, ale zrozumiałem ją.

— Ciągle taki sam czas.

— Niema wiatru?

— Niema!

— A jakie statki weszły?

— Łodzie rybackie, statki z Sekwany i parowiec z Lizbony.

Ledwiem to wyrzekł, ktoś otworzył drzwi z pośpiechem i wszedł szwagier chorej, robotnik w porcie. Był wzruszony.

— Przypłynął parowiec z Lizbony — powiedział.

— Wiem. Romanek mówił mi o tem.

Mówiła obojętnie, ale spojrzawszy w oczy szwagra, odgadła, że coś więcej ma jej do powiedzenia.

— Mój Boże! — szepnęła.

— Tak — przynoszę ci nowinę. Parowiec spotkał *„Neustrye"*... Na pokładzie wszystko w porządku.

Chora leżała nieruchomo na łóżku, blada i tak osłabiona, że można ją było wziąć już za umarłą, ale na słowa szwagra podniosła się.

— Mój Boże! mój Boże! — zawołała.

Zagasłe jej oczy ożywiły się, twarz się zarumieniła. Pytała ile czasu może potrzebować *„Neustrya"* na drogę do Hawru? Trudno to było obliczyć, dwa dni, jeżeli pogoda sprzyja, sześć dni, nawet ośm, podczas niepogody. Parowiec z Lizbony płynął trzydzieści godzin, więc *„Neustrya"* może przypłynąć nazajutrz.

Chora prosiła o sprowadzenie lekarza.

— Muszę dożyć do jutra — powtarzała.

Bóg miłosierny nie pozwoli mi umrzeć przed powrotem mego chłopca.

Powróciły jej siły, przytomność, energia. Lekarz zobaczywszy ją, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Mieszkanie chorej było ciasne: izba w której sypiała, służyła jej za kuchnię i bawialnię. Nic dziwnego, że po dwóch tygodniach obłożnej choroby, zakradł się nielad; wszędzie flaszeczki z lekarstwami, kubki z ziółkami i słoiki. Właściwie nie miała przy sobie nikogo ktoby ją pielęgnował, z wyjątkiem sąsiadek, bo siostra przepędzała tylko kilka godzin, a potem musiała wracać do domu i do dzieci.

Nas więc chora prosiła o uporządkowanie pokoju: kazała otworzyć okno, a gdy siostra opierała się temu, lękając się zimna dla leżącej w łóżku, nie chciała jej słuchać.

— Mnie nic nie zaszkodzi, a nie chcę żeby tu było czuć chorobę, jak on przyjedzie...

Kiedy przyjedzie? Pogoda nie zmieniała się — wciąż ta sama cisza, bez śladu wiatru, któryby popędzał *„Neustrye"*.

W portach handlowych, sygnalizują zawsze ukazanie się przybywających statków. W Hawrze, sygnalizacya odbywa się na przylądku Hève, a otrzymane stamtąd sygnały, ogłaszają w mieście.

Chora zapytała, czy nie zechciałbym jej

oddać tej przysługi, i odczytywać ogłoszenia. Łatwo zrozumieć, że nie uchyliłem się od tego, i co godzina szedłem na ulicę Orleańską gdzie w biurze Towarzystwa Ubezpieczeń, przyjmowano i ogłaszano sygnalizacyę.

Ale przy panującej ciszy, żaden statek nie ukazywał się, wszystkie stały zatrzymane u wejścia do kanału.

Jednakże chora nie traciła nadziei, i gdy nadszedł wieczór, kazała przysunąć swoje łóżko do okna, na dachu była chorągiewka, chciała więc na nią patrzeć, bo — jak mówiła — czuje, że wiatr się zerwie. W innym razie, bylibyśmy się śmieli, gdyż na tle czystego nieba, oświetlonego księżycem w pełni, chorągiewka odcinała się czarno, nieruchoma, jakby umocowana do podstawy.

Siostra chorej została na noc, i kazała mi iść spać. Wśród nocy obudził mnie hałas jakiego nie słyszałem nigdy odkąd mieszkałem w tym pokoiku; jakieś dziwne zgrzytanie. Wyjrzałem, to chorągiewka kręciła się ze zgrzytem na dachu, wiatr się zerwał!

Zeszedłem na ulicę, i pobiegłem na tamę. Morze zaczynało pluskać, od północy powiewał chłodny wiatr; strażnik celny z którym rozmawiałem, zapewniał mnie, że wiatr się zwiększy i zwróci od zachodu.

Wróciłem do domu z tą dobrą nowiną, bo wiatr od zachodu — to „Neustrya“ w porcie

w ciągu dnia, albo podczas wieczornego przypływu.

— Widzisz, że miałam słuszność — powiedziała chora. Wiedziałam, że wiatr się zerwie. Ach! Bóg jest dobry!

Siostra powiedziała mi, że chora nie spała całą noc, tylko leżała bez ruchu, utkwiwszy oczy w chorągiewkę i powtarzała ciągle to samo pytanie.

— O której godzinie przypływ morza?

Zażądała wina, lekarz pozwolił jej dać, gdyby chciała, ale napiła się tylko trochę, bo była bardzo osłabiona, oddychała z trudnością i głośno.

— Wino mnie podtrzyma do jego przyjazdu — powiedziała.

Potem znowu zwróciła oczy na chorągiewkę i umilkła.

Tylko szeptała od czasu do czasu:

— Biedny Jaś! Biedny Jaś!

Jaś — to był jej syn.

Kiedy zaczynało świtać, przywołała mnie do siebie:

— Idź do rzeźnika — powiedziała—i kup trzy funty mięsa na rosół tylko najlepszego. Kup także główkę kapusty.

— Kapusta ci może zaszkodzić — zrobiła uwagę siostra.

— To dla Jasia. On lubi kapustę, a pewnie oddawna nie jadł. Masz tu pieniądze.

I z wysiłkiem wydobyła z pod poduszki, sztukę pięciofrankową.

Lekarz przyszedł rano. Mówił nam, że jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się widzieć takiego oporu w obec śmierci, że tę kobietę podtrzymuje tylko silna wola i nadzieja, i że jeżeli żyje dotąd, prawdopodobnie dożyje do wieczora i nie umrze przed odpływem morza...

Kiedy nadeszła godzina otwarcia biura, pobiegłem na ulicę Orleańską; statki zaczęły się ukazywać, ale między tymi, których przybycie zapowiadano, nie było „Neustryi". Od ósmej rano do trzeciej popołudniu, byłem dwadzieścia razy na ulicy Orleańskiej; nakoniec o trzeciej, wyczytałem na afiszu:

„Neustrya wraca z Kalkutty".

Czas już był wielki na tę dobrą nowinę, bo chora gasła w oczach, a zawód, że syn nie przybył z rannym przypływem morza, zadał jej cios ostateczny. Dowiedziawszy się, że przybycie „Neustryi" już zapowiedziano, ożyła.

— O której godzinie przypływ morza? — spytała.

— O szóstej.

— Myślę, że dożyję do tej pory. Dajcie mi trochę wina...

Poszedłem znowu na tamę. Widać było przeszło dwadzieścia dużych statków, stojących w przystani, w oczekiwaniu na przypływ morza. O czwartej statki, które nie były mocno zała-

dowane, zaczęły wpływać do portu; ale „Neustrya“ wiozła duży ładunek, i weszła dopiero około piątej.

Pobiegłem do domu, nie potrzebowałem nawet mówić.

— Statek już w porcie? — zapytała umierająca.

— Wchodzi.

— Pomóż mi usiąść — rzekła do siostry.

Obłożono ją poduszkami; w oczach tylko tliło życie, twarz i usta zbielały zupełnie.

Zaledwie upłynął kwadrans, zatrzęsła się poręcz schodów, i do pokoju umierającej wbiegł syn.

Matka miała jeszcze tyle siły, że go objęła ramionami.

Umarła o jedenastej wieczorem, podczas odpływu morza — tak jak przepowiedział lekarz.

* * *

Ta miłość matki dla syna, ta walka ze śmiercią, ta rozpacz i oczekiwanie, dokonały tego, czego nie mogły zdziałać ani błagania Dianetki, ani rozbicie się „Orinoka“.

Matka moja mogłaby tak samo umierać, kiedy ja będę daleko... Poraz pierwszy przedstawiła mi się ta myśl — poraz pierwszy odczułem tę obawę...

Nie spałem przez całą noc; myśli dławiły mnie, dusiły, „Amazonka“ miała odpłynąć za dwa tygodnie, statek do *Honfleur* odpływał rano o piątej. Żądza przygód i obawa stryja, popychały mnie na morze: myśl o matce, zatrzymywała w Port-Dieu. Ostatecznie stryj mnie przecież nie zje. Potrafiłem walczyć i bronić się od głodu, od zimna, od burzy i morza; z trochą odwagi, obronię się i od stryja. Jeżeli matka nie chce, żebym został marynarzem, ma do tego zupełne prawo, a ja — czy mam prawo uciekać wbrew jej woli? Czy nie będzie na mnie zagniewana, gdy powrócę? A jeżelibym nie wrócił, któż się nią zaopiekuje, gdy zestarzeje się i nie będzie mogła pracować?

O czwartej wstałem i zapakowałem rzeczy. O wpół do piątej zabrałem psa i wsiadłem na statek z Honfleur, o piątej wypłynąłem z Hawru, a w trzydzieści sześć godzin, przy zachodzącem słońcu, ujrzałem pierwsze domy w Port-Dieu.

Poszedłem przed nadbrzeżne piaski, tą samą drogą, którą szedłem z Dianetką. Ale zmieniła się pora roku, i okolica inaczej wyglądała. Zazieleniła się już trawa, żywopłoty rozwijały się, a wśród mchu w rowach, rozkwitały fijołki. Z ziemi i kwiatów, po ciepłym dniu podnosiły się wonie orzeźwiające płuca, i rozweselające duszę.

Nigdy jeszcze nie czułem się tak wesoły i szczęśliwy myśląc jak matka mnie uściśnie!

Doszedłszy do płotu przeskoczyłem przez rów; o dwadzieścia kroków przede mną, Dianetka zdejmowała chustki rozwieszone na sznurach.

— Dianetko!

Zwróciła się w stronę, z której doszedł ją mój głos, ale nie zobaczyła mnie, bo płot zasłaniał.

Ale ja zobaczyłem, że jest ubrana czarno — w grubej żałobie.

W żałobie! Dlaczego? Po kim?! Krzyk wydarł się z mej piersi.

— Matka!

Ale jeszcze Dianetka nie zdążyła odpowiedzieć, kiedy mama ukazała się we drzwiach i jej widok uspokoił mnie.

Za mamą ukazał się wysoki starzec z białą brodą...

Pan Bihorel, obok mojej matki?

Nie wiem co się ze mną działo. Myślałem że widzę dwa widma...

Ale to trwało tylko jedno mgnienie oka.

— Co się stało, Dianetko? — zapytał pan Bihorel.

Mówi — więc żyje! Nie mylę się już teraz... Przeskoczyłem ogrodzenie i żywopłot. O! radości!

Po przejściu pierwszych wybuchów, mu-

sialem opowiadać swoje przygody, od chwili rozstania z Dianetką. Ale najpilniej mi było dowiedzieć się, jakim cudem pan Bihorel, który utonął, mógł tu być razem z moją matką, żywy i zdrów...

A jednak historya pana Bihorela, była bardzo prosta. Gdy wracał z wyspy Grunes, łódź jego wywróciła fala, usiadł na jej grzbiecie, i w tej pozycyi zabrał go trzymasztowiec, idący z Hawru do San Francisco, kapitan statku kazał spuścić łódź na ratunek rozbitka, ale nie chciał zbaczać do żadnego portu gdzieby go mógł wysadzić, i pan Bihorel mimowoli odbył podróż do Kalifornii. Podróż taka trwała w owych czasach pięć do sześciu miesięcy. Na przylądku Horn pan Bihorel złożył list do nas w skrzynce, którą żeglarze urządzili na wyspie Ognistej, ale ten list nie doszedł nigdy. Z Kalifornii, mimowolny wędrowiec powrócił przez całą szerokość Ameryki, gdzie nie było jeszcze kolei, a potem do Francyi przed dwoma zaledwie miesiącami.

Nie zostałem marynarzem...

Mój stryj — ten z Indyi — umarł, i po nim to matka i Dianetka nosiły żałobę; pozostawił on duży majątek, dla całej licznej rodziny.

Pan Bihorel zabrał mnie napowrót do siebie i dokończył mojej edukacyi. Dianetkę matka oddała na pensyę.

A potem, gdy dorośliśmy oboje, Dianetka została moją żoną, najlepszą żoną, i najlepszą córką dla mojej matki, i najlepszą matką dwojga naszych dzieci, które codzień chodziły do Pierre Gante, gdzie stanowiły rozkosz „dziadzi“ jak nazywały pana Bihorela.

Ja sam wyrzekłem się żeglugi, ale zachowałem prawdziwą namiętność do morza i wszystkiego co ma z niem związek. Z trzydziestu statków, które corocznie Port-Dieu wysyła na połów do Neufundlandyi, sześć jest moją własnością.

Moja matka pozostała w Port-Dieu, w starym naszym domu, pędząc w nim życie spokojnie i szczęśliwie. Pan Bihorel, dziś blisko stuletni starzec, pochylił się trochę, ale serce zachował młode i kochające, a umysł żywy i bystry. Drzewa sadzone przez niego wyrosły i wyspa zasłonięta od wiatrów, pokryta jest gęstym lasem. Zawsze pasą się na niej czarne owce, krowy i króliki z tej samej rodziny co dawniej.

Mewy uwijają się naokoło skał, i podnoszą jak ongi ogłuszające wrzaski. A *Sobota* jeszcze raźny i zdrów, jak w owych czasach, gdy mnie chciał częstować „miarką“ powtarza mi często.

— Romanku! *Tskui! kuak! kuak!* Co to znaczy w ptasim języku?

I śmieje się, trzymając za boki.

Majątek odziedziczony po stryju „Indyanie“ spadł na mnie bardzo w porę, ale pewny jestem, że gdyby nie pan Bihorel, gdyby nie jego nauki, przykład i staranne zajęcie się moją edukacyą i wpływ dodatni, byłbym się stał prostym dorobkiewiczem. Oprócz pana Bihorela, dużo zawdzięczam i Lucyanowi Hardelowi, którego odszukałem, i który bywa częstym gościem w naszym domu, i serdecznym jest moim przyjacielem. A stryj Szymon? Dziedzictwo po bracie, dołączone do majątku, który sam zebrał, rozwinęło w nim jeszcze silniej gorączkowe pragnienie pieniędzy. Uważając, że jest za bogaty, by ciągnąć drobne zyski, rzucił się w wielkie spekulacye. Ale tam spotkał chytrzejszych od siebie, i po paru latach wspólnicy zniszczyli go doszczętnie, tak, iż po sprzedaży domu w Dol i majątku, który go tyle trudów kosztował, pozostało mu jeszcze dziesięć tysięcy franków długu.

Wtedy właśnie doszedłem do pełnoletności. Naradziwszy się z matką i panem Bihorelem, postanowiłem przyjść z pomocą stryjowi Szymonowi. Ale przyjął bardzo źle moją propozycyę, i musiałem w sekrecie przed nim spłacić jego wierzycieli. Dowiedziawszy się o tem, zrobił nam straszną scenę, wołając, że jesteśmy:

— „Głupcy! niedołęgi! tępiciele własnego majątku!“

Żył potem z pensyi, którą mu płaciliśmy. Z początku dawaliśmy mu ją z góry na cały rok, ale on zamiast używać pieniędzy na własne potrzeby, pożyczał je na lichwę i skupował ciągle starożytności. Zmuszeni byliśmy opłacać jego mieszkanie i całkowite utrzymanie, ażeby nie mógł się głodzić przez oszczędność. Ale mimo tego, z pieniędzy, które dostawał do ręki, na pomniejsze wydatki, odkładał jeszcze pewną kwotę i sprzedawał nowe ubrania, jakie od nas dostawał, a chodził w zniszczonych i wytartych.

Kiedy mu robiliśmy za to wyrzuty, odpowiadał, że niezawodnie zrujnujemy się przez naszą rozrzutność, i że błogo nam będzie otrzymać po jego śmierci, te pieniądze, które przezornie zaoszczędził.

Przełożyła *M. G.*

KONIEC.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001020817365

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
1465343